

*Jedna z najpiękniejszych  
historii miłosnych,  
jakie przeczytałem.*

Marcin Meller

Najsłynniejsza love story Kaukazu

# AIKENINO



KURBAN SAID

Kurban Said

ALI I NINO

przełożyła Agnieszka Gadzała



Tytuł oryginału: *Ali und Nino*

Copyright © 1937 by Leela Ehrenfels

Published by arrangement with The Overlook Press, Peter Mayer Publishers, Inc.

Licensed through Book/Lab Literary Agency

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVII

Copyright © for the Polish translation by Agnieszka Gadzała, MMXVII

Wydanie I (w przekładzie z niemieckiego)

Warszawa MMXVII

# Spis treści

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Przypisy](#)

# Rozdział 1

– Od północy, południa i zachodu Europę oblewają morza. Ocean Arktyczny, Morze Śródziemne i Ocean Atlantycki tworzą naturalne granice tego kontynentu. Za najdalej na północ wysuniętą część Europy nauka uważa wyspę Wagera, kraniec południowy stanowi wyspa Kreta, a zachodni – łańcuch wysp Dunmore Head. Wschodnia granica Europy wiedzie przez Cesarstwo Rosyjskie wzdłuż Uralu, przecina Morze Kaspijskie, a potem biegnie przez Zakaukazie. Tu nauka nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa. Niektórzy uczeni uważają, że tereny leżące na południe od masywu gór Kaukaz należą do Azji, inni zaś sądzą, opierając się głównie na kulturowym rozwoju Zakaukazia, że należy je zaliczać jeszcze do Europy. A zatem w pewnym stopniu od waszego zachowania, drogie dzieci, zależy, czy nasze miasto będzie należało do postępowej Europy, czy do zacofanej Azji.

Profesor uśmiechnął się zadowolony z siebie. Czterdziestce dzieci trzeciej klasy carskiego humanistycznego gimnazjum rosyjskiego w Baku na Zakaukaziu taki bezmiar wiedzy i ciężar odpowiedzialności wprost zaparły dech w piersiach.

Przez chwilę wszyscy milczeliśmy. My – trzydziestu muzułmanów, czterech Ormian, dwóch Polaków, trzech starowierców i jeden Rosjanin. Potem rękę podniósł Mehmed Hajdar z ostatniej ławki.

– Panie profesorze, my byśmy woleli pozostać w Azji! – oświadczył.

Rozległ się gromki śmiech. Mehmed Hajdar już drugi rok siedział w trzeciej klasie, a zanosilo się, że spędzi w niej jeszcze kolejny, jeśli Baku nadal będzie należało do Azji. Ministerialne rozporządzenie pozwalało bowiem rdzennym mieszkańcom azjatyckiej Rosji pozostawać w tej samej klasie, jak długo tylko zechcą.

Profesor Zanin zmarszczył czoło. Nosił mundur nauczyciela gimnazjalnego ze złotymi naszykami.

– Ach tak, więc ty, Hajdar, wolałbyś pozostać Azjata? Wyjdź no tutaj. Możesz to jakoś uzasadnić?

Mehmed Hajdar wyszedł na środek klasy, zaczerwienił się i milczał. Miał otwarte usta, zmarszczone czoło i bezrozumne spojrzenie. Nic nie mówił. Czterej Ormianie, dwaj Polacy, trzej starowiercy i Rosjanin dobrze się bawili jego nierozgarnięciem, tymczasem ja uniosłem rękę i oznajmiłem:

– Panie profesorze, ja też wolałbym pozostać w Azji.

– Ali Chan Szyrwanszjr! Ty też! Pięknie, chodź no tu na środek.

Profesor Zanin wysunął dolną wargę i w duchu przeklinał los, który zesłał go na wybrzeże Morza Kaspijskiego. Potem odchrząknął i powiedział znacząco:

– Czy przynajmniej ty potrafisz uzasadnić swój wybór?

– Tak, panie profesorze. Ja się całkiem dobrze czuję w Azji.

– Ach tak? No a byłeś już kiedyś w prawdziwie dzikich azjatyckich miejscach, na przykład w Teheranie?

– Tak, latem ubiegłego roku.

– No właśnie, to powiedz, czy są tam jakieś wielkie osiągnięcia kultury europejskiej, na przykład samochody?

– Tak, nawet bardzo wielkie, takie na trzydzieści osób albo więcej. Nie jeżdżą po mieście, tylko z jednej miejscowości do drugiej.

– To są autobusy, które kursują, bo jest zbyt mało pociągów. To się nazywa za-co-fa-nie. Siadaj, Szyrwanszjr!

Trzydziestu Azjatów triumfowało i rzucało mi pełne aprobaty spojrzenia.

Profesor Zanin milczał przygnębiony i zniechęcony. Jego zadaniem było wychować uczniów na dobrych Europejczyków.

– Czy ktoś z was był na przykład... w Berlinie? – spytał nagle.

Tego dnia wyraźnie miał pecha: zgłosił się starowiec Majkow i wyznał, że jako całkiem małe dziecko był w Berlinie. Do dzisiaj doskonale pamięta cuchnące stęchlizną, straszne metro, hałaśliwe pociągi i chleb z szynką, który podsuwała mu matka.

My, trzydziestka muzułmanów, byliśmy głęboko oburzeni. Zająd Mustafa zapytał nawet, czy może wyjść z klasy, bo przy słowie „szynka” zrobiło mu się niedobrze. W ten sposób zakończyła się

dyskusja o przynależności geograficznej miasta Baku.

Zadzwonił dzwonek. Profesor Zanin z ulgą opuścił klasę. Uczniowie również wyszli na zewnątrz. To była długa pauza, podczas której mieliśmy trzy możliwości. Po pierwsze, mogliśmy pobiec na podwórze i spuścić łomot uczniom sąsiedniego gimnazjum realnego. Często tak robiliśmy – dostawali za to, że nosili złote guziki przy mundurkach i złote znaczki na czapkach, podczas gdy my musieliśmy zadowalać się srebrnymi. Druga możliwość polegała na głośnym rozmawianiu między sobą po tatarsku, dlatego że było to zabronione, no i dlatego, że wtedy nie rozumieli nas Rosjanie. Po trzecie wreszcie, można było przejść przez ulicę i pójść do żeńskiego liceum Świętej Królowej Tamary. Ja zdecydowałem się na tę ostatnią możliwość.

W licealnym ogrodzie przechadzały się dziewczęta ubrane w skromne niebieskie mundurki z białymi fartuszkami. Moja kuzynka Aisza pomachała mi ręką na powitanie. Przemknąłem przez bramę ogrodu i podszedłem do niej. Aisza chodziła w parze z Nino Kipiani, a Nino Kipiani była najpiękniejszą dziewczyną na świecie. Kiedy opowiedziałem im o swoich geograficznych bojach, najpiękniejsza dziewczyna świata pokręciła najpiękniejszym na świecie noskiem i rzekła:

– Głupi jesteś, Ali Chanie. Bogu dzięki jesteśmy w Europie. Gdybyśmy byli w Azji, od dawna nosiłabym burkę i w ogóle nie mógłbyś zobaczyć, jak wyglądam.

Byłem pokonany. Geograficzna niepewność położenia Baku uratowała mnie i pozwoliła mi oglądać najpiękniejsze oczy świata.

Odszedłem i skwaszony opuściłem resztę lekcji. Błąkałem się po uliczkach miasta, gapiałem się na wielbłądy i na morze, rozmyślałem o Europie, o Azji, o pięknych oczach Nino – i byłem smutny. Naprzeciwko mnie szedł żebrak o zniszczonej twarzy. Dałem mu jałmużnę, a on chciał mnie pocałować w rękę. Przestraszony cofnąłem dłoń. Potem przez dwie godziny chodziłem i szukałem go po mieście, żeby dać mu jednak rękę do pocałowania, bo miałem wrażenie, że go obraziłem. Nie udało mi się go odnaleźć, co jeszcze zwiększyło moje wyrzuty sumienia.



To wszystko miało miejsce pięć lat temu.

W ciągu tych pięciu lat wiele się wydarzyło. Przyszedł nowy dyrektor, który z upodobaniem chwycił nas za kołnierze i gwałtownie tarmosił, ponieważ wymierzanie policzków gimnazjalistom było surowo zabronione. Nauczyciel religii wyjaśniał nam obszernie, jak łaskawy jest dla nas Allah, że pozwolił nam urodzić się muzułmanami. Do naszej klasy doszło dwóch Ormian i Rosjanin, odeszło zaś dwóch muzułmanów – jeden dlatego, że w wieku siedemnastu lat się ożenił, a drugi, ponieważ został zabity w wendecie. Ja sam, Ali Chan Szyrwanszyr, byłem w tym czasie trzy razy w Dagestanie, dwa razy w Tyflisie, raz w Kisłowodzku, raz u stryja w Persji, i niewiele brakowało, a pozostałbym na drugi rok w tej samej klasie, bo nie potrafiłem odróżnić *gerundium* od *gerundivum*. Mój ojciec rozmówił się w tej sprawie z mułłą, który orzekł, że cała ta łacina nie jest warta funta kłaków i nic mi po niej. Wtedy ojciec przypiął wszystkie swoje ordery: tureckie, perskie i rosyjskie – i pojechał do dyrektora szkoły. Podarował szkole jakiś przyrząd fizyczny, a ja bez problemu uzyskałem promocję do następnej klasy. W szkole zawieszono wtedy plakat, który głosił, że gimnazjalistom zabrania się wchodzenia do budynku szkoły z naładowanymi rewolwerami, w mieście wprowadzono właśnie telefony i otwarto dwa kina, a Nino Kipiani wciąż była najpiękniejszą dziewczyną na świecie.

Całe to moje dotychczasowe życie miało się teraz skończyć. Zaledwie tydzień dzielił mnie od matury, a ja siedziałem w swoim pokoju nad brzegiem Morza Kaspijskiego i rozmyślałem nad bezsensownością łaciny w tym zakątku świata.

To był piękny pokój na drugim piętrze naszego domu. Ściany pokrywały ciemne dywany z Buchary, Isfahanu i Kaszanu. Linie wzorów na dywanach przedstawiały ogrody i jeziora, lasy i rzeki, które oddawały wyobraźnię tkających je ludzi – dla niewtajemniczonych były nierozpoznawalne, ale specjaliści uznawali je za niesłychanie piękne. Kobiety koczowników z odległych pustyń zbierały zioła w dzikich zaroślach, żeby uzyskać takie kolory, a ich podługne smagłe palce wyciskały sok z tych ziół.

Tajemnica subtelnych kolorów liczy setki lat, a często dziesięć lat upłynie, nim tkacz ukończy takie dzieło sztuki. Potem wisi ono na ścianie, pełne tajemniczych symboli, śladów scen myśliwskich i rycerskich potyczek, z ozdobnym napisem na brzegu – wersem Ferdousiego albo aforyzmem Sadiego z Szirazu. I właśnie te liczne dywany na ścianach sprawiają, że pokój wydaje się ciemny. Niska sofa, dwa stołeczki inkrustowane masą perłową, dużo białych poduszek, a między tym wszystkim książki pełne zachodniej wiedzy: chemia, łacina, fizyka, trygonometria – bezsensowne brednie wymyślone przez barbarzyńców chcących stworzyć pozory cywilizacji.

Złożyłem książki i wyszedłem z pokoju. Wąska oszklona weranda z widokiem na dziedziniec prowadziła na płaski dach domu, skąd rozciągał się rozległy widok. Podziwiałem stamtąd swój świat: szeroki mur obronny starego miasta i ruiny pałacu z arabskim napisem nad wejściem. Przez gąszcz gwarnych ulic wędrowały wielbłądy o pęcinach tak delikatnych, że chciało się je pogłaskać. Przede mną wznosiła się okrągła, niezgrabna Baszta Dziewicza, osnuta mnóstwem legend i otoczona nie mniejszą liczbą gotowych do usług przewodników turystycznych. Dalej, za Basztą, zaczynało się morze – ołowiane i niezgłębione Morze Kaspjskie, przestrzeń bez kresu i bez historii. Z tyłu domu rozciągała się pustynia – nieregularne skały, piasek i cierniste zarośla; spokojna, głucha, nie do pokonania. Najpiękniejszy krajobraz na świecie.

Siedziałem na dachu w ciszy. Co mnie obchodziło, że istniały inne miasta, inne dachy i inne krajobrazy. Ja kochałem to płaskie morze i płaską pustynię, i miasto pomiędzy nimi – rozpadający się pałac i przybywających do miasta hałaśliwych ludzi, którzy poszukiwali ropy, bogacili się i wyjeżdżali, ponieważ nie kochali pustyni.

Służący przyniósł herbatę. Piłem ją i myślałem o egzaminie maturalnym. Nie martwiłem się nim zbyt, bo wiedziałem, że na pewno zdam, ale gdybym nawet go oblał, to też świat by się od tego nie zawalił. Chłopi w naszych dobrach mówiliby między sobą, że w uczonej zapale nie mam ochoty opuszczać „domu wiedzy”. Rzeczywiście szkoda było rozstawać się ze szkołą. Ładny był ten

szary mundur ze srebrnymi guzikami, epoletami i znaczkiem na czapce. W cywilnym stroju czułbym się nie dość zadbany i porządny. Bez munduru miałem jednak chodzić stosunkowo krótko, bo tylko przez lato. A potem – tak, potem miałem jechać do Moskwy, do Łazarewskiego Instytutu Języków Wschodnich. Sam się na to zdecydowałem, bo w tym będę znacznie lepszy od Rosjan. Od dziecka znam to wszystko, czego oni będą musieli się dopiero w pocie czoła uczyć. Ponadto nie ma piękniejszego munduru niż mundur Instytutu Łazarewskiego: czerwona marynarka, złoty kołnierz, wąska pozłacana szpada i rękawice z glansowanej skóry, noszone również w dni powszednie. Trzeba nosić mundur, żeby zyskać poważanie Rosjan – a ja muszę mieć ich szacunek, bo Nino nie wyszłaby za męża za człowieka, którego Rosjanie nie poważają. Zamierzam ożenić się z Nino, chociaż ona jest chrześcijanką. Gruzinki są najpiękniejszymi kobietami na ziemi. A jeśli nie będzie chciała? No cóż, wtedy wezmę paru odważnych ludzi, przerzucę Nino przez siodło i szybko myk przez perską granicę do Teheranu. Wtedy już zechce, bo co jej pozostanie?

Życie widziane z dachu naszego domu w Baku było piękne i proste.

Kerim, służący, dotknął mojego ramienia.

– Już czas – powiedział.

Podniosłem się. Naprawdę był już czas. Na horyzoncie, za wyspą Nargin, ukazał się parowiec. Jeśli wierzyć zadrukowanemu papierowi, który otrzymaliśmy od chrześcijańskiego telegrafisty, na tym parowcu znajdował się mój stryj z trzema kobietami i dwoma eunuchami. Miałem ich przywieźć do domu. Zszedłem po schodach i wsiadłem do powozu. Szybko jechaliśmy w dół w stronę hałaśliwego portu.

Stryj był wytwornym mężczyzną. Szach Naser ad-Din nadał mu tytuł Asad ed Dawleh – Lwa Imperium – i nie wolno go było nazywać inaczej. Miał trzy żony, dużo służby, pałac w Teheranie i wielkie dobra w Mazandaranie. Do Baku przybywał ze względu na jedną ze swoich żon. To była mała Zajnab – miała dopiero osiemnaście lat, a on kochał ją bardziej niż pozostałe żony. Zajnab

była chora i nie rodziła dzieci, tymczasem to właśnie z nią stryj chciał te dzieci mieć. Podróżowała już do Hamadanu – tam, pośrodku pustyni, wyciosany z czerwonego kamienia, stoi pomnik lwa o zagadkowym spojrzeniu. Wzniesli go dawni królowie, których imiona pochłonął czas. Do tego lwa od stuleci pielgrzymują kobiety, całują jego ogromne przyrodzenie i obiecują sobie po tym błogosławione macierzyństwo i radość z posiadania dzieci. Biednej Zajnab lew jednak nie pomógł, podobnie zresztą jak amulety derwiszy z Karbali, zaklęcia mędrców z Meszhedu ani tajemne sztuki starych, doświadczonych w miłości kobiet z Teheranu. Teraz jechała do Baku, by zręcznością zachodnich lekarzy osiągnąć to, czego nie mogła uzyskać dzięki miejscowej mądrości. Biedny stryj! Musiał zabrać ze sobą dwie pozostałe żony, stare i niekochane, bo tak nakazywał obyczaj: „Możesz posiadać jedną, dwie, trzy lub cztery żony, jeśli traktujesz je jednakowo”. A tak samo traktować oznacza dawać wszystkim to samo. Na przykład podróż do Baku.

To wszystko właściwie mnie nie dotyczyło. Miejsce kobiet jest w haremie, a harem to sprawa domu i gospodarza. Człowiek dobrze wychowany nie mówi o kobietach, nie pyta o nie i nie przekazuje im pozdrowień. Kobiety są cieniem swego męża, chociaż mężczyźni często dobrze się czują tylko w ich cieniu. I tak jest dobrze i mądrze. Mamy takie przysłowie, że kobieta ma rozumu nie więcej niż kurze jajo włosów. Istoty bez rozumu muszą mieć nadzór, inaczej przynoszą nieszczęście sobie i innym. Myślę, że to mądra zasada.

Mały parowiec zbliżył się do pirsu. Marynarze o szerokich, owłosionych klatkach piersiowych rzucili trap, po którym spływał w dół szeroki strumień pasażerów – Rosjan, Ormian i Żydów. Wszystko odbywało się w hałaśliwym pośpiechu, jakby chodziło o to, by znaleźć się na lądzie szybciej choćby o minutę. Stryja nigdzie nie było widać. „Pośpiech, rzecz diabelska”, mawiał często. Dopiero kiedy wszyscy podróżni opuścili statek, ukazała się stateczna postać Lwa Imperium.

Miał na sobie surdut z jedwabnym podbiciem, małą okrągłą czarną futrzaną czapkę i pantofle. Szeroka broda była farbowana henną, podobnie jak paznokcie, a wszystko to na pamiątkę krwi,

którą męczennik Husajn przelał ponad tysiąc lat temu w obronie prawdziwej wiary. Stryj miał małe zmęczone oczy i powolne ruchy. Za nim, wyraźnie podekscytowane, szły trzy postacie, od stóp do głów spowite w gęstą czarną materię. Kobiety. W dalszej kolejności widać było dwóch eunuchów: jeden o uczonej twarzy wysuszonej jaszczurki, drugi niski, obrzmiały i dumny – stróż honoru Jego Ekscelencji.

Stryj powoli schodził po trapie. Objąłem go i ucałowałem z czcią w lewe ramię, choć na ulicy wcale nie było to konieczne. Jego kobiet nie zaszczyciłem ani jednym spojrzeniem. Wsiedliśmy do powozu; kobiety z eunuchami jechali za nami w zamkniętej karecie. Był to tak imponujący widok, że nakazałem woźnicy nadłożyć drogi i pojechać przez nadbrzeżną promenadę, żeby miasto mogło należycie docenić mego stryja.

Na promenadzie stała Nino i patrzyła na mnie roześmianymi oczami.

Stryj pogładził się wytwornie po brodzie i zapytał, co nowego w mieście.

– Niewiele – odparłem, świadomy zachowywania właściwej kolejności. Rozmowę należało zaczynać od rzeczy mało istotnych i dopiero później przechodzić do spraw naprawdę ważnych. – Dadasz Beg zasztyletował w ubiegłym tygodniu Achunda Sadé, bo Achund Sadé powrócił do miasta, choć przed ośmiu laty uprowadził żonę Dadasza Bega. Tego dnia, kiedy powrócił, Dadasz Beg go zasztyletował. Teraz szuka go policja. Nie znajdą go, chociaż każdy wie, że Dadasz Beg siedzi w wiosce Mardakian. Mądrzy ludzie uważają, że Dadasz Beg postąpił słusznie.

Stryj kiwnął głową na znak aprobaty.

– Poza tym coś nowego?

– Tak, w Bibi-Ejbat Rosjanie odkryli dużo nowej ropy. Nobel sprowadził do kraju wielką niemiecką maszynę, żeby zasypać część morza i szukać tej ropy odwiertami.

Stryj był bardzo zdumiony.

– Allah, Allah... – rzekł i zacisnął usta.

– U nas w domu wszystko w porządku, a ja, jeśli Bóg pozwoli,

opuszczę w przyszłym tygodniu dom wiedzy.

Mówiłem tak przez cały czas, a stary słuchał wszystkiego w skupieniu. Dopiero gdy powóz zbliżał się do domu, spojrzałem w bok i powiedziałem na pozór obojętnie:

– Do miasta przyjechał sławny lekarz z Rosji. Ludzie mówią, że jest bardzo wiedzący i widzi w twarzy człowieka jego przeszłość i teraźniejszość, z których wyczytuje przyszłość.

Stryj miał półprzymknięte oczy i trwał w pełnym godności znudzeniu. Z całkowitą obojętnością zapytał o nazwisko tego mądrego człowieka. Zauważyłem, że był ze mnie bardzo zadowolony.

Wszystko to nazywano u nas bowiem dobrym zachowaniem i wytwornym wychowaniem.

## Rozdział 2

Na płaskim, osłoniętym od wiatru dachu naszego domu było nas trzech: ojciec, stryj i ja. Było bardzo gorąco. Siedzieliśmy ze skrzyżowanymi nogami na rozłożonych na dachu miękkich, wielobarwnych dywanach z Karabachu, na których rysowały się barbarzyńsko-groteskowe wzory. Za nami stali słudzy z oświetleniem. Na dywanach leżało mnóstwo orientalnych smakołyków – miodowniki, owoce kandyzowane, baranina na rożnie i ryż z kurczakiem i rodzynkami.

Od dawna podziwiałem elegancję ojca i stryja. Nie ruszając lewą ręką, urywali z chleba szerokie kawałki mięszu, formowali z nich rożki, które napelniali mięsem i wkładali do ust. Stryj z nieskończoną gracją wsuwał trzy palce prawej dłoni do tłustej, dymiącej potrawy z ryżu, wyjmował jej trochę, formował w kulkę, którą wkładał do ust, nie pozwalając upaść nawet jednemu ziarenku ryżu.

Na Boga, Rosjanie tak dużo się ćwiczą w sztuce jedzenia nożem i widelcem, choć nawet najgłupszy potrafi się tego nauczyć w ciągu miesiąca. Ja jem sobie wygodnie nożem i widelcem i wiem, jak się zachować przy europejskim stole. Ale chociaż mam już osiemnaście lat, nie potrafię z taką skończoną wytwornością jak mój ojciec albo stryj spałaszować trzema palcami tyłu orientalnych potraw, nie brudząc sobie przy tym reszty dłoni. Nino nazywa nasz sposób jedzenia barbarzyńskim. W domu Kipianich jada się zawsze po europejsku, przy stole, a u nas tylko wtedy, kiedy mamy rosyjskich gości. Nino bulwersuje sama myśl, że ja siedzę na dywanie i jem ręką. Zapomina, że jej własny ojciec dopiero w wieku dwudziestu lat po raz pierwszy trzymał w dłoni widelec.

Skończyliśmy jedzenie. Umyliśmy ręce i stryj krótko się pomodlił. Wtedy potrawy wyniesiono. Teraz nadszedł czas herbaty, podano nam małe filiżanki z esencjonalnym, ciemnym napojem, i stryj

zaczął mówić, jak mają w zwyczaju mówić po dobrym posiłku starzy ludzie – rozwlekłe i z wyraźną lubością. Ojciec wypowiadał tylko pojedyncze słowa, a ja milczałem, ponieważ tego wymaga obyczaj. Mówił tylko stryj, i to tak jak zawsze, kiedy przyjeżdżał do Baku. Opowiadał o czasach wielkiego szacha Nasera ad-Dina, na którego dworze odgrywał znaczącą, choć dla mnie niezbyt jasną rolę.

– Trzydzieści lat – mówił stryj – siedziałem na dywanie łaski króla królów. Jego Królewska Mość trzy razy zabierał mnie w swoje podróże zagraniczne. Podczas tych wyjazdów lepiej niż ktokolwiek inny poznałem świat niewiernych. Byliśmy w pałacach cesarza, królów i najślawniejszych chrześcijan naszych czasów. To dziwny świat, a najdziwniej obchodzi się z kobietami. Chodzą one bardzo nagie po pałacu – nawet kobiety cesarza i królów – i nikogo to nie oburza. Może dlatego, że chrześcijanie nie są prawdziwymi mężczyznami, a może z jakiegoś innego powodu, Bóg jeden wie. Niewierni oburzają się za to na zupełnie błahe sprawy. Kiedyś Jego Wysokość był zaproszony do stołu u cara. Obok niego siedziała żona cara. Na talerzu Jego Wysokości leżała piękna porcja kurczaka. Jego Wysokość wytwornie wziął tę piękną, tłustą część w trzy palce prawej ręki i przełożył ją ze swojego talerza na talerz żony cara, żeby jej usłużyć. Caryca zbladła jak ściana i ze strachu zaczęła kasłać. Później się dowiedzieliśmy, że wielu dworzan cara i książąt było wstrząśniętych tą uprzejmością szacha. Tak niskim poważaniem cieszy się kobieta u Europejczyków! Pokazują oni jej nagość całemu światu i nie dbają o uprzejmość wobec niej. Ambasador francuski po skończonym posiłku objął nawet żonę cara i kręcił się z nią przez całą salę przy dźwiękach takiej okropnej muzyki. Sam car i wielu oficerów z jego gwardii przyglądali się temu, ale nikt nie stanął w obronie czci tego władcy. W Berlinie nadarzył się nam jeszcze dziwniejszy spektakl. Zostaliśmy zaprowadzeni do opery. Na wielkiej scenie stała bardzo gruba kobieta i okropnie śpiewała. Opera nazywała się *Afrykanka*. Głos tej śpiewaczki bardzo nam się nie podobał. Cesarz Wilhelm to zauważył i natychmiast ją ukarał. W ostatnim akcie pojawiło się wielu Murzynów, którzy ułożyli na scenie wielki stos. Kobieta została



związana i powoli spalona. Byliśmy tym bardzo usatysfakcjonowani. Później ktoś nam powiedział, że ten ogień był symboliczny. Nie uwierzyliśmy w to jednak, bo ta kobieta krzyczała równie rozzwierająco jak heretyczka Hürriet ül Ain, którą nieco wcześniej kazał spalić szach.

Stryj zamilkł, zatopiony w myślach i we wspomnieniach. Następnie westchnął i ciągnął dalej:

– Jednego nie mogę jednak u chrześcijan zrozumieć: mają najlepszą broń, najlepszych żołnierzy i najlepsze fabryki, wytwarzające wszystko, co konieczne, żeby zwyciężyć wrogów. Każdy człowiek, który wynajdzie coś, co pozwala wygodnie, szybko i masowo zabijać innych ludzi, cieszy się wielką czcią, dostaje mnóstwo pieniędzy i order. Wszystko pięknie i dobrze, bo wojny są koniecznością. Z drugiej strony Europejczycy budują też szpitale, a człowiek, który wynajdzie jakiś środek przeciwko śmierci, albo człowiek, który podczas wojny leczy i żywi żołnierzy wroga, jest tak samo szanowany i otrzymuje order. Mój szlachetny pan, szach, zawsze się temu dziwił, że tak samo nagradza się ludzi, którzy robią rzeczy ze sobą sprzeczne, którzy dążą do rzeczy zupełnie przeciwnych. Kiedyś rozmawiał o tym z cesarzem w Wiedniu, cesarz jednak również nie potrafił mu tego wyjaśnić. Natomiast nami Europejczycy bardzo gardzą, dlatego że dla nas wrogowie są wrogami, dlatego że ich zabijamy, a nie ratujemy. Pogardzają nami, bo wolno nam mieć cztery żony, choć sami mają często więcej niż cztery, i dlatego, że żyjemy i rządymy, jak nam Bóg nakazał.

Stryj zamilkł. Zrobiło się ciemno. Jego cień przypominał chudego ptaka. Wyprostował się, odchrząknął jak stary człowiek i powiedział żarliwie:

– Chociaż my robimy wszystko, czego żąda od nas nasz Bóg, a Europejczycy nie robią nic z tego, czego chce ich Bóg, to ich władza i siła nieustannie rośnie, podczas gdy nasza stale maleje. Kto potrafi mi wyjaśnić, skąd się to bierze?

Nie potrafiliśmy mu tego powiedzieć. Podniósł się, stary i zmęczony, i zszedł na dół do swojego pokoju.

Ojciec poszedł za nim. Służący zabrał filiżanki po herbacie.

Pozostałem na dachu sam. Nie chciało mi się spać.

Nad naszym miastem rozciągała się ciemność podobna do leżącego na czatach zwierzęcia, w każdej chwili gotowego do skoku. To były właściwie dwa miasta, a jedno leżało w drugim niczym orzech w łupinie.

Tą łupiną była zewnętrzna część miasta, położona poza starym murem. Jej ulice były szerokie, domy wysokie, a ludzie chciwi i hałaśliwi. Zewnętrzna część miasta powstała z ropy, która pochodzi z naszej pustyni i daje bogactwo. To w tej części są teatry, szkoły, szpitale, biblioteki, policjanci i piękne kobiety z odkrytymi ramionami. Jeśli w zewnętrznej części miasta dochodziło do strzelaniny, to zawsze działo się to z powodu pieniędzy. To tam przebiegała granica Europy. W zewnętrznej części miasta mieszkała Nino.

Wewnątrz muru domy były wąskie i krzywe jak głownia wschodniej szabli. Wieżyczki minaretów sięgały wysoko i przebijały łagodny księżyc; były zupełnie inne niż wieże domu Nobłów. Przy wschodniej części muru stała Baszta Dziewicza. Mehmed Jussuf Chan, władca Baku, wzniósł ją ku czci swojej córki, którą chciał poślubić. Małżeństwo nie doszło do skutku, córka rzuciła się z wieży, kiedy ojciec wchodził po schodach do jej komnat. Kamień, na którym rozbiła się jej dziewicza głowa, nazywa się kamieniem dziewicy. Niekiedy narzeczone przynoszą tam kwiaty.

Wiele krwi spłynęło uliczkami naszego miasta – ludzkiej krwi. I ta przelana krew daje nam siłę i odwagę.

Tuż przed naszym domem wznosi się Baszta księcia Ciciszwilego. Tutaj również płynęła niegdyś krew – piękna, szlachetna krew ludzka. Było to dawno temu, gdy nasz kraj należał jeszcze do Persji i był zobowiązany do płacenia haraczu gubernatorowi Azerbejdżanu. Książę był generałem w armii carskiej i oblegał nasze miasto. A w mieście rządził Hassan Kuli Chan. I on otworzył bramy miasta, wpuścił księcia do środka i zadeklarował, że poddaje się wielkiemu białemu carowi. Książę wjechał do miasta w otoczeniu kilku zaledwie oficerów. Na placu za bramą zorganizowano ucztę. Płonęły ogniska, na roznach piekły się całe woły. Książę Ciciszwili upił się

i położył zmęczoną głowę na piersi Hassana Kuli Chana. Wtedy mój praprzodek Ibrahim Chan Szyrwanszyr wyjął wielki zakrzywiony sztylet i podał go władcy. Hassan Kuli Chan wziął sztylet i powoli podciął gardło księcia. Trysnęła krew i opryskała mu szaty, ale on ciął dalej, aż głowa księcia pozostała w jego rękach. Włożyli ją do worka z solą i mój praprzodek zawiózł ją do Teheranu do króla wszystkich królów. Car postanowił jednak pomścić ten mord i posłał w tym celu wielu żołnierzy. Hassan Kuli Chan zamknął się w pałacu, oddawał się modłom i myślał o nadchodzącym poranku. Kiedy carscy żołnierze wspinali się po murach, uciekł podziemnym, dziś już zasypanym, korytarzem na brzeg morza, a stamtąd odpłynął do Persji. Zanim zniknął w podziemnym przejściu, napisał na drzwiach bardzo mądre zdanie: „Kto myśli o jutrze, ten nigdy nie jest odważny”.

W drodze ze szkoły często zahaczałem o zrujnowany pałac. Jego sala sądów z potężnymi mauretańskimi kolumnadami stoi pusta i opuszczona. Kto w naszym mieście szuka sprawiedliwości, musi udać się do rosyjskiego sędziego poza murami, ale to robią tylko nieliczni pniacze. Nie dlatego bynajmniej, że rosyjscy sędziowie byli źli czy niesprawiedliwi. Nie, oni są łagodni i sprawiedliwi, ale w sposób, który naszemu ludowi nie odpowiada. Złodziej idzie do więzienia. Siedzi tam w czystej celi, dostaje herbatę, a nawet cukier do herbaty. Nikomu to nie pomaga, a już najmniej okradzionemu. No to ludzie wzruszają ramionami i sami sobie wymierzają sprawiedliwość. Po południu oskarżyciele przychodzą do meczetu, mądrzy starcy siedzą w kręgu i sądzą według prawa szariatu, zgodnie z nakazami Allaha – oko za oko, ząb za ząb. Niekiedy nocą uliczkami pomykają zamaskowane postacie: błysnie sztylet, dobiedzie się krótki okrzyk – i sprawiedliwości staje się zadość. Krwawe spory toczą się między rodzinami z kolejnych domów, rzadko ktoś idzie jednak do rosyjskiego sędziego, a jeśli to robi, to starsi nim pogardzają, a dzieci na ulicy pokazują mu język.

Niekiedy nocą jacyś ludzie niosą worek, z którego dobywa się stłumiony jęk. Lekki plusk wody nad morzem i worek znika. Następnego dnia jakiś człowiek siedzi na podłodze swego pokoju

w poszarpanym ubraniu, oczy ma pełne łez – wypełnił nakaz Allaha, by cudzołożnice karać śmiercią.

Nasze miasto skrywa wiele tajemnic. Jego zaułki pełne są dziwnych cudów. Kocham te cuda, kocham te zaułki, zapadającą ciemność nocy i milczącą medytację w rozpalone upałem popołudnia na dziedzińcu meczetu. Bóg przysłał mnie na świat tutaj jako muzułmanina wyznania szyickiego, szkoły wiernej nakazom imama Dżafara. Jak jest mi łaskawy, niechaj pozwoli mi tu także umrzeć – przy tej samej ulicy, w tym samym domu, w którym przyszedłem na świat. Mnie i Nino, która jest gruzińską chrześcijanką, jada nożem i widelcem, ma roześmiane oczy i nosi cienkie, pachnące jedwabne pończochy.

## Rozdział 3

Mundur maturzysty miał srebrzystą naszywkę na kołnierzu. Srebrna klamra paska i srebrne guziki lśniły nienagannie. Sztywny szary materiał był jeszcze ciepły od żelazka. Staliśmy z odkrytymi głowami w auli gimnazjum. Rozpoczęła się uroczysta część egzaminu, polegająca na tym, że wszyscy, jak nas było czterdziestu, błagaliśmy o pomoc prawosławnego Boga, choć tylko dwóch z nas należało do tego państwowego Kościoła.

Modlitwę rozpoczął pop w ciężkich od złota świątecznych szatach liturgicznych, z długimi pachnącymi włosami i okazałym złotym krzyżem w dłoni. Sala wypełniła się dymem kadzidła, nauczyciele i dwaj wyznawcy prawosławia przyklękli.

Słowa popa, wypowiedane śpiewnym tonem charakterystycznym dla prawosławia, w naszych uszach brzmiały obco i pusto. Jakże często w ciągu tych ośmiu lat słuchaliśmy ich obojętni i znudzeni: „Pobłogosław, Boże, Mikołaja Aleksandrowicza, najpobożniejszego, najpotężniejszego i najbardziej chrześcijańskiego naszego władcę i cara... Pobłogosław, Boże... wszystkich marynarzy, podróżnych, uczących się i cierpiących, wszystkich walczących, którzy oddali swe życie na polu chwały za wiarę, cara i ojczyznę, i wszystkich prawosławnych chrześcijan...”.

Znudzony wpatrywałem się w ścianę. Wisiał na niej naturalnej wielkości portret najbardziej bogobojnego i najpotężniejszego władcy i cara, stojącego pod wielkim dwugłowym orłem. Portret umieszczony był w złotych ramach i przypominał bizantyńską ikonę. Twarz cara była pociągła, włosy jasne, a chłodne oczy pogodnie patrzyły przed siebie. Władca miał na piersi ogromną liczbę orderów. Od ośmiu lat starałem się je policzyć, ale za każdym razem gubiłem się w ich wystawnym nadmiarze.

Dawniej obok obrazu cara wisiał też portret jego żony, ale potem go zdjęto, ponieważ muzułmanie gorszyli się wyciętą suknią carycy

i nie posyłali swoich dzieci do szkoły.

Podczas modlitwy popa nastrój zrobił się odświętny – był to w końcu nasz najbardziej emocjonujący dzień. Od najwcześniejszych godzin porannych robiłem wszystko, żeby godnie zdać ten egzamin. Z samego rana postanowiłem, że dla wszystkich w domu będę miły. Nie miałem jednak okazji tego okazać, bo wszyscy jeszcze spali. W drodze do szkoły dawałem pieniądze każdemu napotkanemu żebrakowi – w końcu lepiej się zabezpieczyć. W tym całym podekscytowaniu jednemu dałem nawet całego rubla zamiast pięciu kopiejek. Kiedy niezwykle wylewnie mi dziękował, powiedziałem z godnością:

– Nie mnie dziękuj, lecz Allahowi, który użył mojej ręki, byś to otrzymał!

Po tak pobożnej wypowiedzi nie sposób przecież oblać egzamin.

Modlitwa dobiegła końca. Powędrowaliśmy gęsiego do stołu egzaminacyjnego. Siedząca przy nim komisja przypominała gardziel przedpotopowego potwora: brodate twarze, smętne spojrzenia, złote galowe mundury – wszystko było bardzo uroczyste i budziło postrach. Baliśmy się, choć wiadomo było, że Rosjanie niechętnie oblewają muzułmanów. Każdy z nas ma wielu przyjaciół, a nasi przyjaciele to silne chłopaki ze sztyletami i z rewolwerami. Nauczyciele to wiedzą i bandytów, jakimi są ich uczniowie, obawiają się w nie mniejszym stopniu, niż uczniowie boją się ich, nauczycieli. Większość profesorów traktuje przeniesienie do Baku jak karę bożą. Nierzadkie były u nas przypadki napadów na nauczycieli i pobić w ciemnych uliczkach – sprawcy pozostawali zwykle nieznanymi, a nauczycieli trzeba było przenosić do innych miejscowości. To dlatego nauczyciele przymykają teraz oko na odpisywanie – na przykład Ali Chan Szyrwanszyr dość bezczelnie odpisuje zadania z matematyki od swojego sąsiada Metalnikowa. Tylko raz podczas ściągania nauczyciel podszedł do mnie i syknął zrozpaczony:

– Nie tak otwarcie, Szyrwanszyr, nie jesteśmy tu sami!

Pisemna matma poszła mi gładko. Z zadowoleniem włączyliśmy się po ulicy Mikołajewskiej, już prawie jak nie-uczniowie. Na

następny dzień zapowiedziany był pisemny rosyjski. Temat przyszedł, jak zwykle, w zapieczętowanej kopercie z Tyflisu. Dyrektor rozerwał kopertę i odczytał uroczyście: „Postacie kobiece u Turgieniewa jako idealne ucieleśnienie duszy kobiety rosyjskiej”.

Temat samograj. Mogłem pisać, co tylko chciałem, trzeba było tylko chwalić rosyjskie kobiety, a efekt był murowany. Pisemna fizyka była trudniejsza – ale i tu, kiedy zawodziła mądrość, pomagała sztuka odpisywania od kolegów. W ten sposób załatwiłem też fizykę, po czym komisja zapewniła mi dzień przerwy.

Potem był ustny. Tu żadna przebiegłość nie pomagała. Trzeba było udzielać trudnych odpowiedzi na łatwe pytania. Pierwszy był egzamin z religii. Gimnazjalny mułła w długiej, pofałdowanej narzucie, przepasany zieloną szarfą następcy Proroka, zwykle skromny i trzymający się w cieniu, teraz nagle siedział przy stole na samym przedzie. Był łagodny dla swoich uczniów – mnie zapytał tylko o wyznanie wiary, a kiedy je wypowiedziałem, wypuścił mnie z najwyższą oceną.

„Nie ma boga poza Allahem, Mahomet jest jego Prorokiem, a Ali namiestnikiem Allaha”.

Niezwykle ważna była ta ostatnia sekwencja, bo to ona odróżnia pobożnych szyitów od błędzących braci sunnitów, którzy jednak nie są do końca pozbawieni łaski i litości Allaha. Tak uczył nas mułła, ponieważ był bardzo liberalnym człowiekiem.

Nauczyciel historii już taki liberalny nie był. Wyciągnąłem kartkę z pytaniem, przeczytałem ją i wcale mi nie było do śmiechu. „Zwycięstwo Madatowa pod Gandżą”, stało tam czarno na białym. Nauczycielowi też nie było miło – w bitwie pod Gandżą Rosjanie podstępnie pokonali tamtego sławnego Ibrahima Chana Szyrwanszyra, przy którego pomocy Hassan Kuli niegdyś obciął głowę księciu Ciciszwilemu.

– Szyrwanszyr, może pan skorzystać ze swojego prawa i wymienić to pytanie.

Słowa nauczyciela brzmiały łagodnie. Popatrzyłem nieufnie na szklaną misę, w której niby losy loterii leżały kartki z pytaniami egzaminacyjnymi. Każdy uczeń miał prawo jeden raz zmienić

wylosowany temat, rezygnując wtedy tylko z najwyższej oceny. Ja jednak nie chciałem prowokować losu. Historię swoich przodków przynajmniej znałem, to już było coś. Tymczasem tam, w szklanej misie, leżały zagadkowe pytania o kolejność Fryderyków i Wilhelmów, i Fryderyków Wilhelmów w Prusach albo o przyczyny wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych. Któż by się na tym wszystkim wyznał. Pokręciłem głową.

– Dziękuję, zachowam to pytanie.

Potem opowiedziałem najlepiej, jak tylko potrafiłem, o księciu Abbasie Mirzy z Persji, który z czterdziestotysięcznym wojskiem wyruszył z Tebrizu, żeby przegonić z Azerbejdżanu Rosjan. O tym, jak ormiański generał Madatow spotkał się z nim pod Gandzą i zaczął z armat strzelać do Persów, jak Abbas Mirza spadł z konia i ukrył się w jakimś zagłębieniu terenu, cała armia rozpiezchła się na wszystkie strony, a Ibrahim Chan Szyrwanszyr z grupą wojowników podczas próby ucieczki przez rzekę został wzięty do niewoli i rozstrzelany.

– To zwycięstwo mniej wynikało z dzielności walczących, a bardziej z technicznej przewagi armat Madatowa. Konsekwencją zwycięstwa Rosjan był pokój w Turkmanczaju, w myśl którego Persowie musieli płacić haracz. Ściągnięcie tego haraczu spustoszyło pięć ich prowincji.

To zakończenie przypłaciłem oceną dobrą. Powinienem był powiedzieć: „Powodem tego zwycięstwa była bezprzykładna odwaga Rosjan, którzy zmusili ośmiokrotnie liczniejsze zastępy wroga do ucieczki. Wskutek tego zwycięstwa został zawarty pokój w Turkmanczaju, który umożliwił Persom kontakt z kulturą Zachodu i zachodnimi rynkami”.

Jakkolwiek było, honor mojego przodka miał dla mnie tę samą wartość co różnica między dobrym a dostatecznym.

Egzaminy wreszcie się skończyły. Dyrektor wygłosił uroczystą mowę. Z godnością i zwyczajową powagą ogłosił, że jesteśmy dojrzałymi, po czym my, niby zwolnieni więźniowie, rzuciliśmy się schodami w dół. Oślepiło nas słońce. Piasek pustyni pokrył asfalt drobnymi ziarenkami. Policjant na rogu ulicy, który przez osiem lat



nas łaskawie ochraniał, teraz podszedł do nas, pogratulował i otrzymał od każdego z nas po pięćdziesiąt kopiejek. Z wrzawą i hałasem rozlaliśmy się po całym mieście niczym horda bandytów.

Pospieszyłem do domu i zostałem tam przyjęty jak Aleksander po zwycięstwie nad Persami. Służba spoglądała na mnie trwożnie, ojciec mnie wyczuł i powiedział, że spełni trzy dowolne życzenia, jakie wypowiem. Stryj oznajmił, że tak mądry człowiek powinien się koniecznie znaleźć na teherańskim dworze, gdzie z pewnością daleko zajdzie.

Kiedy minęło pierwsze zamieszanie, przemknąłem ukradkiem do telefonu. Przez ostatnie dwa tygodnie nie rozmawiałem z Nino. Mądra zasada nakazuje, by mężczyzna stojący wobec ważnych kwestii życiowych unikał kontaktu z kobietami. Teraz podniosłem uchwyt nieforemnego aparatu, pokręciłem korbką z dzwonkiem i zawołałem do tuby:

– Trzydzieści trzy – osiemdziesiąt jeden!

Zgłosiła się Nino:

– Zdałeś, Ali?

– Zdałem, Nino.

– Gratuluje, Ali!

– Kiedy i gdzie, Nino?

– O piątej nad stawem w ogrodzie gubernatora, Ali.

Nie wolno było więcej rozmawiać. Za moimi plecami czały się ciekawskie uszy krewnych, służby i eunuchów. Za plecami Nino natomiast była wytworna pani matka. Tak więc tylko tyle. Zresztą głos bez ciała jest już sam w sobie czymś tak niezwykłym, że człowiek się nim właściwie nie cieszy.

Poszedłem na górę do dużego pokoju ojca. Ojciec siedział tam na dywanie i pił herbatę. Obok niego stryj. Słudzy stali przy ścianie i wpatrywali się we mnie. Matura jeszcze się nie skończyła, o nie! Na początku drogi życia ojciec musi przekazać synowi życiową mądrość – publicznie i w każdej postaci. Było to wzruszające i nieco staroświeckie.

– Mój synu, ponieważ wchodzisz właśnie w życie, muszę ci raz jeszcze przypomnieć obowiązki muzułmanina. Żyjemy tu w kraju

niewiary. Żeby nie zginąć, musimy przestrzegać dawnych zasad i starych obyczajów. Módl się często, mój synu, nie pij, nie całuj obcych kobiet, bądź dobry dla ubogich i słabych i zawsze bądź gotowy wyciągnąć miecz i polec za wiarę. Jeśli umrzesz w polu, to mnie, starego człowieka, będzie to bolało, ale jeśli zostaniesz przy życiu w hańbie, to mnie, staremu człowiekowi, będzie wstyd. Nie przebaczaj nigdy wrogowi, mój synu, my nie jesteśmy chrześcijanami. Nigdy nie myśl o jutrze, bo to sprawia, że się jest tchórzliwym, i nie zapomnij nigdy wiary Mahometa w szyickiej wykładni imama Dżafara.

Stryj oraz słudzy mieli uroczyście zamyślane twarze. Przysłuchiwali się słowom ojca, jakby to było objawienie. Potem ojciec się podniósł, wziął mnie za rękę i rzekł drżącym i stłumionym głosem:

– I o jedno cię błagam – nie zajmuj się polityką! Wszystko, cokolwiek chcesz, tylko nie polityka!

Przyrzekłem mu to z lekkim sercem. Od polityki byłem bardzo daleko. Z tego, co wiedziałem, Nino nie była problemem politycznym. Ojciec znowu mnie objął. Teraz już ostatecznie byłem dojrzałym człowiekiem.

O wpół do piątej przeszedłem – wciąż jeszcze w galowym mundurze maturalnym – ulicą Zamkową ku promenadzie przy plaży, potem skręciłem w prawo, minąłem pałac gubernatora i poszedłem w stronę jego ogrodu, założonego ogromnym wysiłkiem na pustynnej glebie Baku.

Czułem się dziwnie wolny. Co za uczucie! Obok mnie przejeżdżał swoim powozem komendant miasta, a ja nie musiałem się ani prostować, ani oddawać mu honorów wojskowych, jak to zmuszony byłem robić przez te osiem lat. Uroczyście odpiąłem od czapki srebrny znaczek z inicjałami bakijskiego gimnazjum. Przechadzałem się jako zwykły człowiek i przez chwilę odczuwałem nawet chęć publicznego zapalenia papierosa. Moja niechęć do tytoniu okazała się jednak silniejsza niż ta pokusa wolności. Nie zapaliłem i skręciłem do ogrodu.

Był to wielki, tonący w kurzu park, z niewieloma smutno

wyglądającymi drzewami i wylanymi asfaltem drózkami. Z prawej strony wznosił się stary mur fortyfikacji. Pośrodku lśniły białym marmurem doryckie kolumny miejskiego klubu. Przestrzeń pomiędzy drzewami wypełniały niezliczone ławki. Kilka zakurzonych palm zapewniało schronienie flamingom wpatrującym się w bezruchu w czerwoną kulę zachodzącego słońca. W pobliżu klubu znajdował się staw, to znaczy ogromny, okrągły i głęboki basen wyłożony kamiennymi płytami. Według założeń administracji miejskiej miała go wypełniać woda, a ożywiać – pływające łabędzie. Skończyło się jednak na dobrych chęciach – woda była droga, a w całym kraju nie było ani jednego łabędzia. Basen wpatrywał się wieczną pustką w niebo jak oko martwego cyklopa.

Usiadłem na ławce. Spoza bezładnego chaosu szarych czworokątnych domów i ich płaskich dachów jaśniało słońce. Cień drzewa rosnącego za mną robił się coraz dłuższy. Obok mnie przechodziła kobieta w prążkowanym niebiesko welonie przesłaniającym twarz i w klapiących kapciach. Spod welonu, niby dziób drapieżnego ptaka, wyglądał jej długi, zakrzywiony nos. Czułem się, jakby mnie obwąchiwała, więc odwróciłem wzrok. Opadło mnie jakieś dziwne zmęczenie. Dobrze, że Nino nie nosi zasłony na twarzy i nie ma długiego orlego nosa. Nie, nie chciałbym, żeby przesłaniała twarz, nie chciałbym jej chować. A może jednak? Sam już nie wiedziałem. Zobaczyłem twarz Nino w świetle zachodzącego słońca. Nino Kipiani – piękne gruzińskie nazwisko, poważani rodzice, europejskie nawyki. Co mnie to obchodzi? Nino miała jasną skórę i wielkie, roześmiane, skrzące się, ciemne kaukaskie oczy, przykryte delikatnymi długimi rzęsami. Tylko Gruzinka ma takie oczy pełne łagodnej radości. Nikt więcej – żadna Europejka, żadna Azjatka. Wąskie brwi w kształcie półksiężyca i profil Madonny. To porównanie zmąciło mi pogodny nastrój. Orient ma tyle porównań odnoszących się do mężczyzny – a dla kobiet pozostaje tylko porównanie do chrześcijańskiej Miriam, symbolu obcego i niezrozumiałego świata.

Spuściłem głowę. Miałem przed sobą wyasfaltowaną dróżkę ogrodu gubernatora, pokrytą pyłem wielkiej pustyni. Piasek

oślepiał. Zamknąłem oczy. Wtedy z boku rozbrzmiał swobodny, wesoły śmiech.

– Święty Jerzy! Zobacz Romea, który zasypia w oczekiwaniu na swoją Julię!

Zerwałem się. Obok mnie stała Nino. Nadal miała na sobie porządny niebieski mundurek liceum Świętej Tamary. Była bardzo szczupła, o wiele za szczupła jak na standardy Wschodu. Jednakże akurat ta wada budziła we mnie czułe współczucie. Nino miała siedemnaście lat, a ja znałem ją od pierwszego dnia, kiedy szła w górę ulicy Mikołajewskiej do liceum.

Usiadła. Jej oczy lśniły spoza delikatnej przesłony wywiniętych gruzińskich rzęs.

– Więc jednak zdałeś? Trochę się o ciebie martwiłam.

Objąłem jej ramiona.

– Było trochę strachu, ale sama widzisz, że Bóg pomaga pobożnym.

Nino się uśmiechnęła.

– Za rok u mnie to ty będziesz musiał przejąć rolę dobrego Boga. Liczę na to, że podczas mojego egzaminu będziesz siedział pod ławką i podpowiadał mi rozwiązania zadań z matematyki.

Tak się umówiliśmy już wiele lat temu, tamtego dnia, kiedy Nino – wówczas dwunastoletnia – cała we łzach przybiegła po mnie na długiej przerwie, zabrała do swojej klasy, gdzie przez całą godzinę siedziałem pod jej ławką i podpowiadałem jej rozwiązania zadań. Od tamtego dnia byłem w jej oczach bohaterem.

– A jak się mają twój stryj i jego harem? – spytała Nino.

Zrobiłem poważną minę. Tak naprawdę kwestie haremu były tajemnicą, ale wobec niewinnej ciekawości Nino wszelkie nakazy wschodniej obyczajności topniały jak wosk. Moja ręka zanurzyła się w jej miękkich czarnych włosach.

– Harem stryja właśnie przygotowuje się do odjazdu do domu. Zachodnia medycyna nieoczekiwanie podobno pomogła, choć dowodu jeszcze nie ma. Na razie dobrej myśli jest stryj, a nie ciotka Zajnab.

Nino zmarszczyła dziecięce czoło.

– To wszystko wcale nie jest ładne. Mój tata i moja mama są bardzo temu przeciwni. Harem to szkodliwa instytucja.

Mówiła jak uczennica odpowiadająca wyuczonym tekstem na zadane pytanie.

Dotknąłem ustami jej ucha.

– Ja nie będę miał haremu, Nino, na pewno nie.

– Ale na pewno zechcesz skryć swoją żonę pod burką!

– Być może, to zależy. Burka jest całkiem pożyteczna – chroni przed słońcem, kurzem i obcymi spojrzeniami.

Nino się zaczerwieniła.

– Ty zawsze będziesz Azjata, Ali. Co ci przeszkadzają obce spojrzenia? Kobieta chce się podobać.

– Ale tylko swojemu mężowi. Odkryta twarz, nagie ramiona, do połowy odkryte piersi, przezroczyste pończochy na szczupłych nogach – to wszystko są obietnice, które kobieta musi spełnić. Mężczyzna, który tyle widzi u kobiety, chce widzieć jeszcze więcej. I po to jest burka, żeby chronić mężczyznę przed takimi zachciankami.

Nino patrzyła na mnie zdumiona.

– Myślisz, że w Europie siedemnastoletnie dziewczyny i dziewiętnastoletni chłopcy też rozmawiają o takich rzeczach?

– Zapewne nie.

– W takim razie i my nie rozmawiamy – powiedziała zdecydowanie Nino i zacisnęła usta.

Głaskałem dłonią jej włosy. Nino uniosła głowę. Ostatni promień zachodzącego słońca padł na jej oczy. Pochyliłem się ku niej... Jej usta otworzyły się delikatnie i bezwolnie. Całowałem ją bardzo długo i pożądliwie. Nino oddychała ciężko, oczy jej się zamknęły, a cienie rzęs przesłaniały twarz. Potem mi się wyrwała. Milczeliśmy i wpatrywaliśmy się w ciemność. Po chwili podnieśliśmy się nieco zawstydzeni. Idąc obok siebie, wyszliśmy z ogrodu.

– Powinnam jednak nosić burkę – stwierdziła przed wyjściem.

– Albo spełnić obietnicę.

Uśmiechnęła się zażenowana. Znowu wszystko było dobre i proste. Odprowadziłem ją pod sam dom.

– Oczywiście przyjdę na wasz bal! – powiedziała na pożegnanie.  
Przytrzymałem jej rękę.

– Co robisz w wakacje, Nino?

– W wakacje? Jedziemy do Szuszi w Karabachu. Ale nie myśl sobie, to wcale nie oznacza, że ty też masz tam przyjechać.

– No dobrze, w takim razie widzimy się latem w Szuszi.

– Jesteś nieznośny. Nie wiem, dlaczego cię lubię.

Zniknęła za drzwiami. Eunuch stryja, ten o białej twarzy wyschniętej jaszczurki, na mój widok wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Gruzińskie kobiety są bardzo ładne, Chanie. Nie należy ich tak publicznie całować w ogrodzie, gdzie przechodzi tylu ludzi.

Uszczypnąłem go w błądy policzek. Eunuch może sobie pozwolić na każdą bezczelność. Nie jest ani mężczyzną, ani kobietą. Jest takim neutrum.

Poszedłem do ojca.

– Powiedziałeś, że w prezencie spełnisz trzy moje życzenia. Pierwsze już mam. Chcę to lato spędzić sam w Karabachu.

Ojciec długo na mnie patrzył, po czym z uśmiechem skinął głową.

## Rozdział 4

Zajnal Aga był zwykłym rolnikiem z wioski Binigady w pobliżu Baku. Posiadał kawałek pylistej, suchej pustynnej ziemi, którą uprawiał, dopóki małe zwyczajne trzęsienie ziemi nie rozerwało jego biednej chudoby, robiąc w gruncie rozpadlinę. Z tej rozpadliny trysnęła zaś ropa. Zajnal Aga nie musiał już odtąd być ani zaradny, ani mądry. Teraz nie był już w stanie uciec przed pieniędzmi. Wydawał je, ale pieniędzy przybywało – ciążyły mu, aż go znużyły. Kiedyś przecież po takim szczęściu musi nastąpić kara – i Zajnal Aga żył w oczekiwaniu tej kary, jak skazany w oczekiwaniu na stracenie. Budował meczety, szpitale, więzienia. Pielgrzymował do Mekki i zakładał ochronki dla dzieci. Jednak nieszczęście nie dało się przekupić. Jego osiemnastoletnia żona, którą poślubił w wieku siedemdziesięciu lat, pozbawiła go czci. Pomścił swój honor, jak należało, okrutnie i twardo, i był tym zmęczony. Jego rodzina się rozpadła, syn go opuścił, drugi ściągnął na niego ogromny wstyd, dopuszczając się zbrodni samobójstwa.

Teraz mieszkał w czterdziestu pokojach swego bakijskiego pałacu – szary, smutny i zgarbiony. Iljas Beg, jedyny syn, jaki mu pozostał, chodził z nami do klasy, dlatego nasz bal maturalny odbywał się u Zajnala Agi, w największej sali pałacu, której ogromny sufit wykonany był w całości z matowego górskiego kryształu.

O ósmej wchodziłem do tej sali po marmurowych schodach. Na górze Iljas Beg witał gości. Podobnie jak ja miał na sobie tradycyjne czerkieskie szaty z eleganckim wąskim sztyletem u pasa. Podobnie jak ja nie zdjął też futrzanej baraniej czapki – ten przywilej już teraz przysługiwał także nam.

– Salam alejkum, Iljasie! – zawołałem i prawą dłonią dotknąłem czapki.

Podaliśmy sobie ręce według dawnego naszego obyczaju: prawą ręką uściśnąłem jego prawicę, a on swoją lewą ręką – moją lewicę.

– Dzisiaj zamykamy leprozorium – szepnął do mnie.

Kiwnąłem głową z zadowoleniem.

Leprozorium to była tajemnica i wynalazek naszej klasy. Rosyjscy nauczyciele, choć od lat pracowali w naszym mieście, nie mieli pojęcia o najbliższej okolicy poza miastem. Naopowiadaliśmy im więc, że w pobliżu Baku znajduje się leprozorium. Kiedy jacyś koledzy chcieli iść na wagary, starosta klasy zjawiał się u wychowawcy i szcękając zębami, meldował, że kilku chorych uciekło z leprozorium do miasta i że szuka ich policja. Istnieje podejrzenie, że ukryli się właśnie w dzielnicy – tu wymieniał okolicę, z której pochodzili chętni na wagary delikwenci. Nauczyciel-wychowawca bladł jak kreda i zwalniał ich z lekcji aż do czasu pojmania chorych. Trwało to niekiedy tydzień albo dłużej, zależnie od potrzeb. Żadnemu z nauczycieli nie przyszło do głowy, by zapytać służby sanitarne, czy w pobliżu miasta w istocie znajduje się jakieś leprozorium. Najwyraźniej uważali, że po naszym budzącym w nich grozę kraju można się spodziewać wszystkiego. Dzisiaj leprozorium miało właśnie zostać uroczyście zamknięte.

Wszedłem do przepelnionej już sali. W rogu, w otoczeniu nauczycieli, siedział z wytwornie uroczystą miną dyrektor naszej szkoły, rzeczywisty tajny radca Wasilij Grigoriewicz Chrapko. Zbliżyłem się do niego i złożyłem mu pełen czci ukłon. Byłem rzecznikiem muzułmańskich uczniów, ponieważ miałem małąpią zdolność do naśladowania różnych języków i dialektów. Niektórzy z nas już przy pierwszym rosyjskim zdaniu zdradzali swe nierosyjskie pochodzenie, ale ja opanowałem nie tylko ten język, lecz także poszczególne dialekty rosyjskie. Nasz dyrektor pochodził z Petersburga, dlatego trzeba z nim było rozmawiać po petersbursku, a to znaczy seplenić spółgłoski i połykać samogłoski. Nie brzmi to ładnie, ale niezwykle wytwornie. Dyrektor nigdy nie zauważał kpin i cieszył się „z postępującej rusyfikacji tego odległego obszaru pogranicza”.

– Dobry wieczór, panie dyrektorze – powiedziałem układnie.

– Dobry wieczór, Szyrwanszyr. Jak tam, minęła już trauma maturalna?



– Tak, panie dyrektorze. Ale potem przeżyłem jeszcze okropną rzecz.

– Co takiego?

– No, tę historię z leprozorium. Był przy tym mój kuzyn Sulejman. On jest przecież pułkownikiem w pułku saliańskim. Od tamtego czasu jest całkiem chory, a ja musiałem się nim opiekować.

– A cóż się stało z leprozorium?!

– No nie! Pan dyrektor nic nie wie?! Wszyscy chorzy wyszli z niego i ruszyli wczoraj w stronę miasta. Trzeba było wysłać przeciwko nim dwie grupy żołnierzy z pułku saliańskiego. Chorzy zajęli dwie wioski. Żołnierze otoczyli je i wystrzelali wszystkich, zdrowych i chorych. W tej chwili podpalają domy. Czy to nie okropne, panie dyrektorze? Leprozorium nie istnieje. Pod bramami miasta leżą chorzy z psującymi się ciałami, z których poodpadały niektóre członki, niektórzy jeszcze rzeżący... Teraz polewają ich naftą i podpalają.

Dyrektorowi pot wystąpił na czoło. Prawdopodobnie zastanawiał się, czy nie nadszedł jednak czas, by poprosić ministra o przeniesienie w jakąś cywilizowaną okolicę.

– Okropny kraj, okropni ludzie – powiedział zgnębiony. – Zauważcie jednak, dzieci, jak ważne są sprawna administracja i szybko reagujące władze.

Klasa otoczyła dyrektora i z uśmiechem przysłuchiwała się jego wykładowi na temat błogosławieństwa porządku. Leprozorium zostało pogrzebane. Nasi następcy będą sobie musieli radzić, wykorzystując własną pomysłowość.

– A czy wie pan dyrektor, że syn Mehmeda Hajdara już drugi rok chodzi do naszego gimnazjum? – spytałem niewinnie.

– Cooooo?!

Dyrektorowi oczy niemal wyszły z orbit. Mehmed Hajdar był wstydem gimnazjum. W każdej klasie siedział co najmniej po trzy lata. Miał szesnaście lat, kiedy się ożenił, ale nadal chodził do szkoły. Jego syn miał dziewięć lat i przyszedł w to samo miejsce. Szczęśliwy ojciec próbował początkowo utrzymać tę sprawę w tajemnicy, ale kiedyś takie małe, okrągłe dziecko podeszło do

niego na dużej przerwie i z niewinnymi dużymi oczami powiedziało po tatarsku: „Tato, jeśli nie dasz mi pięciu kopiejek na czekoladę, to powiem mamie, że odpisywałeś zadanie z matematyki!”.

Mehmed Hajdar okropnie się zawstydził, spuścił lanie beczelnemu smykowi, a nas poprosił, żebyśmy jakoś przy okazji powiadomili dyrektora o jego ojcostwie.

– Uważa pan, że uczeń szóstej klasy, Mehmed Hajdar, ma syna, który już chodzi do pierwszej klasy? – spytał dyrektor.

– Tak właśnie jest. On bardzo prosi pana dyrektora o wybaczenie. Chce jednak, żeby jego syn też został takim uczonym jak on. To naprawdę poruszające, że pęd do zachodniej wiedzy zatacza coraz szersze kręgi.

Dyrektor poczerwieniał. Zastanawiał się w milczeniu, czy to, że ojciec i syn chodzą do tej samej szkoły, nie jest sprzeczne z jakimiś przepisami. Nie mógł się jednak zdecydować, czy tak jest. W ten sposób obaj Hajdarowie, starszy i młodszy, nadal mogli oblegać twierdzę zachodniej wiedzy.

Otworzyły się małe boczne drzwiczki sali, odsunięto na bok ciężką portierę. Dziesięcioletni chłopiec prowadził za rękę czterech ciemnoskórych niewidomych mężczyzn – muzykantów z Persji. Mężczyźni usiedli na dywanie w rogu sali. Naszym oczom ukazały się prastare perskie instrumenty własnego wyrobu. Rozległ się żaloszny dźwięk. Jeden z muzykantów powiódł dłonią do ucha – klasyczny gest orientalnych śpiewaków.

W sali zrobiło się cicho. Teraz inny zaczął grać z zachwytem na tamburynie. Śpiewak zaśpiewał wysokim falsetem:

*Jak perska szabla smukła jest twa postać,  
Usta twe są jak rubin rozżarzony.  
Gdybym był tureckim sułtanem, wziąłbym cię za żonę.  
W zwoje twoich warkoczy pereł bym nie żałował  
I twoje drobne stopy codziennie bym całował.  
W malutkiej złotej czarce  
Swe serce bym ci darował.*

Śpiewak zamilkł. Teraz rozległ się głos jego sąsiada z lewej strony. Głośny, brutalny, pełen nienawiści, krzyczał:

*A każdej nocy przez dziedziniec  
Jak szczur przemykasz  
Do domu sąsiada.*

Tamburyn brzmiał teraz dziko i groźnie. Jednostrunowe skrzypce szłochały. Trzeci śpiewak zawołał nosowo i namiętnie:

*On jest szakalem, niewiernym...  
O biada! O losie! O hańbo!*

Przez chwilę trwała cisza. Potem trzy, cztery krótkie takty i czwarty śpiewak rozpoczął cicho, egzaltowanie, niemal czule:

*Trzy dni już ostrzę sztylet,  
Czwartego nim wroga przebiję  
I poćwiartuję bezlitośnie.  
Ciebie, kochana, przez siodło przerzucę,  
Koń nas galopem w góry zanieśie...  
Wojenną chustę na twarz zarzucę  
I żyć będziemy w górach i w lesie.*

Stałem przed jedną z adamaszkowych kotar w tej sali. Obok mnie dyrektor i nauczyciel geografii.

– Co za okropna muzyka – powiedział cicho dyrektor. – Jak nocne wycie kaukaskiego osła. Co mogą znaczyć te słowa?

– Są tak samo bezsensowne jak muzyka – odparł nauczyciel.

Chciałem ulotnić się stamtąd na palcach.

Właśnie wtedy zauważyłem, że ciężki adamaszek się porusza. Rozejrzałem się ostrożnie i zobaczyłem, że stary człowiek o zupełnie siwych włosach i dziwnie jasnych oczach stoi za kotarą, przysłuchuje się tej muzyce – i płacze. Jego Ekscelencja Zajnal Aga,

ojciec Iljasa Bega. Miękkie dłonie o grubych niebieskich żyłach drżały – te ręce, które ledwie potrafiły napisać nazwisko swego właściciela i które rozporządzały ponad siedemdziesięcioma milionami rubli.

Spojrzałem w inną stronę. Zajnal Aga był zwykłym rolnikiem, a przecież lepiej rozumiał sztukę tych śpiewaków niż nauczyciele, którzy właśnie orzekli, że jesteśmy dojrzaali.

Pieśń się skończyła. Muzykanci zaintonowali jakąś kaukaską melodię taneczną. Przeszedłem przez salę. Uczniowie stali w grupach. Pili wino. Także muzułmanie. Ja nie piłem.

Dziewczyny – przyjaciółki i siostry naszych kolegów – gadały ze sobą po kątach. Było tam wiele Rosjanek z jasnymi warkoczami, niebieskimi lub szarymi oczami i nieszczerymi sercami. Rozmawiały tylko z Rosjanami, w najlepszym razie z Ormianami i Gruzinami. Jeśli jakiś muzułmanin do nich zagadał, to chichotały speszone, odpowiadały kilkoma słowami, po czym odwracały się w inną stronę.

Ktoś otworzył fortepian. Walc. Dyrektor tańczy z córką gubernatora.

No, wreszcie! Jej głos rozległ się od strony schodów:

– Dobry wieczór, Iljasie! Trochę spóźniona, ale nie ze swojej winy...

Wybiegłem z sali. Nie, Nino nie miała na sobie wieczorowej sukni ani galowego stroju swojego liceum. Miała mocno ściśniętą talię – tak szczupłą, że miałem wrażenie, iż mogę ją objąć jedną dłonią. Na suknię narzuciła krótką aksamitną kamizelkę ze złotymi guzikami. Długa czarna suknia, również z aksamitu, sięgała jej do stóp, tak że widziałem jedynie pozłacane czubki safianowych pantofelków. Na głowie miała małą okrągłą czapkę, wdzięcznie osadzoną na włosach, i dwa rzędy ciężkich złotych monet, które zwisały jej na czoło. Prastary strój gruzińskiej księżniczki, a do tego twarz bizantyńskiej Madonny.

Madonna się roześmiała.

– Nie, Ali Chanie, nie możesz się na mnie gniewać. Zasznurowanie tej sukienki trwa godzinę. To sukienka mojej babci

i tylko na waszą cześć się w nią wbiłam.

– Pierwszy taniec ze mną! – zawołał Iljas Beg.

Nino spojrzała na mnie pytająco. Kiwnąłem głową. Ja tańczę niechętnie i raczej słabo, a Iljasowi mogę powierzyć Nino. On wie, jak się zachować.

– *Modlitwa Szamila!* – krzyknął Iljas Beg.

Ślepi muzykanci natychmiast podjęli dziką melodię...

Iljas skoczył na środek sali. Wyciągnął sztylet. Jego stopy poruszały się w ognistym rytmie góralskiego tańca z Kaukazu. Ostrze błyskało mu w rękach. Nino tańczyła, przesuając się w jego stronę. Miała stopy jak małe, niezwykle zabawki. Rozpoczęło się misterium Szamila. Klaskaliśmy w rytm muzyki. Nino była narzeczoną, która miała zostać uprowadzona... Iljas wziął sztylet w zęby. Z rozpostartymi ramionami, podobny do drapieżnego ptaka, krążył wokół dziewczyny. Stopy Nino, wirując, frunęły przez salę. Jej giętkie ręce wyrażały wszystkie stopnie strachu, rozpacz i oddania. W lewej dłoni trzymała chusteczkę. Całe ciało jej drżało i tylko monety przy czapeczce trwały w niezmaconym porządku. Tak właśnie miało być i to było najtrudniejsze w tym tańcu. Tylko Gruzinka może w taki sposób zawrotnie obracać się w tańcu, że żadna moneta nie zadźwięczy o drugą. Iljas postępował za Nino jak myśliwy za zwierzyną. Nieustająco podążał za nią po szerokim kole. Zamaszyste gesty jego ramion stawały się coraz bardziej władcze, a obronne gesty Nino coraz bardziej czułe. Wreszcie zatrzymała się, podobna do przestraszonej sarny, którą dogonił myśliwy. Iljas zataczał wokół niej coraz ciaśniejsze kręgi, jego podskoki stawały się coraz szybsze. Oczy Nino coraz bardziej łagodniały, a ręce jej się trzęsły. Jeszcze krótki, dziki skowyt muzyki i ona otwiera lewą dłoń. Chusteczka upada na podłogę. I nagle świszczce sztylet Iljasa i przybija do podłogi kawałek jedwabiu.

Taki był koniec symbolicznego tańca miłości.

A tak w ogóle – czy już mówiłem, że przed tańcem przypiąłem Iljasowi swój sztylet, a sam wziąłem jego? To moja klinga przybiła chusteczkę Nino do podłogi. Tak jest bezpieczniej i pewniej, a mądra zasada uczy: „Nim powierzysz opiekę nad swoim wielbłądem

Allahowi, mocno przywiąż zwierzę do swojego płotu”.

## Rozdział 5

– Gdy nasi chwalebni przodkowie, o Chanie, przybyli do tego kraju, by uczynić swe imię wielkim i budzącym postrach, zawołali: „Kará bak!”. Zobacz, tam leży śnieg! Ale kiedy zbliżyli się do gór i zobaczyli puszcę, zawołali: „Karabágh!”. Czarny ogród! I od tamtego czasu kraj ten nazywa się Karabach. Wcześniej nazywał się Sünik, a jeszcze wcześniej Agwar. Musisz bowiem wiedzieć, o Chanie, że jesteśmy niezwykle starym i sławnym krajem.

Mój gospodarz, stary Mustafa, u którego zatrzymałem się w Szuszi, zamilkł pełen godności, wypił szklaneczkę karabaskiej wódki z owoców, odkroił sobie kawałek dziwnego sera splecionego z niezliczonych nitek i wyglądającego jak kobiecy warkocz, po czym paplał dalej:

– W naszych górach żyją *karanliki*, mroczne duchy, które pilnują naszych skarbów. Każdy to wie. A w lasach stoją święte skały i płyną święte strumienie. U nas jest wszystko. Idź przez miasto i patrz, czy ktoś pracuje – prawie nikt. Zobacz, czy ktoś jest smutny – nikt! Może ktoś jest głodny? Też nikt! Dziwisz się, że to niewiarygodne, panie?

Dziwiłem się doskonałemu załganiu tego ludu. Nie było historii, której by nie wymyślili, żeby wynosić swój kraj pod niebiosa. Wczoraj jakiś gruby Ormianin próbował mi wmówić, że pewien chrześcijański kościół w Szuszi ma pięć tysięcy lat.

– Nie kłamże tak – powiedziałem do niego. – Całe chrześcijaństwo istnieje niespełna dwa tysiące lat, a przecież chrześcijańska świątynia nie mogła zostać zbudowana przed Chrystusem.

Grubas był mocno urażony i rzekł z wyrzutem:

– Oczywiście, ty jesteś człowiekiem wykształconym. Pozwól jednak, że pouczy cię stary człowiek. Możliwe, że u innych ludów chrześcijaństwo ma dopiero dwa tysiące lat, ale nas, lud z Karabachu, Zbawiciel oświecił już trzy tysiące lat wcześniej. Tak to

jest.

Pięć minut później ten sam człowiek opowiadał mi najspokojniej w świecie, że francuski marszałek Murat był Ormianinem z Szuszi, że jako dziecko pojechał do Francji, by i tam rozślawić imię Karabachu.

Już w drodze do Szuszi, gdy przejeżdżaliśmy przez mały kamienny mostek, woźnica powiedział mi:

– Ten most zbudował Aleksander Wielki, gdy wyruszał do Persji dokonać wiekopomnych czynów.

Na dole balustrady widniała wryta data: 1897. Pokazałem mu to, ale on machnął tylko ręką:

– Ależ, panie, to Rosjanie później napisali, żeby umniejszyć naszą sławę.

Szuszi to zdumiewające miasto. Na wysokości półtora tysiąca metrów, zamieszkane przez Ormian i muzułmanów, od stuleci stanowiło pomost między Kaukazem, Persją i Turcją. Było pięknym miejscem, otoczonym górami, lasami i rzekami. Na górach i w dolinach wznosiły się małe gliniane chaty, które tutaj z dziecięcą zuchwałością nazywano pałacami. Mieszkali tam miejscowi feudałowie, ormiańscy melikowie i nacharar oraz muzułmańscy begowie i agalarowie. Ludzie ci godzinami przesiadywali na progach swoich domów, palili fajki i opowiadali sobie, jak często generałowie z Karabachu ratowali Rosję i cara i co by się stało z tym wielkim rosyjskim imperium, gdyby nie było Karabachu.

Od małej stacyjki kolejowej do Szuszi jechaliśmy konnym zaprzęgiem przez siedem godzin, pokonując strome serpentyny. My, to znaczy ja i mój koczi. Koczi to uzbrojeni słudzy, zawodowcy o skłonnościach rozbójników. Strzegą domów i ludzi, mają wojownicze oblicza, są obwieszani bronią i pogrążeni w mrocznym milczeniu. To milczenie może skrywać wspomnienia śmiałych rozbójów, ale może też nie skrywać zupełnie niczego. Ojciec dał mi jednego takiego na drogę, żeby mnie chronił przed obcymi lub obcych przede mną, nie było to dla mnie całkiem jasne. Był to pomocny człowiek, jakoś tam spowinowacony z domem Szyrwanszyrów i niezawodny, jak niezawodni potrafią być tylko krewni na Wschodzie.



Już od pięciu dni siedziałem w Szuszi, czekałem na przyjazd Nino i od rana do nocy słuchałem niekończących się opowieści o tym, że wszyscy bogaci lub w jakiś inny sposób znaczący na świecie ludzie właśnie stąd się wywodzili, oglądałem park miejski i liczyłem kopuły kościołów i minarety. Szuszi musiało być pobożnym miastem. Siedemnaście kościołów i dziesięć meczetów z naddatkiem wystarczało dla sześćdziesięciu tysięcy mieszkańców. Do tego dochodziły jeszcze niezliczone sanktuaria w pobliżu miasta, a na pierwszym miejscu oczywiście słynny grób, kaplica i dwa drzewa świętego Sary Bega, do którego zaciągnęły mnie miejscowe chwalipięty.

Grób świętego oddalony jest od Szuszi o godzinę drogi. Co roku pielgrzymuje do niego całe miasto na uroczystą biesiadę w świętym gaju. Najbardziej pobożni ludzie odbywają tę pielgrzymkę na kolanach. Jest to męczące, ale zapewnia takim osobom wyjątkowe uznanie. Przy grobie świętego nie wolno dotykać drzew. Kto dotknie choćby jednego ich liścia, natychmiast zostanie sparaliżowany. Tak wielka jest moc Sary Bega! Nikt nie potrafił mi powiedzieć, jakich cudów dokonał ten święty. Opowiadali mi za to, jak kiedyś, ścigany przez wrogów, konno pomknął na szczyt góry, na której dzisiaj leży Szuszi. Jego prześladowcy byli już bardzo blisko niego – a wtedy jego koń spiął się do wielkiego skoku przez górę, ponad skałami, ponad całym miastem Szuszi. W miejscu, gdzie ten koń wylądował, pobożni ludzie do dzisiaj mogą zobaczyć ukryty głęboko w skale odcisk podkowy. Tak zapewniali mnie w każdym razie miejscowi. Gdy wypowiedziałem kilka uwag na temat możliwości takiego skoku, odparli oburzeni:

– Ależ, panie, to był przecież koń z Karabachu!

A potem opowiedzieli mi sagę o karabaskim koniu. W ich kraju wszystko jest piękne, ale najpiękniejszy jest koń z Karabachu, ten sławny koń, za którego Agha Mohammad, szach Persji, chciał oddać cały swój harem. (Czy wiedzieliście, przyjaciele, że Agha Mohammad był eunuchem?). Ten koń był prawie święty. Mędracy przez stulecia rozmyślali i łączyli w pary najlepsze okazy, nim urodził się ten hodowlany cud – najlepszy koń świata, sławny

rudożółty, szlachetnej krwi koń z Karabachu.

Zaintrygowało mnie to, więc poprosiłem, żeby mi pokazali jednego z tych wspaniałych rumaków. Towarzyszący mi mieszkańcy Szuszi popatrzyli na mnie ze współczuciem.

– Łatwiej jest dostać się do haremu sułtana niż do stajni konia karabaskiego. W całym Karabachu nie ma nawet dwunastu takich prawdziwych rudożółtych koni. Kto je zobaczy, staje się koniokradem. Właściciel takiego konia dosiada swojego cudu jedynie w czasie wojny.

Musiałem się więc zadowolić tym, co mi o tym legendarnym koniu opowiedziano, i wróciłem do Szuszi. Siedziałem i wysłuchiwałem bająn starego Mustafy, czekałem na Nino i dobrze się czułem w tej baśniowej krainie.

– Twój przodek, chanie, prowadził wojny, ale ty jesteś uczonym człowiekiem i uczęszczałeś do domu mądrości. Na pewno słyszałeś więc o sztukach pięknych. Persowie są dumni z Sadiego, Hafiza i Ferdousiego, Rosjanie z Puszkina, a daleko na Zachodzie był poeta, który nazywał się Goethe i napisał poemat o diable.

– Czy wszyscy oni pochodzą z Karabachu? – wpadłem mu w słowo.

– Nie, nie to, szlachetny gościu, ale nasi poeci są lepsi, nawet jeśli nie chcą zaklinać dźwięków w martwe litery. Są tak dumni, że nie spisują swoich wierszy, tylko je wypowiadają.

– Jakich poetów masz na myśli? Aszugów?

– Tak, właśnie ich, aszugów – powiedział stary z naciskiem. – Oni mieszkają w wioskach wokół Szuszi, a jutro mają swój konkurs poetycki. Chcesz się tam wybrać i podziwiać ich kunszt?

Chciałem. Następnego dnia nasz powóz pojechał serpentynami w dół, do wioski Tash-Kenda, ostoji kaukaskiej sztuki poetyckiej.

Niemal w każdej wiosce Karabachu mieszkają miejscowi śpiewacy, którzy przez całą zimę układają wiersze, a wiosną ruszają w świat, by w chatkach i pałacach przedstawiać swoje pieśni. Istnieją jednak trzy wioski, zamieszkane tylko przez poetów, które na znak wielkiego szacunku, jaki budzi poezja w krajach Orientu, zwolnione są z wszelkich danin i podatków na rzecz miejscowych feudałów.

Jedną z takich wiosek jest Tash-Kenda.

Wystarczył jeden rzut oka, by stwierdzić, że mieszkańcy tej wioski nie byli zwyczajnymi chłopami. Mężczyźni nosili długie włosy, jedwabne ubrania i popatrywali na siebie nieufnie. Kobiety chodziły z tyłu za mężczyznami, sprawiały przygnębiające wrażenie i taszczyły instrumenty muzyczne. Wieś była pełna bogatych Ormian i muzułmanów, ściągających tu z całego kraju, by podziwiać aszugów. Na niewielkim placu zgromadzili się wszyscy chętni do słuchania poetów. Pośrodku stali dwaj zadziorni śpiewacy-księżęta, którzy mieli odbyć zacięty pojedynek. Na razie spoglądali drwiąco jeden na drugiego, a wiatr rozwiewał im długie włosy. Jeden z nich, Delikatny, zawołał:

– Twoje ubranie śmierdzi gnojem, twoja twarz jest podobna do świńskiego ryja, twój talent jest cieniutki jak włos na łonie dziewicy, a za marny grosz byłbyś gotów napisać wiersz szkalujący ciebie samego.

Drugi, Gniewny, odpowiedział szczekliwie:

– A ty nosisz ubranie katamity i masz głos eunucha. Nie możesz sprzedawać swego talentu, bo nigdy talentu nie miałeś. Żyjesz z okruchów, które spadają z obfitego stołu moich zdolności.

W ten sposób przez pewien czas obrzucali się błotem – żarliwie, choć nieco monotennie. Ludzie bili brawo. Potem zjawiał się siwowłosy starzec o twarzy apostoła i wymienił dwa tematy konkursu, liryczny i epicki: „Księżyc nad rzeką Araks” i „Śmierć szacha Aghi Mohammada”.

Obaj poeci popatrzyli w niebo. Potem zaśpiewali. Śpiewali o zagniewanym eunuchu Aghim Mohammadzie, który ciągnął do Tyflisu, by w tamtejszych siarkowych źródłach odzyskać męską siłę. Gdy kąpiele nie pomogły, eunuch zburzył miasto i kazał w straszliwy sposób stracić kobiety i mężczyzn. Jednakże w drodze powrotnej, właśnie w Karabachu, dopadł go los. Nocą w czasie snu został zaszyty w swoim namiocie – właśnie tu, w Szuszi. Wielki szach nic nie miał z życia. Głodował podczas wypraw wojennych. Jadał ciemny chleb i pił zsiadłe mleko. Podbił niezliczone kraje, a był biedniejszy od żebraka na pustyni. Eunuch

Agha Mohammad.

To wszystko zostało ujęte w klasyczne strofy, przy czym jeden poeta bardzo szczegółowo opisywał męki eunucha w kraju najpiękniejszych kobiet, a drugi z niezwykłą dokładnością przedstawiał okrutne stracenie kobiet. Słuchacze byli ukontentowani.

Poetom pot kapał z czoła. Potem Delikatny zawołał:

– Do czego podobny jest księżyc nad Araksem?

– Do oblicza twojej kochanki – przerwał mu Gniewny.

– Subtelna jest jego pozłota! – wołał Delikatny.

– Nie, jest jak tarcza wielkiego wojownika, który poległ – odparł Gniewny.

I tak coraz bardziej wyczerpywali swoje zapasy porównań. Następnie każdy z nich śpiewał pieśń o pięknie księżycy, o Araksie, który wije się przez równinę jak warkocz dziewczyny, i o zakochanych, którzy nocą chodzą nad jego brzegi i patrzą w księżyc odbijający się w wodach Araksu...

Zwycięzcą ogłoszono Gniewnego, który ze złośliwym uśmiechem przyjął jako nagrodę lutnię przeciwnika. Zbliżyłem się do niego. Patrzył smętnie przed siebie, podczas gdy jego mosiężna miska wypełniała się monetami.

– Cieszysz się ze zwycięstwa? – spytałem.

Splunął z pogardą.

– To nie jest żadne zwycięstwo, panie. Dawniej to były zwycięstwa. Sto lat temu. Wtedy zwycięzca mógł odrąbać zwyciężonemu głowę. Dawniej to był szacunek dla sztuki. Dzisiaj jesteśmy zniewieściali, nikt już nie przelewa krwi za wiersze.

– Jesteś teraz najlepszym poetą w kraju.

– Nie – powiedział, a jego oczy zrobiły się bardzo smutne. – Nie – powtórzył. – Ja jestem tylko rzemieślnikiem. Nie jestem prawdziwym aszugiem.

– A kto jest prawdziwym aszugiem?

– W miesiącu ramadan – odparł Gniewny – jest taka tajemnicza noc, Noc Kadyr. Tej nocy natura na godzinę zasypia. Strumienie przestają płynąć, złe duchy przestają pilnować skarbów. Można

usłyszeć, jak mówią drzewa i rośnie trawa. Z rzek wstają nimfy, a ludzie poczęci w Noc Kadyr są mędrkami i poetami. W Noc Kadyr aszug musi wezwać proroka Eliasza, patrona poetów. W swoim czasie prorok się ukazuje, daje poecie wypić napój z miseczki i mówi: „Od tej chwili jesteś prawdziwym aszugiem i cokolwiek widzisz na świecie, widzisz moimi oczami”. W ten sposób obdarzony talentem człowiek opanowuje żywioły; a zwierzęta, ludzie, wiatry i morza słuchają jego głosu, bo w jego słowie jest moc Wszechmogącego.

Gniewny usiadł na ziemi i wsparł twarz na dłoniach. A potem krótko i strasznie zapłakał.

– Nikt jednak nie wie, która noc jest Nocą Kadyr i która godzina jest tą właściwą godziną snu. Dlatego też nie ma prawdziwych aszugów.

Wstał i odszedł. Samotny, pochmurny, zamknięty w sobie. Wilk stepowy w zielonym raju Karabachu.

## Rozdział 6

Przy źródle Pechachpür drzewa spoglądały ku niebu jak młodzi święci. Źródło szemrało w swoim wąskim kamienistym korycie. Niewielkie wzgórza przesłaniały widok na Szuszi. Na wschodzie pola Karabachu ginęły w pyle stepów Azerbejdżanu. To stamtąd niósł się gorący oddech wielkiej pustyni, ogień Zaratustry. Niby biblijna kraina pasterzy obiecująco rozciągały się na południu łąki Armenii. Gaj wokół nas stał cichy i nieruchomy, jakby dopiero opuścili go ostatni antyczni bogowie. To im mógł być poświęcony ogień, którego dym jeszcze się przed nami unosił. Siedzieliśmy na jaskrawych dywanach wokół płomieni, towarzystwo rozbawionych Gruzinów i ja. Kielichy do wina, owoce, góry warzyw i żółtego sera porozstawiane były wokół ogniska. Pieczenie na roznach skwierczały nad dymiącym żarem. Przy źródle siedzieli sazandarzy, wędrowni muzykanci. W rękach mieli instrumenty, których już same nazwy brzmiały jak muzyka: *dajrab*, *czuniri*, *tar*, *dipipito*. Teraz akurat śpiewali jakiś bait, pieśń miłosną w perskim rytmie, której zażyczyli sobie Gruzini z wielkiego miasta, by spotęgować powab obcości tej okolicy. Nasz nauczyciel łaciny nazwałby tę wesołą próbę dopasowania się do miejscowych zwyczajów „atmosferą dionizyjską”. Wszystkich tych radosnych kuracjuszy zaprosiła na nocną ucztę rodzina Kipianich, która wreszcie przybyła do Szuszi.

Przede mną siedział tamada, kierujący całą uroczystością według ścisłych reguł miejscowego ceremoniału. Miał czerwonawą twarz, na której błyszcząły oczy i wyraźnie zaznaczały się obfite wąsy. W dłoni trzymał kielich, z którego do mnie przepijał. Sącyłem leciutko ze swojej szklaneczki, choć poza tym nigdy nie piję. Tamada był jednak ojcem Nino i byłoby nieuprzejmie nie pić w ogóle, kiedy on się tego domaga.

Słudzy przynieśli wodę ze źródła. Kto ją pił, mógł jeść, ile chce, i nie czuć przesyty, ponieważ także woda z Pechachpür jest jednym

z niezliczonych cudów Karabachu.

Piliśmy tę wodę i góra jedzenia malała. Widziałem surowy profil matki Nino, oświetlany migotliwie ogniem. Siedziała obok męża i oczy jej się śmiały. Te oczy pochodziły z Megrelii, równiny nad rzeką Rioni, gdzie niegdyś czarodziejka Medea spotkała argonaute Jazona.

Tamada wzniosł kielich.

– Na cześć Jego Księżęcej Wysokości Dadianiego.

Starzec o dziecięcych oczach podziękował. Zaczynała się trzecia runda. Opróżniono kielichy. Legendarna woda z Pechachpür pomagała także podczas picia – nikt nie był pijany, rausz serca ożywia bowiem tylko Gruzinów podczas gościny. Ich głowy pozostają niezmacone jak woda z Pechachpür.

Blask licznych ognisk rozjaśniał gaj. Nie byliśmy tam jedynymi biesiadnikami i biboszami. Całe Szuszi pielgrzymowało co tydzień do różnych źródeł i ludzie bawili się do samego brzasku. Chrześcijanie i muzułmanie wspólnie świętowali w pogańskim cieniu świętego gaju.

Popatrzyłem na siedzącą obok mnie Nino. Była zwrócona w inną stronę. Rozmawiała z siwowłosym Dadianim. Tak należało – starości szacunek, młodości miłość.

– Musi pani kiedyś przyjść do mnie, na mój zamek Zugdidi – rzekł starzec – nad rzeką Rioni, w której niegdyś niewolnicy Medei łowili runem złoto. Pan też niech przyjdzie, Ali Chanie. Zobaczy pan tropikalną puszcę z prastarymi drzewami.

– Chętnie, Wasza Wysokość, ale tylko ze względu na Waszą Wysokość, nie na drzewa.

– Co ma pan przeciwko drzewom? Dla mnie są ucieleśnieniem spełnionego życia.

– Ali Chan boi się drzew jak dziecko duchów – powiedziała Nino.

– Nie jest tak źle, ale dla mnie to pustynia jest tym, czym dla was są drzewa.

Dadiani zamrugał dziecięcymi oczkami.

– Pustynia – rzekł. – Wypalone krzewy i gorący piasek.

– Świat drzew wprawia mnie w pomieszenie, Wasza Wysokość.

Jest straszny i zagadkowy, pełen duchów i demonów. Ogranicza spojrzenie. Jest ciemny. Promienie słońca gubią się w cieniu drzew. Wszystko jest nieprawdziwe i tonie w półmroku. Nie, ja nie kocham drzew. Cienie lasu mnie przygnębiają, a szelest gałęzi sprowadza na mnie smutek. Lubię proste rzeczy: wiatr, piasek i skały. Pustynia jest prosta jak cięcie mieczem. Las jest skomplikowany jak węzeł gordyjski. Nie znam się na lesie, Wasza Wysokość.

Dadiani patrzył na mnie zamyślony.

– Ma pan duszę człowieka pustyni – powiedział. – Możliwe, że istnieje tylko jeden właściwy podział ludzi – na ludzi lasu i ludzi pustyni. Sucha nietrzeźwość Orientu pochodzi z pustyni, gdzie gorący wiatr i gorący piasek upajają człowieka, gdzie świat jest prosty i bezproblemowy. Las jest pełen pytań. Tylko pustynia o nic nie pyta, niczego nie daje ani nie obiecuje. Jednakże ogień duszy pochodzi z lasu. Człowiek pustyni – widzę go – on ma tylko jedno uczucie i zna jedną prawdę, która go wypełnia. Człowiek lasu ma wiele twarzy. Fanatyk pochodzi z pustyni, twórczy człowiek – z lasu. To jest chyba główna różnica między człowiekiem Wschodu a Zachodu.

– Dlatego my, Ormianie i Gruzini, kochamy las – wtrącił się Melik Nachararian, gruby mężczyzna pochodzący z jednego z najszlachetniejszych rodów armeńskich. Miał wypukłe oczy, bujne brwi oraz skłonność do filozofowania i picia. Dobrze się rozumieliśmy. Wypił do mnie i zawołał: – Ali Chanie! Orły pochodzą z gór, tygrysy z dżungli. Co pochodzi z pustyni?

– Lwy i wojownicy – odpowiedziałem, a Nino zaklaskała z zadowoleniem w dłonie.

Podano pieczeń baranią na roznach. Coraz to dolewano do kielichów. Gruzińska radość życia rozlewała się na cały las. Dadiani dyskutował z Nachararianem, a Nino zerknęła na mnie chytrze i pytająco.

Przytaknąłem. Już się ściemniło. W blasku ogniska ludzie przypominali duchy albo zbójców. Nikt nie zwracał na nas uwagi. Podniosłem się i powoli poszedłem do źródła. Pochyliłem się nad wodą i wypilem ją z dłoni. Dobrze mi zrobiła. Długo wpatrywałem



się w gwiazdy odbijające się w ciemnej toni wody. Za mną rozbrzmiały kroki. Sucha gałązka trzasnęła pod małą nóżką... Wyciągnąłem rękę, a Nino ją chwyciła. Weszliśmy głębiej w las. Drzewa patrzyły na nas groźnie i potępiająco. Nie było to tak zupełnie w porządku, że odeszliśmy od ogniska i że Nino usiadła na skraju niewielkiej łąki i pociągnęła mnie do siebie. W radosnym Karabachu panują surowe obyczaje. Stary Mustafa opowiadał mi ze zgrozą, że osiemnaście lat temu w kraju doszło do cudzołóstwa. Od tamtego czasu znacznie zmniejszyły się zbiory owoców.

Patrzyliśmy na siebie. Twarz Nino, oświetlana światłem księżyca, była blada i zagadkowa.

– Księżniczka – powiedziałem, a Nino popatrzyła na mnie z boku.

Od dwudziestu czterech godzin była księżniczką, a dwadzieścia cztery lata trwało, nim jej ojciec zdołał przeforsować w Petersburgu prawo do używania tego tytułu. Dziś rano przyszedł telegram z Petersburga. Stary cieszył się jak dziecko odnalezione przez matkę i zaprosił nas wszystkich na tę nocną ucztę.

– Księżniczka – powtórzyłem i wziąłem jej twarz w dłonie.

Nie broniała się. Może wypiła zbyt dużo kachetyjskiego wina. A może to las i księżyc ją otumanili. Całowałem ją. Miała miękkie i ciepłe dłonie. Nasze ciała dobrze się rozumiały, a suche gałązki trzaskały cicho pod nami. Leżeliśmy na miękkim mchu i Nino patrzyła mi w twarz. Dotykałem małych krągłości jej jędrnych piersi i ssałem zapach i lekko słony smak jej skóry. Czułem, że z Nino dzieje się coś dziwnego, co udziela się i mnie. Składała się teraz z samych zmysłów, a te zmysły były jak skupiona siła oddechu całej ziemi. Poczuła błogość życia swoim ciałem – oczy zaszły jej mgłą, twarz się wydłużyła i spoważniała. Rozchyliłem jej sukienkę. W świetle księżyca skóra Nino połyskiwała żółto jak opal. Słyszałem bicie jej serca, a ona mówiła słowa pełne bezsensownej czułości i tęsknoty. Zanurzyłem twarz między jej małe piersi. Kolana Nino drżały. Po jej twarzy płynęły łzy, a ja je całowałem i osuszałem wilgotne policzki. Nino podniosła się i milczała, sama poruszona zagadkami własnej natury i swoimi uczuciami. Miała dopiero siedemnaście lat, ta moja Nino, i chodziła do liceum Świętej Tamary.

Potem odezwała się:

– Myślę, że ja cię kocham, Ali Chanie, mimo że zostałam księżniczką.

– Może nie pozostaniesz nią długo – odparłam, a ona popatrzyła na mnie pytająco.

– Co masz na myśli? Że car znowu odbierze nam ten tytuł?

– Ty go stracisz, kiedy wyjdiesz za mąż. Ale chan to też piękny tytuł.

Nino skrzyżowała ręce na karku, odchyliła głowę do tyłu i roześmiała się.

– Chan może tak, ale kobieta... Chanowa? Chanka? Taki tytuł w ogóle nie istnieje! A tak w ogóle, Ali, to masz osobliwy sposób oświadczenia się – jeśli to miały być oświadczyzny.

– Miały być.

Nino gładziła palcami moją twarz, a potem jej palce zagłębiły się w moich włosach.

– A jeśli powiem „tak”, to pewnie zachowasz dobre wspomnienie o lesie pod Szuszi i zawrzesz pokój z drzewami, prawda?

– Tak, myślę, że tak.

– Ale w podróż poślubną pojedziesz do stryja w Teheranie, a ja, dzięki wyjątkowej protekcji, będę mogła odwiedzić cesarski harem, wypić herbatę i porozmawiać w nim z wieloma grubymi kobietami.

– No i co?

– I później mogę jeszcze zobaczyć pustynię, bo tam nie ma nikogo, kto by z kolei mógł zobaczyć mnie.

– Nie, Nino. Nie musisz oglądać pustyni, nie spodobałaby ci się.

Nino objęła mnie za szyję i przycisnęła nos do mego czoła.

– Może naprawdę za ciebie wyjdę za mąż, Ali Chanie. Ale czy zastanowiłeś się dobrze, ile trzeba będzie pokonać przeciwności oprócz lasu i pustyni?

– Jakich przeciwności?

– Po pierwsze moi rodzice, mama i tata, będą umierać ze zmartwienia, że wychodzę za muzułmanina. Poza tym twój tata cię przeklnie i zażąda, żebym ja przeszła na islam. A jeśli to uczynię, to ojczulek car ześle mnie na Syberię z powodu porzucenia

chrześcijaństwa. A ciebie razem ze mną z powodu nakłaniania mnie do tego przestępstwa.

– Będziemy siedzieć na wielkiej krze pośrodku Morza Arktycznego i zjedzą nas białe niedźwiedzie – roześmiałem się. – Nie, Nino, nie będzie tak źle. Nie musisz przechodzić na islam, twoi rodzice nie umrą ze zmartwienia, a w podróż poślubną pojedziemy do Paryża i Berlina, żebyś zobaczyła drzewa w Lasku Bulońskim i w Tiergarten. Jak się na to zapatrujesz?

– Jesteś dla mnie za dobry – powiedziała zdziwiona – a ja nie powiem „nie”, ale na „tak” też mamy jeszcze czas. Ja ci przecież nie ucieknę. Kiedy skończę szkołę, porozmawiamy z rodzicami. Nie wolno ci mnie tylko porywać. Tego jednego ci nie wolno. Wiem, jak wy to robicie: przez siodło, w góry, a potem długotrwała krwawa wojna z rodem Kipianich.

Nagle wypełniła ją taka swawolna radość, że wszystko w niej zdawało się śmiać, nie tylko twarz, ale i ręce, stopy, cała skóra. Oparła się o pień drzewa, opuściła głowę i spojrzała na mnie z dołu. W cieniu kory drzewa wyglądała na egzotyczne zwierzę kryjące się w lesie i lękające się myśliwego.

– Chodźmy – rzekła i poszliśmy przez las do ogniska. Po drodze przyszło jej coś do głowy. – Ale nasze dzieci? Jakiego wyznania będą nasze dzieci? – spytała zatroskana.

– Na pewno jakiegoś dobrego i sympatycznego – odparłem wymijająco.

Popatrzyła na mnie nieufnie i przez chwilę milczała, a potem odezwała się zasmucona:

– Czy ja w ogóle nie jestem dla ciebie za stara? Niedługo skończę siedemnaście lat. Twoja przyszła żona powinna dziś mieć ze dwanaście lat.

Uspokoilem ją. Nie, z pewnością nie jest dla mnie za stara. Co najwyżej za mądra; nikt przecież nie wie, czy mądrość zawsze jest zaletą. Może my wszyscy tu, na Wschodzie, zbyt szybko jesteśmy dojrzały, starzy i mądrzy. A może wszyscy razem jesteśmy głupi i prości – sam już nie wiedziałem. Byłem rozkojarzony tymi drzewami, rozpraszała mnie Nino i odległy blask wielkiego ogniska,

a najbardziej rozpraszałem siebie ja sam – może zbyt wiele kachetyjskiego wina łyknąłem, udając, że piję, i jak pustynny rozbójnik rozgościłem się w cichym ogrodzie miłości.

Nino nie wyglądała jednak na ofiarę rozbójnika. Patrzyła przed siebie spokojnie, pewnie i otwarcie. Gdy dotarliśmy do źródła Pechachpür, nie było już po niej widać śladów łez, śmiechu i czulej tęsknoty. Nikt tam nie podejrzewał naszego zniknięcia. Usiadłem przy ognisku i nagle poczułem, jak gorące mam usta. Nappełniłem swój kieliszek wodą ze źródła i łąpczywie wypilem. Gdy odstawiałem kieliszek, napotkałem spojrzenie Melika Nacharariana, który wpatrywał się we mnie przyjaźnie, uważnie i trochę protekcyjnie.

## Rozdział 7

Leżałem na niskiej otomanie na tarasie małego domku i marzyłem o miłości. Była zupełnie inna, niż być powinna, od samego początku inna. Spotkałem Nino nie przy źródle podczas nabierania wody, tylko na Mikołajewskiej, w drodze do szkoły. Dlatego też była to całkiem inna miłość niż miłość mojego ojca, dziadka czy stryja. Przy źródle zaczyna się miłość młodego człowieka Orientu, przy małym, spokojnym i szemrzącym wiejskim źródelku albo przy dużej śpiewającej fontannie w wielkim mieście. Każdego wieczoru dziewczyny z wysokimi dzbanami na ramionach idą do źródła, obok którego w kręgu siedzą mężczyźni i w ogóle nie zwracają uwagi na przechodzące. Gadają o wojnie i o rozbojach. Dziewczyny powoli napełniają dzbany i powoli wracają. Dzban jest ciężki, po same brzegi wypełniony wodą. Żeby się nie potknąć, dziewczyny odsłaniają twarze i obyczajnie spuszczały oczy.

Dziewczyny chodzą do źródła każdego wieczoru i każdego wieczoru na końcu placu siedzą młodzi mężczyźni. Tak na Wschodzie zaczyna się miłość.

Przypadkiem, zupełnym przypadkiem, dziewczyna uniesie wzrok i rzuci spojrzenie mężczyznom. Mężczyźni tego nie zauważają. Tylko kiedy dziewczyna wraca, jeden z nich odwraca się i spogląda w niebo. Niekiedy jego spojrzenie skrzyżuje się przy takiej okazji ze spojrzeniem dziewczyny – ale nie zawsze; wtedy następnego dnia na jego miejscu siedzi inny. Jeśli spojrzenia dwojga kilkakrotnie skrzyżowały się przy źródle, wtedy wszyscy wiedzą, że miłość się zaczęła.

Dalej sprawy toczą się już same. Zakochany wędruje w pobliżu miasta i śpiewa ballady, jego rodzina negocjuje cenę panny młodej, a starsi mężczyźni obliczają, ilu wojowników przysporzy światu para młoda. Wszystko jest proste, wcześniej ustalone i omówione.

A jak to jest u mnie? Gdzie jest moje źródło? Gdzie przesłonięta

twarz Nino? To dziwne: kobiety nie widać zza burki, ale i tak się ją zna – jej przyzwyczajenia, myśli, oczekiwania. Przesłona zakrywa oczy, nos i usta. Nie zakrywa jednak duszy, a dusza orientalnej dziewczyny nie kryje zagadek. Zupełnie inaczej niż u kobiet, które mają odsłonięte twarze. Widać im oczy, nos, usta, niekiedy nawet znacznie więcej – ale tego, co się kryje za tymi oczami, nigdy się nie wie, nawet jeśli człowiek czasem myśli, że wie to dokładnie.

Kocham Nino, a jednak ona wprawia mnie w pomieszanie. Cieszy się, kiedy inni mężczyźni oglądają się za nią na ulicy, tymczasem dobra muzułmanka byłaby tym oburzona. Nino mnie całuje, mogę dotykać jej piersi i gładzić jej uda. A przecież nie jesteśmy jeszcze zaręczeni. Nino czyta książki, w których wiele się mówi o miłości, a potem ma rozmarzone i przepełnione tęsknotą oczy. Kiedy ją pytam, za czym tęskni, zdziwiona potrząsa głową, bo najwyraźniej sama tego nie wie. Ja nigdy nie tęsknię za niczym oprócz tego, że tęsknię za nią. Gdy Nino jest przy mnie, wtedy w ogóle nie znam innej tęsknoty. Myślę, że u Nino bierze się to stąd, że zbyt często bywała w Rosji. Ojciec zabierał ją zawsze do Petersburga, a przecież wiadomo, że rosyjskie kobiety są szalone. Mają nazbyt tęskne oczy, często oszukują swoich mężczyzn, a mimo to rzadko mają więcej niż dwoje dzieci. Tak je Bóg karze! Ale mimo to kocham Nino. Jej oczy, głos, jej śmiech, jej sposób mówienia i myślenia. Ożenię się z nią, a ona będzie dobrą żoną jak wszystkie Gruzinki, chociaż są oprócz tego takie radosne, figlarne albo zamyślane. Inszallah.

Odwróciłem się na drugi bok. Zmęczyło mnie to rozmyślanie. Znacznie przyjemniej było zamknąć oczy i marzyć o przyszłości, to znaczy o Nino, ponieważ przyszłość to nasze małżeństwo, przyszłość zacznie się tego dnia, kiedy Nino zostanie moją żoną, w dniu naszego ślubu.

To będzie ekscytujący dzień. Nie będę mógł wtedy widzieć Nino, nie ma bowiem nic bardziej niebezpiecznego dla nocy poślubnej, niż kiedy para młoda w dniu ślubu patrzy sobie w oczy. Moi przyjaciele pojedą konno i z bronią, żeby przywieźć Nino. A ona będzie cała zakryta – tylko tego jednego dnia będzie musiała włożyć wschodni

strój. Mułła będzie zadawał pytania, moi przyjaciele będą stali w czterech kątach sali i szeptali zaklęcia przeciwko impotencji. Tak nakazuje obyczaj, a każdy człowiek ma wrogów, którzy w dniu ślubu wyciągają do połowy sztylet z pochwy, zwracają twarz na zachód i szepczą: „*Anisani, banisani, mamawerli, kaniani*, on nie może, on nie może, on nie może”.

Bogu dzięki mam jednak i dobrych przyjaciół, a Iljas Beg zna na pamięć wszystkie formuły zaklęć, które mogą człowieka przed tym uchronić.

Natychmiast po ślubie rozdzielimy się – Nino pójdzie do swoich przyjaciółek, a ja do przyjaciół. Każde z nas osobno będzie świętowało pożegnanie młodości.

A potem? No właśnie, co potem?

Otwieram na chwilę oczy, widzę drewniany taras i drzewa w ogrodzie, zamykam je znowu, żeby lepiej zobaczyć, co będzie później. Dzień ślubu jest przecież najważniejszym dniem, w ogóle jedynym ważnym dniem w życiu i do tego dniem niezwykle trudnym.

W noc poślubną niełatwo jest dostać się do pokoi panny młodej. Przy każdych drzwiach w długim korytarzu stoją milczące postacie, które pozwolą przejść dopiero wtedy, kiedy wciśnie się im w dłoń monetę. W pokoju panny młodej życzliwi przyjaciele umieszczają zwykle koguta, kota albo coś równie nieoczekiwanego. Trzeba się będzie dobrze rozejrzeć, bo zdarza się, że w łóżku chichocze jakaś stara babcia, której także trzeba dać pieniądze, żeby opuściła małżeńskie łóżko...

W końcu zostaję sam. Drzwi się otwierają i wchodzi Nino. Teraz zaczyna się najtrudniejsza część wesela. Nino uśmiecha się i patrzy na mnie wyczekująco. Ciało ma ściśnięte gorsetem z safianowej skóry, w którym są sznurki powiązane ze sobą z przodu. To są najwymyślniejsze wiązania i tylko temu służą, żeby je jak najtrudniej było rozwiązać. Muszę sobie z nimi sam poradzić, Nino nie może mi w tym pomagać. A może jednak to robi? Węzły są naprawdę skomplikowane, ale nie wolno ich przecinać nożem, bo to oznaczałoby wielki wstyd. Mężczyzna musi pokazać opanowanie, bo

następnego ranka przychodzą przyjaciele i chcą oglądać rozwiązane węzły. Biada nieszczęśnikowi, który nie może się pochwalić oczywistym dowodem – całe miasto będzie z niego szydziło.

Podczas nocy poślubnej dom weselny przypomina mrowisko. W korytarzach, na dachu, a nawet na ulicy wokół domu stoją przyjaciele, krewni przyjaciół i przyjaciele krewnych przyjaciół – wszyscy czekają i niecierpliwią się, jeśli trwa to za długo. Stukają do drzwi, miauczą i szczekają, aż rozlegnie się długo wyczekiwany strzał z rewolweru. Wtedy zachwyceni przyjaciele zaczynają strzelać w powietrze, wybiegają z domu i tworzą rodzaj straży honorowej, która nie pozwala nam wyjść z domu, jak długo jej się podoba.

Tak, to będzie piękne wesele, takie tradycyjne, ze starymi, dobrymi zwyczajami, które przekazali nam ojcowie.

Chyba się trochę zdrzemnąłem na tej otomanie, bo kiedy otworzyłem oczy, na podłodze przy mnie siedział w kucki mój koczi i długim sztyletem czyścił sobie paznokcie. W ogóle nie słyszałem, kiedy przyszedł.

– Co nowego, braciszku? – spytałem go, ziewając leniwie.

– Nic szczególnego, paniczu – odparł znudzonym głosem. – U sąsiadów pokłóciły się kobiety, a osioł się przestraszył, pobiegł do strumienia i siedzi tam do tej pory.

Koczi milczał przez chwilę, wsunął sztylet do pochwy i ciągnął niby to obojętnie:

– Car raczył wypowiedzieć wojnę różnym monarchom Europy.

– Cooo?! Jaką wojnę?

Skoczyłem na równe nogi i patrzyłem na niego zdezorientowany.

– No, taką zwyczajną wojnę.

– Co ty opowiadasz?! Komu?!

– Różnym monarchom europejskim. Nie zapamiętałem nazwisk, za dużo tego było. Ale Mustafa wszystko zapisał.

– Wołaj go natychmiast!

Koczi pokręcił głową na tak pozbawioną godności ciekawość, zniknął za drzwiami i wkrótce pojawił się w towarzystwie gospodarza domu.

Mustafa uśmiechał się tajemniczo w poczuciu własnej przewagi



i promieniał wiedzą. Tak, oczywiście, że car wypowiedział wojnę. Całe miasto już o tym wie, tylko ja śpię na balkonie. Dlaczego car wypowiedział tę wojnę, dokładnie jednak nie wiadomo, po prostu tak postanowił w swojej mądrości.

– Ale komu car tę wojnę wypowiedział? – zawołałem rozzłoszczony.

Mustafa sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej kawałek zabazgranego papieru. Odchrząknął i z godnością, ale i z trudem, przeczytał:

– Cesarzowi niemieckiemu i cesarzowi austriackiemu, królowi Bawarii, królowi Prus, królowi Saksonii, królowi Wirtembergii, królowi Węgier i wielu innym książętom.

– Tak jak ci mówiłem, paniczu, tego nie można spamiętać – wtrącił skromnie koczi.

W tym czasie Mustafa złożył swój papier i rzekł:

– Jego Cesarska Mość, kalif i sułtan wielkiego imperium osmańskiego Mehmed Resad oraz Jego Cesarska Wysokość, król nad królami Iranu, sułtan Ahmad Szah oświadczyli, że na razie nie chcą brać udziału w tej wojnie. Jest to więc wojna między niewiernymi i niewiele nas obchodzi. Mułła w meczecie Mehmeda Alego uważa, że Niemcy zwyciężą...

Mustafa nie zdołał dokończyć zdania. Od strony miasta rozległ się nagle dźwięk siedemnastu kościelnych dzwonów. Wybiegłem na zewnątrz. Upalne sierpniowe niebo rozciągało się nad miastem nieruchome i groźne. Niebieskie góry w oddali patrzyły jak obojętni świadkowie, a dźwięki dzwonów rozbijały się o ich szare skały. Ulice były pełne ludzi. Wszyscy podekscytowani i rozgorączkowani spoglądali w górę ku kopułom kościołów. W powietrzu wirował kurz. Głosy ludzi były bardziej zapalczywe niż zazwyczaj. Zwiertzałe mury kościołów spoglądały niemo oczami wieczności, a ich wieże wyrastały nad nami jak milczące groźby. Dzwonienie dzwonów ustało. Gruby mułła w pofałdowanej kolorowej szacie wchodził na minaret pobliskiego meczetu. Przyłożył do ust złożone w trąbkę dłonie i zawołał dumnie i tęsknie:

– Stawajcie do modlitwy, stawajcie do modlitwy, modlitwa jest

lepszą niż sen!

Pobiegłem do stajni. Koczi osiodłał konia, wskoczyłem na niego i pogalopowałem ulicami, nie zwracając uwagi na przerażone spojrzenia ludzi. Koń postawił uszy w radosnym podnieceniu. Jechałem poza miasto. Przede mną ciągnęła się szeroka serpentyną droga w dół. Galopowałem wzdłuż siedzib miejscowej szlachty, a skromni ludzie o chłopskim wyglądzie machali mi przyjaźnie:

– Spieszysz się już do boju, Ali Chanie?

Patrzyłem w dolinę na dole. Niewielki dom z płaskim dachem był otoczony ogrodem. Kiedy go zobaczyłem, zapomniałem o wszelkich prawidłach sztuki jeździeckiej. Galopowałem dziko po stromych zboczach wzgórz. Dom był coraz większy i przesłaniał mi wszystko – góry, niebo, miasto, cara i cały świat. Skręciłem do ogrodu. Z domu wyszedł służący z twarzą pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu. Patrzył na mnie oczami nieboszczyka.

– Książęca rodzina opuściła dom trzy godziny temu.

Ręką sięgnąłem odruchowo po sztylet.

Służący odsunął się na bok.

– Księżniczka Nino zostawiła list dla najjaśniejszego Alego Chana Szyrwanszyra.

Włożył dłoń do kieszeni na piersi. Zeskoczyłem z konia i przysiadłem na stopniach tarasu. Koperta była miękka i pachnąca. Rozdarłem ją z niecierpliwością. Nino pisała wielkimi, dziecięcymi literami: „Najdroższy Ali Chanie! Nagle zrobiła się wojna i musimy wracać do Baku. Nie mam czasu, żeby Cię powiadomić. Nie gniewaj się. Płaczę i kocham Cię. Lato wkrótce się kończy. Wracaj zaraz po nas. Czekam na Ciebie i tęsknię za Tobą. Całą drogę będę myślała tylko o Tobie. Tata uważa, że wojnę szybko wygramy. Ja niewiele rozumiem z całego tego zamieszania. Pójdź, proszę, na rynek w Szuszi i kup mi dywan, bo sama wcześniej się tam nie wybrałam. Ten dywan ma wzór w kolorowe główki koni. Całuję Cię. W Baku będzie jeszcze okropnie gorąco. Twoja Nino”.

Złożyłem list. Właściwie wszystko było w porządku, tylko że ja, Ali Chan Szyrwanszyr, jak głupi żółtodziób wskoczyłem na siodło i pogalopowałem w dolinę, zamiast, jak należało, iść do zarządcy

miasta i pogratulować mu wojny albo przynajmniej w jednym z meczetów Szuszi błagać o boże błogosławieństwo dla armii carskiej. Siedziałem na schodach tarasu i gapiłem się przed siebie. Byłem błaznem. Co niby miała zrobić Nino, jak nie wracać z ojcem i matką do domu i mnie prosić o to samo. Pewnie, kiedy w kraju panuje wojna, ukochana powinna najpierw jechać do ukochanego, a nie pisać pachnące liściki. Ale przecież w naszym kraju nie ma wojny, wojna jest w Rosji, co mnie i Nino niewiele dotyczy. Mimo to odczuwałem wielką złość na starego Kipianiego, któremu tak się spieszyło do domu, złość na wojnę, na liceum Świętej Tamary, gdzie nie uczą dziewcząt, jak się zachowywać, a przede wszystkim na Nino, która po prostu sobie wyjechała, podczas gdy ja, zapominając o obowiązku i godności, nie mogłem dość szybko do niej przyjechać. Przeczytałem jej list jeszcze raz i jeszcze raz. Nagle wyciągnąłem swój sztylet, uniosłem rękę, krótki błysk – i klinga wbiła się w korę drzewa przede mną. Podszedł służący, spokojnie wyciągnął sztylet z drzewa i mi go oddał.

– Prawdziwa stal kubaczyńska, a pan ma silną rękę – powiedział nieco wystraszony.

Dosiadłem konia i powoli wracałem do domu. W oddali wznosiły się kopuły miasta. Nie byłem już zły, moja złość pozostała w korze tamtego drzewa. Nino postąpiła właściwie. Była dobrą córką i będzie z pewnością dobrą żoną. Wstydzilem się swego zachowania i jechałem ze spuszczoną głową. Droga była pylista, a zaczerwienione słońce chyliło się ku zachodowi.

Z rozmyślań wyrwało mnie rzenie konia. Uniosłem głowę i zeszywniałem. Na chwilę zapomniałem o Nino i o całym świecie. Przede mną stał koń o wąskim, małym łbie, hardym spojrzeniu, szczupłym grzbiecie i nogach baletnicy. Jego sierść połyskiwała złotorudo w promieniach zachodzącego słońca. W siodle siedział stary człowiek z opadającymi wąsami i krzywym nosem – księżę Melikow, właściciel ziemski z sąsiedztwa. Zatrzymałem się i wpatrywałem niedowierzająco w jego konia. Kiedy tu przyjechałem, ludzie opowiadali mi o słynnej rasie koni świętego Sary Bega: „Jest czerwonozłoty, a takich w całym Karabachu jest

teraz tylko dwanaście. Strzeże się ich równie dobrze jak dam w haremie sułtana”. Teraz ten czerwonozłoty cud stał przede mną.

– Dokąd droga, książę?

– Na wojnę, mój synu.

– Co za koń, książę!

– Tak, podziwiasz! Niewielu ludzi posiada prawdziwe czerwonozłote... – Oczy księcia złagodniały. – Jego serce waży dokładnie sześć funtów. Kiedy poleje się go wodą, to lśni jak złoty pierścień. Ten koń jeszcze nigdy nie widział słońca. Gdy go dziś wyprowadziłem, a w jego oczy padły promienie słoneczne, to rozbłysły jak świeżo tryskające źródło. Tak musiały też błyszczeć oczy człowieka, który wynalazł ogień. Ten pochodzi od konia Sary Bega. Nikomu go jeszcze nie pokazywałem. Książę Malikow dosiada tego cudu tylko wtedy, kiedy car wzywa na wojnę.

Pożegnał się dumnie i pojechał dalej. Szabla u boku pobrzękiwała mu cicho. W kraju naprawdę była wojna.

Gdy dojechałem do domu, było już ciemno. Miasto pogrążało się w szale zachwytu wojną. Pijana miejscowa szlachta chodziła hałaśliwa ulicami i strzelała w powietrze.

– Krew się poleje – słyhać było wołania. – Krew się poleje. O Karabachu, twoje imię będzie wielkie!

W domu czekał na mnie telegram: „Wracaj natychmiast do domu. Ojciec”.

– Spakować – zarządziłem. – Jutro wyjeżdżamy.

Sam wyszedłem na ulicę i patrzyłem na panujący tam rozgardiasz. Coś mnie niepokoiło, ale nie wiedziałem co. Popatrzyłem w górę na gwiazdy i rozmyślałem długo i intensywnie.

## Rozdział 8

– Powiedz mi, Ali Chanie, jak się nazywają nasi przyjaciele?

Zjeżdżaliśmy z Szuszi stromą serpentyną w dół. Mój koczi, prosty wiejski chłopak, był niezmordowany w wymyślaniu najdziwniejszych pytań na temat wojny i polityki. Zwyczajny człowiek ma u nas trzy tematy rozmowy: religia, polityka, interesy. Wojna wszystkiego tego dotyczy. O wojnie można rozmawiać, ile się chce i kiedy się chce – w drodze, domu, kawiarni – a nigdy nie wyczerpie się tematu.

– Naszymi przyjaciółmi są cesarz Japonii, cesarz Indii, król Anglii, król Serbii, król Belgów i prezydent Republiki Francuskiej.

Koczi zacisnął usta z dezaprobatą.

– Przecież prezydent Republiki Francuskiej to cywil. Jak on może iść w pole i prowadzić wojnę?

– Nie wiem. Może wysyła jakiegoś generała.

– Wojnę trzeba prowadzić samemu, a nie pozostawiać ją innym, bo nic dobrego z tego nie wyniknie. – Popatrzył zatroskany na plecy naszego woźnicy i powiedział ze znawstwem: – Car jest przecież mizernej postury, chudy. Za to cesarz Wilhelm jest barczysty i silny, zyska przewagę już w pierwszej bitwie.

Dobry chłopak był przekonany, że w czasie wojny monarchowie dosiadają koni i walczą przeciwko sobie na otwarcie bitwy. Nie miało sensu tłumaczenie mu tego.

– No, a kiedy Wilhelm pokona cara, to w pole musi ruszyć carewicz – ale on jest za młody, poza tym choruje. A Wilhelm ma sześciu rosłych jak dęby synów.

Próbowałem rozproszyć jego pesymizm.

– Wilhelm może walczyć tylko prawą ręką, bo lewą ma sparaliżowaną.

– No nie, lewej potrzebuje tylko do trzymania cugli konia. Walczyć będzie i tak tylko prawą.

Zmarszczył czoło w namyśle i nagle zapytał:

– To prawda, że cesarz Franciszek Józef ma sto lat?

– Tak dokładnie to nie wiem, ale jest bardzo stary.

– Straszne, że taki stary człowiek musi dosiadać konia i wyciągać szablę...

– Przecież nie musi.

– Oczywiście, że musi. Między nim a Serbią jest krew, oni są teraz śmiertelnymi wrogami i cesarz musi pomścić krew następcy tronu. Gdyby był rolnikiem z naszej wsi, to może mógłby jakoś wytargować cenę tej krwi. Na przykład sto krów i dom. Ale cesarz nie może wybaczyć rozlewu krwi. Gdyby wybaczył, to wszyscy robiliby tak samo, później nikt by się nie mścił i kraj by upadł.

Koczi miał rację. Krwawa zemsta jest najważniejszym fundamentem ładu państwowego i dobrych obyczajów. Mogą sobie Europejczycy być przeciwko. Pewnie, to godne pochwały, kiedy starzy i mądrzy ludzie proszą, usilnie proszą, żeby za wysoką rekompensatę wybaczyć sobie przelaną krew. Samej zasady krwawej zemsty nie należy jednak podawać w wątpliwość – bo jak by się to miało skończyć? Ludzkość dzieli się na rody, nie na narody. Między rodami panuje równowaga, której chce Bóg, a którą potwierdza potencja mężczyzn. Jeśli tę równowagę zakłóci brutalna przemoc, czyli morderstwo, wtedy rodzina, która wystąpiła przeciwko bożej woli, musi również stracić jednego ze swoich. Wtedy równowaga zostaje przywrócona. Oczywiście, przeprowadzenie krwawej zemsty bywa nieco kłopotliwe, zdarzało się, że strzelano niecelnie albo zabijano więcej ludzi, niż było to konieczne. Wtedy zemsta szła dalej. Sama zasada była jednak dobra i zrozumiała. Mój koczi doskonale to rozumiał i z zadowoleniem kiwał głową: no tak, stuletni cesarz dosiadający konia, żeby pomścić krew, jest mądrym i sprawiedliwym mężem.

Moja odpowiedź w żadnym razie nie zadowoliła koczego. Cesarz Japonii z pewnością ma innego boga niż car, a ten tajemniczy cywil rządzący Francją nie może być przecież spokrewniony z żadnym monarchą. Poza tym według koczego we Francji w ogóle nie ma żadnego boga – dlatego ten kraj nazywa się republiką.

To wszystko było niejasne również dla mnie. Udzielałem mglistych odpowiedzi i w końcu sam przeszedłem do ataku, stawiając pytania jemu.

– A czy mój dzielny koczi wybiera się na wojnę?

Koczi popatrzył rozmarzony na broń.

– Tak – odparł. – Oczywiście idę na wojnę.

– Ale wiesz, że nie musisz tego robić? My, muzułmanie, jesteśmy zwolnieni z obowiązku walki.

– Wiem, ale ja chcę walczyć mimo to. – Prosty chłopak stał się nagle bardzo rozmowny. – Wojna jest bardzo piękna. Jadę sobie daleko w świat. Będę słuchał, jak gwiżdże zachodni wiatr, i zobaczę łzy w oczach wrogów. Dostanę konia, broń i konno pojedę z przyjaciółmi przez podbite wioski. Kiedy wrócę, przywiozę dużo pieniędzy i wszyscy będą się cieszyli z mojego bohaterstwa. A jeśli polegnę, będzie to śmierć prawdziwego mężczyzny. Wszyscy będą wtedy dobrze o mnie mówili, a mój ojciec i mój syn zyskają wielkie uznanie. Nie, wojna jest piękna, nie ma znaczenia, przeciwko komu się toczy. Raz w życiu mężczyzna musi iść na wojnę.

Mówił długo i z zachwytem. Wymieniał rany, jakie zamierza zadać wrogom, oczyma wyobraźni widział już wojenne łupy, oczy mu błyszczały od obudzonej chęci walki, a brązowa twarz przypominała oblicze dawnego wojownika z *Szahname* – *Księgi królewskiej*.

Zazdroszczę mu, ponieważ jest prostym człowiekiem, który dokładnie wie, co powinien robić, gdy ja tymczasem spoglądam w dal z namysłem i niezdecydowaniem. Zbyt długo chodziłem do carskiego gimnazjum i nasiąknęłem mimowolnie tym rosyjskim niezdecydowaniem i namysłem.

Przyjechaliśmy na dworzec. Kobiety, dzieci, starcy, chłopcy z Gruzji i nomadzi z Zakatały – wszyscy oni koczowali wokół budynku stacji. Trudno było właściwie zrozumieć, dokąd i po co chcieli jechać. Oni sami też chyba tego nie wiedzieli. Leżeli jak obojętne bryły ziemi na polu i rzucali się na każdy nadjeżdżający pociąg, niezależnie od tego, w jakim kierunku odjeżdżał. Jakiś stary człowiek w podartym baranim kozuchu i z oczami ociekającymi ropą siedział przy

drzwiach poczekalni i szlochał. Pochodził z Lenkoranu, miasta leżącego przy perskiej granicy. Był przekonany, że jego dom został zburzony, a dzieci nie żyją. Powiedziałem mu, że Persja nie prowadzi z nami wojny, ale on patrzył w dalszym ciągu niepokieszony.

– Nie, panie. Miecz Iranu długo rdzewiał, ale teraz ostrzą go znowu. Napadną na nas nomadzi, ci z Szahsawanu, zniszczą nasze domy, bo mieszkamy w imperium niewiary. Irański Lew spustoszy nasz kraj. Nasze córki zostaną niewolnicami, a synowie będą chłopcami w domach rozpusty.

Lamentował długo i bez sensu. Koczi rozepchnął tłum i torował nam drogę. Z trudem dotarliśmy na peron. Lokomotywa miała wygląd tępego przedpotopowego potwora – czarna i złośliwa przecinała żółte tło naszej pustyni. Wsiedliśmy do przedziału i zamknęliśmy drzwi od środka, a napiwek dla konduktora zapewnił nam spokój. Koczi usiadł z podciągniętymi nogami na czerwonym pluszowym siedzisku, na którym widniały wplecione we wzór trzy złote litery: SZD – inicjały Kolei Północnokaukaskiej (*Sewierokawkazskaja Żeleznaja Doroga*), dumy carskiej polityki kolonialnej. Pociąg ruszył.

Okno było zamknięte. Na zewnątrz rozciągały się połacie żółtego piasku, co wprawiało mnie w spokojny, marzycielski nastrój. Małe, łyse pagórki połyskiwały w tym morzu światła, miękkie i zaokrąglone. Otworzyłem okno i wyjrzałem. Od dalekich, niewidocznych mórz wiał ponad wydmami chłodny wiatr. Lśniące ziarenka piasku toczyły się po skałach, nieliczne zioła pięły się po niższych kamieniach. Przez piasek ciągnęła karawana – jakieś sto albo więcej wielbłądów jedno- i dwugarbnych, wpatrujących się lekliwie w pociąg. Każde zwierzę miało zawieszony na szyi dzwoneczek, według którego regulowało swój niespieszny krok i kołyszący ruch głowy. Wszystkie wielbłądy szły wspólnym rytmem, jakby były jednym organizmem. Poruszały się miarowo, w takt nomadzkiej symfonii o wędrującej duszy Azji... Potknięcie, niewłaściwy krok – i jeden dzwoneczek gubi wspólny rytm. Zwierzę czuje pomyłkę i staje się niespokojne. Wielbłąd jest rozkoszą



pustyni, która wydała na świat takie osobliwe stworzenie. Mieszaniec zwierzęcia i ptaka, pełen gracji, pociągający i odpychający jednocześnie. W jego istocie odbija się cała pustynia ze swoim bezkresem, z melancholią, ze swoim oddechem i ze swoim snem.

Miękki piasek, szary i jednolity, przypominał oblicze wieczności. Zatopiona w marzeniach dusza Azji wędrowała przez wieczność. Pociąg z trzema złotymi literami SŹD jechał w niewłaściwym kierunku. Mój świat jest tam, gdzie te wielbłądy, wśród ludzi, którzy je prowadzili, mój świat jest tam, gdzie pustynny piasek. Czemu nie podniosłem ręki do hamulca bezpieczeństwa? Z powrotem! Z powrotem! Nie chcę już! Słyszę fałszywy ton dzwoneczka wśród harmonijnego dźwięku całej karawany.

Co mnie obchodzi ten świat po drugiej stronie masywu górskiego? Jego wojny, jego miasta, jego carowie, jego troski i radości, jego czystość i brud? My jesteśmy inaczej czyści i inaczej grzeszni, mamy inny rytm i inne twarze. Niech sobie ten pociąg mknie na zachód! Ja zostaję.

Wychyliłem się przez okno, jak tylko mogłem najdalej. Karawana pozostała w tyle. Patrzyłem za nią. Przeniknął mnie wielki spokój. W moim kraju nie stacjonowali wrogowie. Nikt nie zagrażał stepom Zakaukazia. Może sobie mój koczy iść na wojnę. Ma rację – nie walczy ani dla cara, ani dla Zachodu. On jest najemnikiem własnej żądz przygód, chce przelewać krew i widzieć płacz swoich wrogów jak każdy Azjata. Ja także chciałbym iść na wojnę; całe moje jestestwo przenika tęsknota za powietrzem i przestrzenią krwawej walki, za wieczornym dymem wielkiego pola bitwy. Wojna – wspaniałe słowo, męskie i silne jak pchnięcie lancy. A jednak ja urodziłem się stary, z mózgiem liczącym setki lat. Ta wojna mnie nic nie obchodzi. Nie mam w niej nic do wywalczenia ani do wygrania. Muszę tu pozostać, żeby być gotowym na ten dzień, w którym wróg wkroczy do naszego kraju, do naszego miasta, do naszego zakątka Ziemi. Niechaj ochotnicy idą na tę wojnę, ale w kraju musi pozostać dość ludzi, by obronić go przed przyszłymi wrogami. Miałem takie mgliste przecucie, że ktokolwiek w tej wojnie zwycięży, to nadciąga

niebezpieczeństwo znacznie większe niż wszystkie zaborcze wyprawy carów. Jakaś nieznana i niewidoczna siła ujmuje cugle karawany i chce ją przemocą skierować na nowe pastwiska i na nowe drogi. Mogą to być tylko drogi Zachodu, którymi jednak ja nie chcę iść. Dlatego pozostanę w domu. Dopiero kiedy ta siła skieruje się przeciwko mojemu światu, zaatakuje go, wtedy ja też chwycę za miecz.

Oparłem się o tapicerkę. Dobrze tak domyśleć myśl do końca. Ludzie może będą mówili, że zostaję w domu, żeby nie opuszczać Nino i być w pobliżu jej ciemnych oczu. Może tak być. Może oni nawet będą mieli rację, bo te ciemne oczy są dla mnie jak ojczysta ziemia, jak wołanie ojczystej ziemi za swoim synem, którego obcy chce skierować na nieznane drogi. Pozostanę, by chronić ciemne oczy ojczyzny przed tą obcą, nieznaną i niewidoczną siłą.

Zerknąłem na koczego naprzeciwko mnie. Spał już, chrapiąc z wojowniczym zapalem.

## Rozdział 9

Miasto trwało bezwładne i leniwe w upale sierpniowego zakaukaskiego słońca. Jego stara, pomarszczona twarz była niezmieniona. Wielu Rosjan zniknęło – poszli walczyć w polu za cara i ojczyznę. Policja przeszukiwała mieszkania, żeby znaleźć Niemców i Austriaków. Cena ropy wzrosła, a ludzie wewnątrz i na zewnątrz starego muru byli zadowoleni i szczęśliwi. Komunikaty wojenne czytali jedynie zawodowi bywalcy herbaciarni. Wojna toczyła się daleko stąd, na jakiejś innej planecie. Nazwy podbitych lub utraconych miast brzmiały obco i odległe. Z pierwszych stron czasopism przyjaźnie i z wiarą w zwycięstwo spoglądały podobizny generałów. Nie pojechałem do Instytutu Łazarewskiego w Moskwie, nie chciałem się oddalać od swojego miasta w czasie wojny, studia mi przecież nie uciekną. Wiele osób gardziło mną z tego powodu – i jeszcze dlatego, że nie poszedłem walczyć. Gdy jednak spoglądałem z dachu naszego domu na kolorowy tumult starego miasta, to wiedziałem, że żadne wezwanie cara nigdy mnie nie oddzieli od rodzimej ziemi i od rodzimych murów.

Ojciec pytał mnie zdziwiony i zatroskany:

- Naprawdę nie chcesz iść na wojnę? Ty, Ali Chan Szyrwanszyr?
- Nie, ojcze, nie chcę.
- Większość naszych przodków poległa w polu. To naturalna śmierć w naszej rodzinie.
- Wiem, ojcze. Ja też padnę w polu, ale nie teraz i nie tak daleko.
- Lepiej umrzeć z honorem, niż żyć w niesławie.
- Nie żyję w niesławie. Nie mam w tej wojnie żadnych zobowiązań.

Ojciec popatrzył na mnie nieufnie. Czy to możliwe, żeby jego syn był tchórzem?

Po raz setny opowiedział mi historię naszej rodziny. Jeszcze za Nader Szah Afszara pięciu Szyrwanszyrów biło się za imperium

Srebrnego Lwa. Czterech zginęło w wyprawie przeciwko Indiom. Tylko jeden powrócił z Delhi z bogatym łupem. Kupił dobra, wznosił pałace i przeżył strasznego władcę. Później, kiedy Schah Rukh walczył przeciwko Husajnowi Chanowi, ten przodek przeszedł na stronę dzikiego księcia Kadżarów Aghi Mohammada. Razem z ośmioma synami poszedł za nim przez Send, Chorasán i Gruzję. Tylko trzech z nich pozostali przy życiu i towarzyszyli wielkiemu eunuchowi także wtedy, gdy został szachem. Ich namioty stały w obozie Aghi Mohammada w Szuszi tej nocy, kiedy został on zamordowany. Krwią dziewięciu członków rodziny okupili Szyrwanszyrowie swoje dobra, jakimi obdarował ich Fath Ali, łagodny spadkobierca Aghi Mohammada w Szirwanie, Mazandaranie, Gilanie i Azerbejdżanie. Trzej bracia panowali w Szirwanie jako dziedziczni wasale króla królów. Potem przyszli Rosjanie. Ibrahim Chan Szyrwanszyr bronił Baku, a jego bohaterska śmierć pod Gandżą okryła nazwisko Szyrwanszyr nową sławą. Dopiero po ugodzie w Turkmanczaju losy rozdzieliły Szyrwanszyrów, ich dobra, znaki bojowe i pola bitewne. Perscy członkowie rodu walczyli i umierali pod Mohammadem Szahem i Naserem ad-Dinem Szahem w wyprawach przeciwko Turkmenom i Afganom, rosyjscy przelewali krew za cara w wojnie krymskiej, w walce przeciwko Turcji i w wojnie rosyjsko-japońskiej. Mamy za to dobra i order, a synowie zdają maturę nawet wtedy, gdy nie odróżniają *gerundium* od *gerundivum*.

– W kraju znowu jest wojna – zakończył ojciec. – Jednakże ty, Ali Chan Szyrwanszyr, siedzisz na dywanie tchórzostwa, kryjesz się za łagodnym carskim prawem. Na nic wszelkie słowa, skoro nie masz krwi swoich przodków i nie dziedziczysz ich wielkości. Bohaterskie czyny przodków powinieneś czuć w żyłach i w sercu, a nie znać z martwych, poźółkłych i zakurzonych kart księgi.

Ojciec umilkł zachmurzony. Pogardzał mną, bo mnie nie rozumiał. Czyż jego syn jest tchórzliwy? W kraju trwa wojna, a on nie rzuca się w wir walki, nie łaknie krwi wroga, nie chce widzieć łez w jego oczach. Zaprawdę, jest to wyrodny syn!

Siedziałem na dywanie, oparty o miękkie poduszki,

i powiedziałem żartobliwie:

– Obiecałeś spełnić trzy moje życzenia. Pierwszym było lato w Karabachu. Teraz mam drugie – wyjmę miecz z pochwy wtedy, kiedy zechcę. Myślę, że nigdy nie będzie za późno. Pokój się skończył i to chyba na długo. Nasz kraj jeszcze będzie potrzebował mojego miecza.

– Dobrze – odparł ojciec.

Potem już milczał, nie mówił więcej o wojnie, tylko przyglądał mi się badawczo z boku. Może to jednak nie jest wyrodny syn.

Porozmawiałem z mułłą z meczetu Taza Pir. Zrozumiał mnie natychmiast. Przyszedł do naszego domu w pofałdowanej szacie, roztaczając wokół zapach ambry. Zamknął się z ojcem i powiedział mu, że zgodnie ze słowami Koranu ta wojna nie jest obowiązkiem muzułmanina. Potwierdził to wieloma powiedzeniami Proroka. Od tamtej pory miałem w domu spokój.

Ale tylko w domu. Naszą młodzież ogarnęła żądza wojny i nie każdy potrafił się powściągnąć od komentarzy. Czasami odwiedzałem swoich przyjaciół. Przechodziłem wtedy przez Basztę Ciciszwilego, skręcałem w prawo w ulicę Aszum, przecinałem ulicę Świętej Olgi i spokojnie zmierzałem do domu starego Zajnala Agi.

Iljas Beg siedział przy stole, pochylony nad rozprawami wojskowymi. Obok niego, ze zmarszczonym czołem i z wystraszoną twarzą, kuczał Mehmed Hajdar, najgłupszy uczeń z całej szkoły. Wojna nim wstrząsnęła i wyrwała go z letargu. Porzucił skrycie dom wiedzy i od tego czasu żywił już tylko jedno pragnienie, tak jak Iljas Beg – żeby nosić na naramiennikach złote belki oficera. Obaj przygotowywali się do egzaminu oficerskiego. Kiedy wszedłem do pokoju, słyszałem tylko rozpaczliwe mruczenie Mehmeda Hajdara:

– „Zadaniem armii i floty jest obrona cara i ojczyzny przed wrogiem zewnętrznym i wewnętrznym”.

Wziąłem książkę z ręki nieszczęśnika i przepytywałem go:

– Kto to jest wróg zewnętrzny, drogi Mehmedzie?

Mehmed Hajdar zmarszczył czoło, myślał gorączkowo, po czym wypalił:

– Niemcy i Austriacy.

– Bardzo się mylisz, mój drogi! – powiedziałem triumfująco i przeczytałem odpowiedź: – „Wrogiem zewnętrznym jest każda formacja wojskowa, która zagraża przekroczeniem naszych granic w wojennych zamiarach”. – Potem zwróciłem się do Iljasa Bega: – Co należy rozumieć pod pojęciem strzału?

– „Pod pojęciem strzału rozumieć należy wyrzucenie kuli z wylotu lufy za pomocą gazów prochowych” – wyrecytował jak automat Iljas Beg.

Ta zabawa w pytania i odpowiedzi trwała dobrą chwilę. Bardzo się dziwiliśmy, jak trudno jest zabić wroga zgodnie ze wszystkimi zasadami nauki i jak dyletancko ćwiczy się tę sztukę u nas w kraju. Potem tamci dwaj rozpływali się nad radością przyszłych wypraw. Główną rolę odgrywały w tych opowieściach obce kobiety, które zdobywać się będzie na gruzach podbitych miast, nie czyniąc im nic złego. Po godzinie niepohamowanego marzycielstwa stwierdzali, że każdy żołnierz nosi w plecaku buławę marszałkowską, i patrzyli na mnie protekcjonalnie.

– Kiedy zostanę oficerem – powiedział Mehmed Hajdar – będziesz musiał ustąpić mi pierwszeństwa na ulicy i oddawać mi honory. Bo ja bohaterską krwią będę bronił twojego leniwego ciała.

– Zanim ty zostaniesz oficerem, wojna dawno będzie przegrana, a Moskwa zdobyta przez Niemców.

Obaj przyszli bohaterowie w ogóle się na te moje prorocтва nie złościли. Było im obojętne, kto tę wojnę wygra, zresztą tak samo jak mnie. Między nami a frontem leżała jedna szósta świata. Tak wiele Niemcy nie podbijają. Zamiast jednego chrześcijańskiego monarchy będzie nad nami panował inny chrześcijański monarcha. Tyle. Nie, dla Iljasa Bega wojna była przygodą, dla Mehmeda Hajdara sprzyjającą okazją godnego zakończenia szkolnej edukacji i oddania się prawdziwie męskiemu zajęciu. Na pewno na froncie obaj byliby dobrymi oficerami. Naszemu narodowi nie brakuje odwagi. Tylko po co? Takich pytań nie zadawał sobie ani Iljas Beg, ani Mehmed Hajdar – wszelkie ostrzeżenia byłyby bez sensu, bo w obu doszło do głosu nasze wschodnie pragnienie krwi.

Opuszczałem dom Zajnala Agi, gdy tamci dwaj wystarczająco

mnie wykpił i okazał swą wyższość. Przechodziłem przez gwarną i tłoczną dzielnicę ormiańską i docierałem do promenady nad morzem. Morze Kaspijskie, słone i ołowiane, lizało granitowe molo. W porcie stała kanonierka. Usiadłem na ławce i patrzyłem, jak miejscowe żaglówki dzielnie zmagają się z falami. Taką żaglówką mógłbym wygodnie popłynąć do Persji, do portu Astara, do przyjaznego, podupadłego gniazda, bramy do wielkiego, zielonego kraju szacha. Pełnego melancholijnych miłosnych westchnień klasycznych poetów, wspomnień bohaterskich czynów wojownika Rustama i pachnących ogrodów różanych w pałacach pod Teheranem. Piękny, idylliczny kraj.

Kilkakrotnie przeszedłem promenadą w obie strony. Wciąż jeszcze nie przywykłem do tego, żeby odwiedzać Nino w domu. Przeczyło to wszelkim wyobrażeniom dobrych obyczajów. Jednakże w obliczu wojny stary Kipiani uważał, że można na to przymknąć oko. Wreszcie nabrałem dużo powietrza i ruszyłem schodami czteropiętrowej kamienicy na górę. Na drugim piętrze wisiała mosiężna tabliczka z krótkim napisem: „Książę Kipiani”.

Służąca w białym fartuszkun otworzyła drzwi i dygnęła. Podałem jej swoją czapkę, chociaż dobry orientalny obyczaj nakazuje, by gość nie zdejmował czapki. Wiedziałem, jak każe zwyczaj europejski. Rodzina książęca siedziała w salonie przy herbacie.

Salon był dużym pomieszczeniem, a meble w nim stojące miały obicia z czerwonego jedwabiu. W rogach stały palmy i kwiaty w donicach, ściany nie były ani pomalowane, ani pokryte dywanami, tylko tapetowane. Rodzina książęca piła angielską herbatę z dużych, pięknie zdobionych filiżanek. Na stole leżało ciasto i biszkopty, a ja pocałowałem księżnę w rękę, pachnącą ciastem, biszkoptami i wodą lawendową. Książę uścisnął mi dłoń, a Nino podała trzy palce, spoglądając ukradkiem do filiżanki z herbatą.

Usiadłem i dostałem herbatę.

– Zdecydował pan więc tymczasem nie iść na wojnę, Ali Chanie?  
– zapytał życzliwie książę.

– Tak, książę, tymczasem nie idę na wojnę.

Księżna postawiła filiżankę na stole.

– Na pana miejscu wstąpiłabym do jakiegoś komitetu pomocy ofiarom wojny. Miałby pan przynajmniej jakiś mundur.

– Możliwe, to dobry pomysł, księżno.

– Ja też tak uczynię – rzekł książę. – W swojej firmie jestem wprawdzie niezbędny, ale wolny czas muszę poświęcić dla ojczyzny.

– Bardzo słusznie, książę. Ja mam niestety tak mało wolnego czasu. Obawiam się, że ojczyzna będzie miała ze mnie niewielki pożytek.

Książę był szczerze zdumiony.

– A czymże się pan zajmuje?

– Oddaję się zarządzaniu swoimi dobrami, książę.

To zdanie zrobiło piorunujące wrażenie. Wziąłem je z jakiejś angielskiej powieści. Kiedy angielski arystokrata nie ma się czym zająć, to poświęca się zarządzaniu swoimi dobrami. W jednej chwili zyskałem w oczach książęcych rodziców. Jeszcze kilka wytwornych zdań i Nino dostała pozwolenie na pójście ze mną wieczorem do opery. Pocałowałem znowu miękką dłoń księżnej, ukloniłem się, wymawiałem nawet „r” na sposób petersburski i obiecałem, że o wpół do ósmej zjawię się znowu.

Nino odprowadziła mnie do drzwi i kiedy służąca podawała mi czapkę, zaczerwieniła się, spuściła oczy i powiedziała uroczo nieco łamanym tatarskim:

– Niesamowicie się cieszę, że zostajesz w mieście. Naprawdę się cieszę. Ale powiedz, Ali, aż tak bardzo boisz się wojny? Mężczyźni muszą przecież kochać walkę. A ja kochałabym także twoje rany.

Ja się nie zaczerwieniłem. Ująłem jej rękę i uścisnąłem.

– Nie boję się. Kiedyś będziesz się mogła zająć także moimi ranami. Jeśli cię to jednak bawi, to do tego czasu możesz mnie uważać za tchórza.

Nino popatrzyła na mnie bez zrozumienia. Poszedłem do domu i pociąłem swój podręcznik do chemii na tysiące drobnych kawałeczków.

Potem napiłem się porządnej perskiej herbaty i zamówiłem łożę w operze.



## Rozdział 10

Szybko zamknąć oczy, palcami zatkać uszy i zatopić się w sobie. Jak to było – wtedy, w Teheranie?

Wielka, niebieska, kamienna hala z pięknymi inicjałami szacha Nasera ad-Dina nad wejściem. Pośrodku czworokątna scena, w sali siedzą, stoją i leżą zebrani: szacowni mężczyźni, podekscytowane dzieci i marzycielscy młodzieńcy – pobożni widzowie misterium męki świętego Husajna. Na scenie brodaci aniołowie pocieszają młodzieńca Husajna, a rozgniewany kalif Jazid posyła swoich konnych na pustynię, żeby przynieśli mu głowę świętego apostoła. Lamenty i pieśni żałosne przerywa szcęk szabli. Ali, Fatima, Ewa, pierwsza kobieta, przechodzą przez scenę i śpiewają wielostrofowe rubajjaty. Ktoś podaje bezbożnemu kalifowi głowę apostoła na ciężkim złotym półmisku.

Widzowie drżą i płaczą. Jakiś mułła przechodzi wzdłuż rzędów i watą zbiera do małej ampułki łzy widzów. Te łzy zawierają w sobie magiczne siły. Im głębsza wiara widzów, tym gwałtowniejsze działanie tej pasji. Scena jest pustynią, szkatułka – tronem kalifa wysadzonym diamentami, kilka drewnianych pali to rajski ogród, a brodaty mężczyzna udaje córkę Proroka.

Teraz otworzyć oczy, opuścić ręce i się rozejrzeć.

Jaskrawe światło niezliczonych żarówek elektrycznych, czerwony aksamit w lożach podtrzymywanych przez bogów z pozłacanego gipsu. Łysiny widzów lśnią jak gwiazdy na nocnym firmamencie. Kobiety mają białe plecy i nagie ramiona. Widownię od sceny oddziela czarna przepaść. Siedzą w niej ludzie z instrumentami muzycznymi; wyglądają na przestraszonych. Nad parterem zlewa się ze sobą przytłumiony gwar półgłośnych rozmów, szeleszczących programów, składanych damskich wachlarzy i lornionów. To bakijska opera miejska kilka minut przed rozpoczęciem *Eugeniusza Oniegina*.

Nino siedzi obok mnie, wąską twarzą zwrócona w moją stronę. Ma wilgotne usta i suche oczy. Mówi niewiele. Kiedy gasną światła, obejmuję ją ramieniem. Przechyla głowę lekko na bok i wygląda na całkowicie pochłoniętą muzyką Czajkowskiego. Po scenie wędruje Oniegin w biedermeierowskim stroju, a Tatiana śpiewa arię.

Wybrałem tę operę, ponieważ znam dobrze jej treść i nie muszę się wysilać jak w teatrze, by zrozumieć, co się dzieje na scenie. Muzyka mi nie przeszkadza, chyba że jest bardzo głośna. W sali jest ciemno i kiedy zamknę oczy, sąsiedzi myślą, że delektuję się symfonicznym oceanem dźwięków.

Tym razem mam otwarte oczy. Za delikatnym profilem lekko pochylonej do przodu Nino widzę pierwsze rzędy parteru. Pośrodku trzeciego rzędu siedzi gruby mężczyzna o kaprawych oczach i filozoficznym czole, mój stary przyjaciel Melik Nachararian, najwytworniejszy Ormianin w Szuszi. Jego głowa porusza się w rytmie arii między okiem Nino a jej nosem.

– Popatrz, tam jest Nachararian – szepczę do niej.

– Patrz na scenę, ty barbarzyńco – odszeptuje, ale zerka w kierunku grubego Ormianina. On zaś odwraca się i przyjaźnie kiwa głową.

Podczas przerwy spotkałem go przy bufecie, gdzie kupowałem praliny dla Nino. Przyszedł do naszej łoży i usiadł – gruby, mądry i trochę już łysiejący.

– Ile pan ma lat, Meliku? – spytałem.

– Trzydzieści – odparł.

Nino się zainteresowała.

– Trzydzieści? A, to pewnie już niedługo zabawi pan w naszym mieście?

– Czemu, księżniczko?

– Pański rocznik dostał już powołanie.

Roześmiał się głośno, jeszcze bardziej wybałuszył oczy, a wielki brzuch trząśł mu się z radości.

– Niestety, księżniczko, nie wolno mi iść na wojnę. Lekarz stwierdził u mnie nieuleczalne ropniaki zatok przynosowych i muszę

zostać w domu.

Nazwa choroby brzmiała egzotycznie i przywodziła na myśl bóle brzucha. Nino zrobiła wielkie oczy ze zdziwienia.

– To jakaś niebezpieczna choroba? – spytała współczująco.

– Zależy, jak na to patrzeć. Przy pomocy odpowiedzialnego lekarza każda choroba może być niebezpieczna.

Nino była zdumiona i wzburzona jednocześnie.

Melik Nachararian pochodził z najszlachetniejszej rodziny ormiańskiej w Karabachu. Jego ojciec był generałem, a on sam – silny, zupełnie zdrowy i bez rodziny. Gdy wychodził z naszej loży, poprosiłem go, żeby po przedstawieniu zjadł z nami kolację. Podziękował uprzejmie i przyjął zaproszenie.

Kurtyna poszła w górę, a głowa Nino wsparła się na moim ramieniu. Podczas słynnego walca Czajkowskiego podniosła nawet ku mnie oczy i szepnęła:

– W porównaniu z nim jesteś niemal bohaterem. Przynajmniej nie masz zatok przynosowych.

– Ormianie mają więcej fantazji niż muzułmanie – próbowałem usprawiedliwiać Nacharariana.

Głowa Nino pozostała na moim ramieniu także wtedy, gdy Leński, tenor bohaterski, wszedł wprost pod wylot lufy Oniegina i zgodnie z planem został zastrzelony.

To było łatwe, eleganckie i całkowite zwycięstwo, które należało uczcić.

Nachararian czekał już na nas przy wejściu do opery. Miał samochód, który w porównaniu z konnym powozem Szyrwanszyrów wyglądał niesłychanie europejsko. Jechaliśmy nocnymi uliczkami naszego miasta, przejeżdżaliśmy też obok gimnazjum i liceum. Nocą oba te przybytki wyglądały zupełnie przyjaźnie. Zatrzymaliśmy się przed marmurowymi schodami nocnego klubu, ale uczyniliśmy to nie bez wahania, bo Nino chodziła jeszcze do liceum. Skoro jednak jeden z panów nosi nazwisko Szyrwanszyr, a drugi nazywa się Nachararian, to księżniczka Kipiani może spokojnie naruszyć zasady obowiązujące w liceum królowej Tamary.

Poszliśmy na obszerny, dobrze oświetlony taras, wychodzący na

ciemny o tej porze ogród gubernatora. Widziałem gwiazdy, łagodnie połyskujące morze i latarnie wyspy Nargin.

Brzęknęły kieliszki. Nino i Nachararian pili szampana. Ponieważ mnie nic na świecie, nawet oczy Nino, nie było w stanie zmusić do publicznego picia alkoholu w moim rodzinnym mieście, sączyłem jak zwykle oranżadę. Kiedy sześćoosobowa kapela grająca do tańca pozwoliła nam wreszcie chwilę od siebie odpocząć, Nachararian powiedział poważnie i z namysłem:

– Tak sobie tu siedzimy, przedstawiciele trzech największych ludów Zakaukazia – Gruzinka, muzułmanin i Ormianin. Urodziliśmy się pod tym samym niebem, chodzimy po tej samej ziemi, jesteśmy różni, a przecież stanowimy jedno, jak trzy istoty Trójcy. Jesteśmy europejscy i azjatyccy jednocześnie, czerpiemy ze Wschodu i z Zachodu, i obu im coś dajemy.

– Zawsze myślałam – rzekła Nino – że żywiołem mieszkańców Zakaukazia jest walka. A teraz siedzę między dwoma takimi i żaden z nich nie chce walczyć.

Nachararian popatrzył na nią wyrozumiale.

– Obaj chcą walczyć, księżniczko, obaj, tyle że nie ze sobą. Od Rosjan oddziela nas stroma ściana: pasmo Kaukazu. Jeśli Rosjanie zwyciężą, to nasz kraj będzie całkiem rosyjski. Stracimy swoje kościoły, swój język i swoją specyfikę. Zamiast stanowić pomost między Europą a Azją, dla obu tych światów będziemy bękartami. Nie, nie należy walczyć po stronie cara, bo kto dla niego walczy, walczy przeciw Kaukazowi.

Przez Nino przemówiła mądrość liceum królowej Tamary:

– Nasz kraj rozszarpali Persowie i Turcy. Szach spustoszył wschód, a sułtan zachód. Ile gruzińskich niewolnic powędrowało do haremów! Rosjanie przecież nie weszli tu sami z siebie – to my ich wezwaliśmy. Jerzy XII dobrowolnie oddał carowi swoją koronę: „Bierzemy w opiekę królestwo Gruzji nie po to, by powiększać i tak bezkresne ziemie naszego imperium”. Znacie przecież te słowa, prawda?

Oczywiście, że je znaleźliśmy. Przez osiem długich lat szkoły wbijano nam w głowy ten manifest, który przed stu laty ogłosił car

Aleksander I. Przy głównej ulicy Tyflisu na brązowej tablicy wypisane były właśnie te słowa: „Bierzemy w opiekę królestwo Gruzji...”.

Nino właściwie miała rację. Haremy Orientu były wówczas wypełnione więzionymi kobietami kaukaskimi, a ulice kaukaskich miast pełne trupów chrześcijan. Mógłbym jej odpowiedzieć: „Jestem muzułmaninem, wy jesteście chrześcijanami. Bóg nam was podarował jako łup”. Milczałem jednak i czekałem na odpowiedź Nacharariana.

– Widzi pani, księżniczko – powiedział – człowiek myślący politycznie musi zdobyć się na odwagę niesprawiedliwości i braku obiektywizmu. Przyznaję, że wraz z Rosjanami do kraju zawitał pokój. Ale teraz już my, tutejsi mieszkańcy, potrafimy utrzymać ten pokój sami. Rosjanie twierdzą, że muszą nas chronić przed naszą wzajemną agresją – i stąd ci rosyjscy urzędnicy i gubernatorowie. Niech pani jednak sama oceni, księżniczko, czy ktoś musi panią chronić przede mną? Musi mnie ktoś chronić przed Ali Chanem? Czyż nie siedzieliśmy wszyscy w kręgu na kolorowym dywanie w Pechachpür koło Szuszi? Dzisiaj Persja nie jest już naszym wrogiem, którego ludy kaukaskie musiałyby się obawiać. Wróg siedzi teraz na północy i ten wróg wmawia nam, że jesteśmy jego dziećmi, że musi nas bronić, żebyśmy sobie nawzajem nie zrobili krzywdy. Ale my już od dawna nie jesteśmy dziećmi.

– I dlatego nie idzie pan na wojnę? – spytała Nino.

Nachararian wypił zbyt dużo szampana.

– Nie tylko dlatego. Jestem też leniwy i wygodny. Mam Rosjanom za złe konfiskatę ormiańskich dóbr kościelnych, a na tarasie tego klubu jest ładniej niż w okopach. Moja rodzina jest już dość sławna, więc ja teraz z tej sławy korzystam.

– Jestem innego zdania – powiedziałem. – Ja nie korzystam ze sławy zdobytej przez przodków, poza tym sam kocham wojnę. Ale nie tę wojnę.

– Pan jest młody, przyjacielu – rzekł Nachararian i pił dalej.

Mówił długo i zapewne bardzo mądrze. Gdy wychodziliśmy, Nino była niemal przekonana, że jest tak, jak on mówi. Do domu

pojechaliśmy jego samochodem.

– Baku to wspaniałe miasto – powiedział po drodze. – To wrota Europy. Gdyby Rosja nie była taka zacofana, byłibyśmy już krajem europejskim.

Pomyślałem o beztrudnych czasach nauki geografii i zaśmiałem się z zadowoleniem na wspomnienie tamtych rozważań.

To był miły wieczór. Na pożegnanie ucałowałem oczy i dłonie Nino; Nachararian patrzył w tym czasie na morze. Później zawiózł mnie do Baszty Ciciszwilego... Dalej samochód nie pojechał. Za murem zaczynała się Azja.

– Ożeni się pan z Nino? – spytał jeszcze.

– Inszallah, jeśli Bóg zechce.

– Będzie pan musiał przewyciężyć kilka trudności, przyjacielu. Jeśli będzie pan potrzebował pomocy, proszę się nie krępować. Jestem za tym, żeby najpierwsze rodziny naszych narodów się ze sobą łączyły. Musimy trzymać się razem.

Uścisnąłem mu serdecznie dłoń. Są jednak na świecie przyzwoici Ormianie. To odkrycie zbiło mnie nieco z tropu.

Zmęczony wszedłem do domu. Służący siedział na podłodze i czytał. Zerknąłem do książki – ozdobne pismo arabskie Koranu wiło się przez strony. Służący wstał na powitanie. Wziąłem od niego świętą księgę i czytałem: „O wy, którzy wierzycie! Wino, majsir, bałwany i strzały wróżbiarskie – to obrzydliwość wynikająca z dzieła szatana. Unikajcie więc tego! Być może będziecie szczęśliwi. Szatan chce tylko rzucić między was nieprzyjaźń i zawiść przez wino i majsir i odwrócić was od wspominania Boga i od modlitwy”<sup>1</sup>.

Stronice Koranu pachniały słodkawo. Cienki żółtawy papier szeleścił. Słowo Boga, ściśnięte między dwiema skórzanymi okładkami, było surowe i napominające. Oddałem książkę służącemu i poszedłem do swojego pokoju. Szeroka, niska otomana była miękka. Zamknąłem oczy, jak zawsze, kiedy chciałem coś szczególnie dobrze zobaczyć. Zobaczyłem szampana, Eugeniusza Oniegina na balu, jasne owcze oczy Nacharariana, delikatne usta Nino i chmurę nieprzyjaciół płynących przez zaporę gór, żeby zdobyć nasze miasto.

Od ulicy dobiegł mnie monotony śpiew. To Haszim, zakochany. Był bardzo stary i nikt nie wiedział, po jakiej miłości wciąż nosi żałobę. Miał arabski przydomek Madżnun, chory z miłości. Nocami przemykał przez puste ulice, przysiadał na jakimś rogu, płakał i śpiewał do świtu o swojej miłości i cierpieniu.

Monotonny dźwięk jego pieśni działał usypiająco. Odwróciłem się do ściany i zapadłem w ciemność i sen.

Życie wciąż jeszcze było piękne.

## Rozdział 11

Kij ma dwa końce – górny i dolny. Jeśli go odwrócisz, to górny koniec będzie na dole, a dolny na górze. W samym kiju natomiast nic się nie zmieni.

Tak dzieje się ze mną. Jestem tym samym człowiekiem co przed miesiącem i co przed rokiem. Na świecie trwa ta sama wojna i ci sami generałowie zwyciężają albo przegrywają. Ale kto jeszcze niedawno nazywał mnie tchórzem, teraz mijając mnie, spuszcza wzrok; przyjaciele i krewni głośno chwala moją mądrość, a mój własny ojciec spogląda na mnie z podziwem. Tymczasem we mnie nic się nie zmieniło.

Pewnego dnia miasto obiegła wieść, że Jego Cesarska Mość, sułtan wielkiego imperium osmańskiego Mehmed V Resad postanowił ruszyć na wojnę z niewiernymi. Jego zwycięskie wojska ciągnęły na wschód i na zachód, by wyzwolić muzułmanów spod jarzma Rosji i Anglii. Ogłoszono świętą wojnę i nad pałacem kalifa łopotała zielona flaga Proroka.

W ten sposób zostałem bohaterem. Przychodzili do mnie przyjaciele i chwalili moją dalekowzročność. Miałem rację, mówili, odmawiając pójsia na wojnę. Muzułmanin nigdy nie powinien walczyć przeciwko sułtanowi. Turcy, nasi bracia, wejdą do Baku i nasz lud zjednoczy się z ludem tureckim w jedną wielką wspólnotę wiernych.

Milczałem i kłaniałem się bez słowa. Człowiek mądry nie może zważać na pochwały i nagany. Moi przyjaciele rozkładali mapy i spierali się zaciekle, z której strony Turcy wkroczą do Baku. Rozstrzygnąłem ich spór, mówiąc, że Turcy, skądkolwiek by przyszli, wejdą najpierw do dzielnicy ormiańskiej Armenikend. Przyjaciele znowu patrzyli na mnie z podziwem i chwalili moją mądrość.

Dusza ludzka potrafi się odmienić w ciągu jednej nocy. Od tego czasu żaden muzułmanin nie garnął się już do broni. Zajnal Aga



musiał zapłacić ciężkie pieniądze, by przenieść Iljasa Bega, który nagle stracił cały wojenny zapas, do garnizonu w Baku. Biedak zdał egzamin na oficera tuż przed wypowiedzeniem wojny przez Turcję; przez egzamin przeczłgał się też, o dziwo, nawet Mehmed Hajdar. Teraz obaj byli podporucznikami, siedzieli w koszarach i zżerała ich zazdrość o to, że ja nie składałem przysięgi wojskowej carowi. Oni nie mieli już odwrotu, bo też nikt ich do tej przysięgi nie zmusił. Złożyli ją dobrowolnie i musieli jej dotrzymać. Pierwszy bym się od nich odwrócił, gdyby tę przysięgę złamali.

Ja sam raczej milczałem, a po głowie krążyły mi niejasne myśli. Tylko od czasu do czasu wychodziłem wieczorami z domu i szedłem do małego meczetu leżącego tuż przy forcie. W pobliżu meczetu stał stary dom, a mieszkał w nim Zajd Mustafa, mój szkolny kolega. Odwiedzałem go w późnych godzinach nocnych.

Zajd Mustafa był potomkiem Proroka. Miał małe, wąskie oczy i ospowatą twarz. Stale nosił zieloną szarfę swojego stanu. Jego ojciec był imamem w małym meczecie, a dziadek sławnym uczonym przy grobie imama Rezy w świętym mieście Meshed. Zajd modlił się pięć razy dziennie. Na podeszwach wypisał sobie imię bezbożnego kalifa Jazida, żeby codziennie je deptać jako imię wroga wiary. W świętym dniu żałoby dziesiątego dnia miesiąca muharram kancerował sobie do krwi skórę na piersi. Nino uważała go za bigota i pogardzała nim z tego powodu. Ja go lubiłem za jasność spojrzenia, gdyż jak nikt inny potrafił odróżnić dobro od zła i prawdę od nieprawdy.

Powitał mnie pogodnym uśmiechem mędrca.

– Słyszałeś, Ali Chanie? Bogaty Jakub Oghly kupił dwanaście skrzynek szampana, żeby opróżnić je z pierwszym tureckim oficerem, który wejdzie do miasta. Szampana! Szampan na cześć muzułmańskiej świętej wojny!

Wzruszyłem ramionami.

– Co cię tak dziwi, Zajdzie? Ludzie postradali rozum.

– Na kogo Allah się gniewa, tego prowadzi na manowce – powiedział Zajd, wykrzywiając usta. Zerwał się, wargi mu drżały: – Ośmiu mężczyzn wczoraj uciekło, by służyć w armii sułtana. Ośmiu

ludzi! Pytam cię, Chanie, co oni mają w głowie?

– Ich głowy są puste jak brzuch głodnego osła – odparłem ostrożnie.

Zaciekły gniew Zajda zdawał się nie znać granic.

– Popatrz – zawołał – szyici walczą za sunnickiego kalifa! Czy to nie Jazid przelał krew wnuka Proroka? Czy to nie Muawija zamordował Alego, niech będzie pochwalone jego imię? Kto jest spadkobiercą Proroka? Kalif czy Niewidzialny, imam wieczności, w którego żyłach płynie krew Proroka? Od stuleci lud szyicki nosi żalobę, płynie krew między nami a wiarołomnymi, którzy są gorsi niż niewierni. Z jednej strony szyizm, z drugiej sunna, a pomiędzy nimi nie ma pomostu. Przecież to nie tak dawno temu sułtan Selim nakazał wymordować czterdzieści tysięcy szyitów. A teraz? Szyici walczą za kalifa, który ukradł spadek po Proroku. Wszystko poszło w zapomnienie, krew pobożnych, misterium imamów. Tu, w naszym szyickim mieście, siedzą ludzie i czekają z utęsknieniem, by przyszli sunnici i zniszczyli naszą wiarę. Czego chce Turek?! Enwer doszedł do Urmii, Iran jest podzielony, wiara zniszczona. O Ali, przybądź z ognistym mieczem, osądź wiarołomnych! O Ali, Ali...!

Po twarzy płynęły mu łzy. Zacisnął dłoń w pięść i uderzał się głucho w pierś. Patrzyłem na niego wstrząśnięty. Nie wiedziałem już, co jest właściwe, a co nie. Turcy są sunnitami, to prawda. Mimo to tęskniłem za wkroczeniem Enwera do naszego starego miasta. Co to było? Czy krew naszych męczenników naprawdę została przelana na próżno?

– Posłuchaj, Zajdzie – rzekłem. – Turcy są naszymi współplemieńcami. Ich język jest naszym językiem. Krew Turanu płynie w naszych i ich żyłach. Może to dlatego łatwiej się umiera pod półksiężycem kalifa.

Zajd Mustafa osuszył oczy.

– W moich żyłach płynie krew Mahometa – powiedział chłodno i dumnie. – Krew Turanu? Myślę, że zapomniałeś już nawet tę drobną część, której nauczyłeś się w szkole. Jedź w góry Ałtaj albo jeszcze dalej, do granic Syberii – kto tam mieszka? Turcy jak my, naszego języka i naszej krwi. Bóg pozwolił im zbłądzić i pozostali

poganami, oddają cześć bożkom: swojemu bogu wody, który nazywa się Su-Tengri, czy bogu nieba, którego zwą Teb-Tengri. Gdyby ci Jakuci albo Ałtajczycy byli bardzo silni, to czy my, szyici, mielibyśmy się cieszyć ze zwycięstw tych pogan tylko dlatego, że są naszej krwi?

– Co powinniśmy zrobić, Zajdzie? – spytałem. – Miecz Iranu zardzewiał, a kto walczy z Turkami, pomaga carowi. Czy w imię Mahometa mamy bronić krzyża cara przeciwko półksiężycowi kalifa? Powiedz, co mamy zrobić?

Twarz Mustafy była niewymownie smutna. Popatrzył na mnie, a ja miałem wrażenie, jakby z jego oczu przemawiała cała rozpacz umierającego tysiąclecia.

– Co robić, Ali Chanie? Ja sam tego nie wiem.

Zajd Mustafa był uczciwym człowiekiem.

Milczałem przygnębiony. Lampa naftowa w pokoju Zajda dymiła. W wąskim kręgu światła jaśniały kolory dywanika modlitewnego. Był on jak ogród, który można złożyć i zabrać ze sobą w podróż. On, Zajd Mustafa, mógł bez przeszkód przeklinać grzechy ludu. On był na Ziemi jak w podróży. Jeszcze dziesięć czy dwadzieścia lat i zostanie imamem przy grobie Rezy w Meshhedzie, jednym z tych mędrców, którzy – niewidoczni i niezauważalni – sterują losami Persji. Już teraz miał zmęczone oczy starca, który wie o swej starości i ją akceptuje. Ani o krok nie odstąpi od swojej wiary, nawet jeśli Persja miałaby dzięki temu stać się znowu wielka i potężna. Lepiej zginać, niż brodząc w grzechu, zyskać złudne ziemskie zaszczyty. Dlatego milczy i nie zna recepty. Dlatego tak go lubię, tego samotnego strażnika prawdziwej wiary.

– Nasz los jest w ręku Allaha, Zajdzie – powiedziałem wymijająco.

– Niech nas Bóg poprowadzi właściwą drogą. Dzisiaj chciałem omówić z tobą coś innego.

Zajd Mustafa zerknął na swoje zabarwione henną paznokcie. Między palcami wił mu się bursztynowy różaniec. Otworzył oczy i ospowata twarz rozjaśniła się uśmiechem.

– Wiem, Ali Chanie, chcesz się ożenić.

Wyprostowałem się zaskoczony. Miałem zamiar omówić z nim

założenie szyickiej organizacji skautów, tymczasem on już teraz rościł sobie prawo do urzędu i wiedzy duchownego.

– Skąd wiesz, że chcę się ożenić, i co ci do tego?

– Widzę to po twoich oczach i dużo mi do tego, bo jestem twoim przyjacielem. Chcesz się ożenić z Nino, która mnie nie lubi i która jest chrześcijanką.

– Tak właśnie jest, Mustafo. Co ty na to?

Mustafa spojrział przenikliwie i z mądrością.

– Mówię „tak”, Ali Chanie. Mężczyzna musi się ożenić i to najlepiej z kobietą, która mu się podoba. Nie jest konieczne, żeby i on się jej podobał. Mądry mężczyzna nie zabiega o względy kobiety – kobieta jest tylko rolą, którą mężczyzna zasiewa. Czy ziemia musi kochać rolnika? Wystarczy przecież, że rolnik kocha swoje pole. Żeń się. Nigdy jednak nie zapomnij, że kobieta jest tylko rolą.

– Uważasz więc, że kobieta nie ma duszy ani rozumu? – spytałem.

Popatrzył na mnie ze współczuciem.

– Jak możesz o to pytać, Ali? Naturalnie, że kobieta nie ma ani duszy, ani rozumu. Po co by je zresztą miała mieć? Wystarczy, że jest cnotliwa i urodzi wiele dzieci. Prawo mówi: świadectwo mężczyzny ma większą moc niż świadectwo kobiety. Nie zapominaj o tym, Ali.

Byłem przygotowany na to, że pobożny Zajd będzie mnie przeklinał, kiedy usłyszy, że chcę się ożenić z chrześcijanką, która jego, Zajda, nie lubi. Zajd był jednak uczciwy i mądry. Powiedziałem łagodnie:

– A więc nie przeszkadza ci, że Nino jest chrześcijanką? Czy powinna przejść na islam?

– Po co? – zapytał. – Przecież stworzenie bez duszy i rozumu nie ma też wiary. Na kobietę nie czeka ani niebo, ani piekło. Po śmierci się rozpada i nic z niej nie pozostaje. Synowie muszą oczywiście być szyitami.

Kiwnąłem głową.

Zajd wstał i podszedł do biblioteczki. Długimi małpimi rękami sięgnął po zakurzoną książkę. Perski napis na niej głosił: *Cenab-i Tevarih-i Al-i Seldżuk* (Historia dynastii Seldżuków). Otworzył

książkę.

– Tutaj – rzekł. – Strona dwieście siódma. – I przeczytał: – „W roku ucieczki sześćset trzydziestym siódmym w zamku Kabadia zmarł sułtan Ala ad-Din Kajkubad I. Na tron Seldżuków wstąpił Gijas ad-Din Kaj Chusrau II, który ożenił się z córką pewnego księcia gruzińskiego. Jego miłość do chrześcijańskiej Gruzinki była tak wielka, że na monetach nakazał tłoczyć jej wizerunek obok swojego. Wtedy przyszli mądrzy i pobożni i rzekli: «Sułtan nie może naruszać przykazań Boga. Jego przedsięwzięcie jest grzechem». Potężny się rozgniewał: «Bóg ustanowił mnie nad wami. Waszym przeznaczeniem jest posłuszeństwo». Mędrcy odeszli zafrasowani. Bóg jednak oświecił sułtana. Wezwał więc znowu mędrców i powiedział: «Nie chcę łamać świętych przykazań, których Bóg nakazał mi przestrzegać. Niechaj zatem będzie tak: Lew o długiej grzywie z mieczem w prawej łapie – to jestem ja. Słońce, które wschodzi nad moją głową, to jest pani mej miłości. Niech to będzie prawem». Od tamtej pory lew i słońce są symbolami Persji. Mądrzy ludzie mówią jednak, że nie ma ładniejszych kobiet niż Gruzinki”.

Mustafa zamknął książkę i uśmiechnął się do mnie.

– Widzisz, robisz teraz to samo, co zrobił dawno temu Kaj Chusrau. Żadne prawo tego nie zabrania. Gruziańskie kobiety są częścią zdobyczy, którą Prorok obiecał pobożnym: „Idź i weź”. Tak mówi Księga.

Jego mroczna twarz nagle złagodniała. Małe, złe oczy zaśniły. Był szczęśliwy, że może rozproszyć małostkowe wątpliwości dwudziestego wieku słowem świętej księgi. Niechaj niewierni wiedzą, gdzie jest prawdziwy postęp.

Objąłem go i pocałowałem. Poszedłem, a w ciemnych uliczkach nocy moje kroki brzmiały pewnie i mocno. Za mną stała święta księga, za mną był stary sułtan i uczonego Mustafa.

## Rozdział 12

Pustynia jest jak wrota do tajemniczego i niepojętego świata. Pod kopytami mojego konia wirują kurz i kamyki. Siodło jest miękkie, jakby wyściełane puchem. To siodło Kozaków znad Tereku. W takim siodle Kozak może spać, leżeć i stać. Torby przy siodle kryją wszystko, co posiada. Bochenek chleba, butelkę wódki i zrabowane złote monety z kabardyjskich wiosek. Torby przy moim siodle są puste. Słucham szumu pustynnego wiatru. Wyczerpany pędzę przed siebie w nieskończoność szarego piasku. Kabardyjski lodenowy płaszcz, burka, miętko owija mi ramiona. Chroni mnie, bo nie przepuszcza ani promieni słonecznych, ani deszczu. Zbójnicy i rycerze wynaleźli ten strój do rabunku i jazdy konnej. Kilka ruchów i z czarnego filcu robi się namiot. W fałdach burki kryje się cały łup. Uprowadzone dziewczyny siedzą w kucki pod burką jak papugi w klatce.

Jadę do Bramy Szarego Wilka. Pośrodku pustyni w pobliżu Baku wzniesli ją tytani zamierzchłych czasów. Dwie zwietrzałe, szare skały pośrodku oceanu piasku. Sary Kurt, Szary Wilk, praojciec Turków, przez tę kamienną cieśninę miał niegdyś prowadzić plemię Osmanów na zielone równiny Anatolii.

Nocą podczas pełni księżyca przy tych skałach gromadzą się szakale i wilki pustyni. Wyją do księżyca jak pies nad trupem. Mają kosmiczny zmysł wyczuwania odoru nieżywych ciał. Księżyc jest trupem. Jeśli w jakimś domu człowiek leży na łożu śmierci, to psy wyją. Wyczuwają odór zwłok jeszcze za życia umierającego. Są spokrewnione z wilkami pustyni. Tak samo jak my, poddani Rosjan, jesteśmy spokrewnieni z wilkami prowadzonymi przez Enwera w kierunku Zakaukazia.

Galopuję przez nicość wielkiej pustyni. Obok mnie ojciec. Wygląda w siodle jak centaur, jakby był wrośnięty w zwierzę pod sobą.

– Safar Chanie. – Mój głos brzmi ochryple, rzadko zwracam się do ojca po imieniu. – Safar Chanie, muszę z tobą pomówić.

– Mów podczas jazdy, mój synu. Łatwiej się mówi, gdy jeździec i koń stanowią jedno.

Czy ojciec się śmieje? Muskam biczem wąski zad konia. Ojciec unosi brwi. Delikatny ruch i już zrównał się ze mną.

– No, mój synu? – To brzmi prawie jak drwina.

– Chcę się ożenić, Safar Chanie.

Długie milczenie. Wiatr świszczy. Kamyki wirują pod kopytami koni. W końcu rozlega się głos:

– Przy nadmorskiej promenadzie zbuduję ci willę. Znam tam bardzo ładne miejsce. Może zbuduję ci tam też stajnię. Latem możesz mieszkać w Mardakianie. Pierwszemu synowi musisz dać na imię Ibrahim, na cześć przodków. Jeśli chcesz, podaruję ci samochód, ale samochód jest bez sensu, bo nie ma tu odpowiednich dróg. Lepiej jednak stajnię.

Znowu milczenie. Brama Szarego Wilka pozostała w tyle. Jedziemy w stronę morza, w kierunku przedmieścia Bałowo. Głos ojca dźwięczy, jakby dochodził z oddali.

– Mam ci wyszukać jakąś piękną dziewczynę, czy sam już jakąś znalazłeś? Dzisiaj często się zdarza, że młodzi ludzie sami wyszukują sobie żony.

– Chcę się ożenić z Nino Kipiani.

Twarz ojca nawet nie drgnęła. Prawą ręką czule gładzi grzywę konia.

– Nino Kipiani – mówi – ma zbyt wąskie biodra. Ale myślę, że wszystkie Gruzinki są takie. Rodzą jednak zdrowe dzieci.

– Ależ, ojcze!

Nie wiem właściwie, czym jestem tak wzburzony, ale jestem wzburzony.

Ojciec patrzy na mnie z ukosa i się uśmiecha.

– Jesteś jeszcze bardzo młody, Ali Chanie. Biodra kobiety są znacznie ważniejsze niż jej znajomość języków. – Mówi z zamierzoną obojętnością: – A kiedy chcesz się ożenić?

– Jesienią, gdy Nino skończy szkołę.

– Bardzo dobrze. W takim razie pierwsze dziecko urodzi się w maju. Maj to szczęśliwy miesiąc.

– Ależ, ojcze.

Znowu czuję przypływ niezrozumiałej złości. Mam wrażenie, że ojciec sobie ze mnie żartuje. Nie żenię się z Nino ze względu na jej biodra czy znajomość języków. Żenię się z nią, bo ją kocham.

Ojciec się uśmiecha. Potem zatrzymuje konia i mówi:

– Pustynia jest niezamieszкана i pusta. Obojętne, na którym wzgórzu zjemy śniadanie. Jestem głodny. Zatrzymajmy się tu na posiłek.

Zsiadamy z koni. Ojciec wyjmuje z torby przy siodle płaski chleb i owczy ser. Podaje mi połowę, ale mnie się nie chce jeść. Leżymy w piasku, on je i spogląda w dal. Potem twarz mu poważnieje, unosi się, siada wyprostowany jak świeca, nogi ma skrzyżowane, i mówi:

– To bardzo dobrze, że się żenisz. Ja byłem trzykrotnie żonaty, ale żony mi umierały jak muchy jesienią. Teraz, jak wiesz, w ogóle nie mam żony. Ale skoro ty się ożenisz, to być może ożenię się i ja. Twoja Nino jest chrześcijanką. Nie pozwól, żeby wniosła do domu obcą wiarę. W niedzielę wyprawiaj ją do kościoła, ale żadnego popa do domu nie wpuszczaj. Kobieta jest delikatnym naczyniem. Ważne jest, żeby to wiedzieć. Nie bij jej, kiedy będzie w ciąży. Nigdy jednak nie zapominaj, że to ty jesteś panem, a ona żyje w twoim cieniu. Wiesz, że muzułmanin może mieć jednocześnie cztery żony. Lepiej jednak będzie, jeśli zadowolisz się jedną. No, chyba że Nino nie będzie miała dzieci. Nie oszukuj swojej żony, ma prawo do każdej kropli twojego nasienia. Wieczne potępienie dla cudzołożnika. Bądź wobec niej cierpliwy. Kobiety są jak dzieci, tylko znacznie bardziej podstępne i złośliwe. Ważne jest, żeby to wiedzieć. Jeśli chcesz, zasypuj ją prezentami, dawaj jej jedwab i szlachetne kamienie – ale jeśli będziesz potrzebował rady, a ona ci jej udzieli, to zrób dokładnie na odwrót, niż ci powiedziała. To jest chyba najważniejsze.

– Ojcze, ale ja przecież ją kocham.

Pokręcił głową.

– Tak w ogóle to kobiety nie należy kochać. Kocha się ojczyznę,



wojnę. Niektórzy ludzie kochają piękne dywany albo rzadkie okazy broni. Zdarza się jednak, że mężczyzna kocha też kobietę. Znasz przecież opiewaną wszędzie miłość Madżnuna i Lajli czy miłosne gazele Hafiza. Hafiz przez całe swoje życie śpiewał o miłości. Niektórzy mędracy mówią jednak, że on nigdy nie spał z kobietą. Madżnun był po prostu pomyłony. Wierz mi: mężczyzna musi kobietę chronić, a kochać to ona ma jego. Tak chciał Bóg.

Milczałem. Ojciec także zamilkł. Może on ma rację, może miłość nie jest najważniejsza w życiu mężczyzny, tylko ja jeszcze nie osiągnąłem tego stopnia mądrości. Nagle ojciec zaczął się śmiać i zawołał pogodnie:

– Dobrze, w takim razie jutro pójde do księcia Kipianiego i omówię całą sprawę. A może dzisiaj młodzi ludzie już się sami oświadczają?

– Ja sam porozmawiam o tym z Kipianim – odrzekłem szybko.

Dosiedliśmy koni i pojechaliśmy do Baiłowa. Wkrótce ukazały nam się szyby naftowe Bibi-Ejbat. Czarne rusztowania przypominały ciemny, zły las. W powietrzu czuć było naftę. Robotnicy z rękami ociekającymi tłustą cieczą stali przy odwiertach. Ropa rozlewała się szerokim strumieniem na tłustą ziemię. Przejeżdżaliśmy obok więzienia w Baiłowie i nagle usłyszeliśmy strzały.

– Kogoś rozstrzelano? – spytałem.

Nie. Tym razem nie miała miejsca żadna egzekucja. Strzelano gdzieś w bakijskim garnizonie, gdzie adepci pracownicy przygotowywali się do wojny.

– Chcesz odwiedzić swoich przyjaciół? – spytał ojciec.

Kiwnąłem głową. Wjechaliśmy na szeroki plac ćwiczeń przy koszarach. Iljas Beg i Mehmed Hajdar ćwiczyli w pocie czoła ze swoimi oddziałami. Po skroniach płynął im pot.

– Prawa – lewa! Prawa – lewa!

Mehmed Hajdar miał bardzo poważną twarz. Iljas Beg przypominał delikatną marionetkę poruszającą się z woli kogoś innego. Obaj podeszli do nas, żeby się przywitać.

– No i jak się wam podoba służba? – spytałem.

Iljas Beg milczał. Mehmed Hajdar spoglądał ponuro przed siebie.

- Zawsze lepsze to niż szkoła – burknął.
- Będziemy mieli nowego dowódcę pułku. Niejakiego księcia Melikowa z Szuszi.
- Melikowa? Ja go znam. To ten z czerwonozłotym koniem?
- Ten sam. Cały garnizon opowiada już sobie legendy o tym koniu.

Umilkliśmy. Dziedziniec koszar pokrywała gruba warstwa piasku. Iljas Beg spoglądał zamyślony w stronę bramy; w jego oczach były zazdrość i tęsknota. Ojciec poklepał go ręką po plecach.

– Zazdrościsz Ali Chanowi wolności, co? Nie bądź zazdrosny, on właśnie zamierza ją komuś podarować.

Iljas Beg roześmiał się skonsternowany.

– No tak, ale podaruje ją Nino.

Mehmed Hajdar uniósł głowę zaciekawiony.

– Ho, ho! – powiedział. – Nareszcie, najwyższy czas.

Był starym żonkosiem, jego żona przesłaniała twarz. Ani Iljas, ani ja nie znaleźliśmy nawet jej imienia. Mehmed popatrzył na mnie z wyższością, zmarszczył niskie czoło i powiedział:

– Teraz dopiero się przekonasz, jak naprawdę wygląda życie.

W jego ustach zabrzmiało to bardzo głupio. Uścisnąłem im obu dłonie i opuściliśmy koszary. Co Mehmed Hajdar i jego zasłonięta żona mogli wiedzieć o życiu?

Przyjechałem do domu i położyłem się na otomanie. W azjatyckim pokoju zawsze panuje chłód. Nocą pokój napęlnia się chłodem jak źródło wodą. Za dnia zanurzamy się w pokoju niczym w chłodnej kąpieli.

Nagle zadzwieczał telefon. Nino skarżyła się w słuchawce:

– Ali Chanie, osłabiają mnie ten upał i matematyka. Przyjdź i pomóż.

Dziesięć minut później Nino wyciąga do mnie swoje szczupłe ramiona. Delikatne palce ma powalane atramentem. Całuję te jej kleksy.

– Nino, rozmawiałem ze swoim ojcem. Zgodził się.

Nino drży i śmieje się jednocześnie. Rozgląda się z obawą po pokoju. Czerwieni się. Podchodzi do mnie bardzo blisko i widzę jej

rozszerzone źrenice.

– Ali Chanie, ja się tak boję, tak się boję... – szepcze.

– Egzaminu, Nino?

– Nie – odwraca się i spogląda w stronę morza. Przeciąga dłonią po włosach i mówi: – Pociąg jedzie z miejscowości A do miejscowości B z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę...

W poczuciu obowiązku pochylam się nad jej zeszytem.

## Rozdział 13

Wieczorem świat wyglądał tak, jakby ktoś patrzył na niego przez matowe szkło. Od morza wdzierała się gęsta mgła. Latarnie na rogach ulic ciemno dymiły.

Szedłem nadmorską promenadą. Z mgły wyrastały twarze i zaraz znowu znikwały, obojętne albo przestraszone. Potknąłem się o jakąś rzuconą w poprzek deskę i poleciałem na tragarza portowego, który grubymi ustami międlił coś beznamietnie, a zamglonymi oczami spoglądał w dal. Zapewne żuł haszysz i był pogrążony w wizjach. Zacisnąłem pięści, uderzyłem go w plecy i poszedłem dalej. Oślepiały mnie szklane szyby portowego miasta. Kopnąłem nogą jakieś szkło, usłyszałem brzęk i zobaczyłem wykrzywioną przerażeniem perską twarz.

Z mgły wyszedł na mnie jakiś brzuch. Wściekłem się na widok takiej opasłości człowieka, więc rzuciłem się i głową uderzyłem w ten brzuch. Był miękki i tłusty. Jakiś głos powiedział dobrodusznie:

– Dobry wieczór, Ali Chanie...

Uniosłem głowę i zobaczyłem Nacharariana, który z uśmiechem mi się przyglądał.

– Do diabła! – zawołałem i chciałem iść dalej.

Zatrzymał mnie siłą.

– Z tobą nie wszystko jest jak trzeba, przyjacielu. Lepiej zostań ze mną.

Jego głos brzmiał współczująco. Poczułem się nagle bardzo zmęczony. Stałem w miejscu spocony i wykończony.

– Chodźmy do Fillipozjanca – powiedział.

Kiwnąłem głową. Było mi wszystko jedno. Prowadził mnie pod rękę ulicą Bariatyńską, aż doszliśmy do dużej kawiarni. Kiedy usiedliśmy w głębokich fotelach, powiedział współczująco:

– Amok, kaukaski amok. Może to z powodu tej duchoty. Czy masz,

Ali Chanie, jakieś szczególne powody do takiej wściekłości?

W lokalu były wyściełane meble i tapety z czerwonego materiału. Popijając gorącą herbatę, opowiedziałem o wszystkim – o tym, jak zapowiedziałem się na dzisiaj do starych Kipianich, jak przestraszona Nino wymknęła się potajemnie z domu, jak pocałowałem księżną w rękę i ucisnąłem dłoń księciu. Jak przedstawiłem im pochodzenie, wiek i zasługi swojej rodziny oraz jej dochody i jak po rosyjsku – a takiego rosyjskiego sam car mógłby mi pozazdrościć – poprosiłem o rękę księżniczki Nino.

– No i co dalej? – spytał Nachararian, najwyraźniej bardzo zainteresowany.

– Dalej? Proszę tylko posłuchać. – Naśladowałem zachowanie księcia i mówiłem tak jak on, z lekkim gruzińskim akcentem: – Mój drogi synu, mój czcigodny Chanie. Niech mi pan wierzy, nie mógłbym życzyć sobie lepszego męża dla mojego dziecka. Co to za szczęście dla kobiety wyjść za mąż za człowieka o charakterze takim jak pański. Proszę jednak pomyśleć – wiek Nino. Co to dziecko wie o miłości? Przecież ona jeszcze chodzi do szkoły. Nie będziemy chyba naśladować indyjskiego zwyczaju małżeństw dzieci. A poza tym – różnice religii, wychowania, pochodzenia. Mówię to również dla pana dobra. Pański ojciec będzie tego samego zdania. No i te czasy, ta okropna wojna, kto wie, co się stanie jeszcze z nami wszystkimi? Mnie też szczęście Nino leży na sercu. Wiem, ona jest przekonana, że pana kocha. Nie chcę przeszkadzać jej szczęściu, ale jedno powiem: poczekajmy do końca wojny. Wy będziecie starsi, a jeśli wasze uczucie będzie wtedy równie silne, możemy wrócić do tej rozmowy.

– I co zamierzasz zrobić, Chanie? – spytał Nachararian.

– Uprawdę Nino i zawiozę ją do Persji. Nie mogę pozwolić na taką hańbę. Przedstawicielowi rodu Szyrwanszyrów powiedzieć „nie”! Co on sobie myśli?! Czuję się zhańbiony, Nachararianie. Szyrwanszyrowie są starsi niż Kipiani. Za szacha Aghi Mohammada spustoszyliśmy całą Gruzję. Każdy Kipiani byłby wtedy zadowolony, gdyby mógł oddać córkę Szyrwanszyrowi. O co mu chodzi z różnicą religii? Czy islam jest gorszy niż chrześcijaństwo? A mój honor? Własny ojciec mnie wyśmiewa: chrześcijanin odmawia mi swojej

córki. My, muzułmanie, jesteśmy wilkami, którym wypadły zęby. Przed stu laty...

Z wściekłości aż się zająknąłem i zamilkłem. Właściwie zbyt dużo powiedziałem. Nachararian sam był chrześcijaninem. Miał wszelkie powody, by się poczuć obrażonym. Ale nie był obrażony.

– Rozumiem twoją złość, Chanie, ale on przecież nie powiedział „nie”. Oczywiście, że czekanie do końca wojny jest śmieszne. On sobie po prostu nie potrafi wyobrazić, że jego córka jest dorosła. Nie powiem nic przeciwko uprowadzeniu, to stary i sprawdzony zwyczaj, odpowiadający naszej tradycji. Należy go jednak traktować tylko jako ostateczne wyjście. Trzeba uświadomić księciu kulturalne i polityczne znaczenie tego małżeństwa, to on ustąpi.

– Ale kto to zrobi?

Wtedy Nachararian uderzył się szeroką dłonią w piersi i zawołał:

– Ja to zrobię, ja! Zдай się na mnie, Ali Chanie!

Popatrzyłem na niego zdumiony. Czego chce ten Ormianin? Już drugi raz wkracza w moje życie. Może chce budować sobie pozycję wśród muzułmanów ze względu na nadciągających Turków? Albo naprawdę chce tworzyć jakiś związek narodów Zakaukazia? Było mi wszystko jedno. Najwyraźniej był moim sojusznikiem, więc podałem mu rękę.

Uściskał ją i przytrzymał dłużej.

– Będę cię na bieżąco o wszystkim informował, Chanie. Sam nie podejmuj żadnych kroków. I proszę, żadnego uprowadzania. Dopiero wtedy, gdy nic innego nie pozostanie.

Wstałem. Nagle ogarnęło mnie przeczucie, że mogę zaufać temu grubemu człowiekowi. Objąłem go i wyszedłem z lokalu. Ledwie znalazłem się na ulicy, a ktoś mnie dogonił. Odwróciłem się. To Sulejman Aga, stary przyjaciel mojego ojca. Siedział wcześniej w kawiarni i wszystko widział. Położył mi ciężko rękę na ramieniu i rzekł:

– Szyrwanszyr obejmuje Ormianina! Zgroza!

Drgnąłem, ale on już zniknął w nocnej mgle.

Poszedłem dalej. Jak dobrze, pomyślałem, że nie powiedziałem ojcu, w jakim celu idę do Kipianich. Powiem mu po prostu, że

jeszcze z nimi nie rozmawiałem.

Kiedy otwierałem drzwi do domu, pokręciłem głową na myśl o tym, jak głupia jest ta zapiekła nienawiść do Ormian.

W następnych tygodniach moje życie kręciło się wokół czarnej skrzynki telefonu. To nieforemne urządzenie z dużą korbką nabrało nagle nieoczekiwanego znaczenia. Siedziałem w domu, na pytania ojca, dlaczego tak zwlekam z oświadczeniami, tylko niezrozumiale coś mruczałem. Od czasu do czasu czarny potwór wszczynał alarm. Podnosiłem słuchawkę, a Nino zdawała relację z placu boju:

– To ty, Ali? Posłuchaj: Nachararian siedzi u mamy i rozmawia z nią o wierszach jej dziadka, poety Ilika Czawczawadzego.

I nieco później:

– Słyszysz mnie, Ali Chanie? Nachararian mówi, że Rustaweli był pod silnym wpływem kultury perskiej, tak jak i cała epoka królowej Tamary.

A potem:

– Ali, Nachararian pije z papą herbatę. Powiedział właśnie, że magia naszego miasta wynika z mistycznej więzi jego ras i ludów.

Pół godziny później:

– On sączy z siebie mądrość jak krokodyl łzy. Powiedział przed chwilą: „Baku to takie kowadło, na którym wykuwa się rasę spokojnego i pokojowego Kaukazu”.

Roześmiałem się i odłożyłem słuchawkę. I tak to trwało dzień za dniem. Nachararian jadł i pił u Kipianich, jeździł z nimi na wycieczki i udzielał rad zarówno praktycznej, jak i mistycznej natury. Dzięki linii telefonicznej ze zdumieniem obserwowałem rozwój wypadków i przebiegłość Ormianina w budowaniu podstępów.

– Nachararian mówi, że pierwszym pieniądzem był księżyc. Złote monety i ich władza nad ludźmi są podobno skutkiem prastarego kultu księżycyca wśród ludów Kaukazu i Iranu. Ja już nie mogę słuchać tych wszystkich bredni, Ali. Przyjdź do ogrodu.

Poszedłem. Spotkaliśmy się przy starym murze fortecznym. Szczupła postać Nino przywarła do starych, zwietrzałych skał. Krótko i spieszenie opowiedziała mi, jak matka zaklinała ją, żeby nie

powierzała swojego młodego życia dzikiemu muzułmaninowi, a ojciec nieco żartobliwie ją przestrzegał, że jak nic zamknę ją w haremie. I jak ona, ta mała Nino, ze śmiechem, ale również ostrzegawczo odpowiedziała rodzicom: „Uważajcie, on mnie jeszcze uprowadzi. I co wtedy?”.

Gładziłem jej włosy. Znałem swoją Nino. Zawsze osiągnie to, co chce, nawet jeśli dokładnie nie wie, czego chce.

– Wojna może potrwać jeszcze z dziesięć lat – mruzczała. – Okropne, czego chcą ci rodzice.

– Tak mnie kochasz, Nino?

Usta jej drgnęły.

– Jesteśmy stworzeni dla siebie. Rodzice mi to utrudniają, ale ja się nie poddam, może wtedy, gdy będę już tak stara i zwietrzała jak ten mur. A tak poza tym ja cię naprawdę kocham. Biada ci tylko, gdybyś mnie porwał!

Umilkła, bo nie można mówić i całować się jednocześnie. Potem wróciła potajemnie do domu i zabawa z telefonem zaczęła się od nowa.

– Ali Chanie, Nachararian mówi, że jego kuzyn napisał do niego z Tyflisu, że gubernator jest za mieszanymi małżeństwami. Nazywa to fizycznym nasycaniem Orientu kulturą Zachodu. Rozumiesz coś z tego?

Nie, tego już nie rozumiałem. Snułem się po domu i nic nie mówiłem. Moja kuzynka Aisza, która była z Nino w jednej klasie, przysłała kiedyś do mnie i opowiadała, że Nino w ciągu trzech dni dostała pięć niedostatecznych. Powszechna opinia głosiła, że to ja ponoszę za to odpowiedzialność i że powinienem się bardziej interesować ocenami Nino niż jej przyszłością. Milczałem zawstydzony i grałem z kuzynką w nardy. Aisza wygrała i obiecała, że pomoże Nino w szkole.

Znowu zadzwieczał telefon.

– To ty? Kilkugodzinna rozmowa o polityce i gospodarce. Nachararian mówi, że podziwia muzułmanów, którzy mogą inwestować pieniądze w dobra ziemskie w Persji. Kto wie, co będzie z Rosją? Może wszystko tu padnie? A w Persji ziemię mogą kupować



tylko muzułmanie. On wie dokładnie, że do rodziny Szyrwanszyrów już teraz należy połowa prowincji Gilan, a przecież posiadanie ziemi za granicą jest najlepszym zabezpieczeniem przed przewrotem w Rosji. Zrobił tym ogromne wrażenie na rodzicach. Mama powiedziała, że istnieją też cywilizowani i kulturalni muzułmanie.

Jeszcze dwa dni i partia ormiańskich szachów została wygrana.

Nino w słuchawce płakała i śmiała się na przemian.

– Mamy błogosławieństwo rodziców, amen!

– Ale teraz twój ojciec musi do mnie zadzwonić, bo to on mnie obraził.

– Załatwię to.

Tak się też stało. Głos księcia był delikatny i łagodny.

– Wejrzałem w serce mego dziecka. Nino darzy pana uczuciem prawdziwym i świętym. Byłoby grzechem stawiać jej na drodze do szczęścia. Niech pan do nas przyjdzie, Ali Chanie.

Poszedłem do nich. Księżna się rozplakała i pocałowała mnie. Książę był bardzo uroczy. Mówił o małżeństwie, jednakże zupełnie inaczej niż mój ojciec – według niego małżeństwo polega na wzajemnym zaufaniu i szacunku. Mężczyzna i kobieta muszą się wspierać słowem i czynem, a poza tym zawsze mają pamiętać, że są takimi samymi ludźmi, o takich samych prawach i wolnych duszach. Uroczyście przyrzekłem, że nie każę Nino przesłaniać twarzy i nie zamknę jej w haremie. Przyszła Nino i pocałowałem ją w czoło. Schowała głowę w ramionach i wyglądała jak mały ptak, którego trzeba ochraniać.

– Na razie nie wolno jeszcze niczego ogłaszać publicznie – zastrzegł książę. – Najpierw Nino musi skończyć szkołę. Ucz się dobrze, moje dziecko, bo jak nie zdasz, to będziesz musiała czekać jeszcze rok.

– Nie obawiaj się, ojcze, poradzę sobie i na egzaminie, i w małżeństwie. Ali Chan mi w tym pomoże.

Gdy wyszedłem z domu, przed drzwiami stał samochód Nacharariana... Mrugnął do mnie wyłupiastymi oczami.

– Nachararian! – zawołałem. – Chcesz całą stadninę czy wieś w Dagestanie? A może perski order lub gaj pomarańczowy

w Eniseli?

– Ani tego, ani tego – odrzekł. – Wystarczy mi poczucie, że trochę pomogłem przeznaczeniu.

Popatrzyłem na niego z wdzięcznością. Pojechaliśmy nad zatokę Bibi-Ejbat. Ciemne maszyny torturowały tam ziemię tłustą od ropy. Tak jak Nachararian ingerował w moje przeznaczenie, tak w kształt tutejszego krajobrazu ingerował dom Nobłów. Ogromny kawał morza został odsunięty od brzegu i teraz dawny grunt podwodny nie należał już ani do morza, ani do stałego lądu. Na najbardziej zewnętrznym krańcu nowej ziemi zapobiegliwy gospodarz urządził już herbaciarnię. Siedzieliśmy i piliśmy w niej buriacką herbatę kiachta, mocną jak alkohol. Nachararian, odurzony pachnącym napojem, dużo mówił o Turkach, którzy być może najadą Karabach, i o rzezi Ormian w Azji Mniejszej.

– Niech się pan nie obawia – powiedziałem. – Kiedy Turcy dojdą do Baku, ukryję pana w swoim domu.

– Nie obawiam się – rzekł Nachararian.

Daleko nad morzem, za wyspą Nargin, świeciły gwiazdy. Nad brzegiem rozpościerała się spokojna cisza.

– Morze i brzeg są jak kobieta i mężczyzna, zjednoczeni w odwiecznej walce.

Czy to ja powiedziałem te słowa? Powiedział je Nachararian? Nie byłem tego pewny. Odwiózł mnie do domu. Ojcu oznajmiłem:

– Kipiani dziękuje za honor, jaki dom Szyrwanszyrów uczynił jego rodowi. Nino jest moją narzeczoną. Idź tam jutro i omów wszystko inne.

Byłem bardzo zmęczony i bardzo szczęśliwy.

## Rozdział 14

Dni mijały i przechodziły w tygodnie, tygodnie urastały do miesięcy. Wiele się wydarzyło na świecie, w kraju i w domu. Noce stały się długie, na wszystkich drózkach ogrodu gubernatora leżały żółte liście, obumarłe i smutne. Jesienny deszcz zaciemniał horyzont. Po morzu pływały lodowe kry i rozbijały się o skaliste brzegi. Pewnego ranka cieniutka warstwa śniegu pokryła ulice i przez chwilę panowała zima.

Potem noce znowu były krótsze.

Smutnym krokiem szły z pustyni wielbłądy. W żółtej sierści niosły ze sobą piasek, a oczami, które widziały wieczność, stale patrzyły w dal. Na garbach dźwigały broń, której lufy, przypięte z boku, wylotami skierowane były ku ziemi, skrzynie z amunicją i karabiny – łupy wojenne z wielkich walk. Wzięci do niewoli Turcy ciągnęli przez miasto w podartych i znoszonych szarych mundurach armii Enwera. Maszerowali w stronę morza, a małe parowce zabierały ich na wyspę Nargin. Umierali tam na czerwonkę, z głodu lub tęsknoty za krajem; albo uciekali i umierali na słonych pustyniach Persji i w przepastnych odmętach Morza Kaspijskiego.

Gdzieś daleko szalała wojna, ale nagle ta dal stała się bliska i dotykalna. Pociągi z żołnierzami nadjeżdżały z północy, pociągi z rannymi z zachodu. Car zdymisjonował swego stryja i sam dowodził dziesięciomilionową armią. Carski stryj rządził teraz Zakaukaziem, na które padał jego ponury i potężny cień. Wielki książę Mikołaj Mikołajewicz! Jego długa, koścista ręka sięgała do samego serca Anatolii, a złość na cara wyładowywała się w dzikich atakach podległych mu dywizji. I ta złość pchała wielkiego księcia przez śnieżne góry i pustynie w kierunku Bagdadu i Trapezuntu. „Długi Mikołaj”, mówili ludzie i pełni strachu rozmawiali o jego niepohamowanych atakach wściekłości, o mrocznym szaleństwie rozsrożonego wojownika.

Do walk włączyły się niezliczone kraje. Front się ciągnął od Afganistanu po Morze Północne, a nazwiska sojusznicznych monarchów, państw i dowódców pokrywały szpalty gazet jak trujące muchy zwłoki bohaterów.

I znowu przyszło lato. Nieznośny upał rozlał się nad miastem, asfalt topił się pod stopami przechodniów. Na wschodzie i zachodzie czczono zwycięstwa, a Nino stała w sali egzaminacyjnej liceum Świętej Tamary i dowodziła swojej dojrzałości znajomością równań matematycznych, klasycznych cytatów i historycznych dat, a w beznadziejnych przypadkach czarowała tylko swoimi szeroko otwartymi, wielkimi gruzińskimi oczami.

Ja przesiadywałem w herbaciarniach, kawiarniach, u przyjaciół i u siebie w domu. Wiele osób wymyślało mi z powodu przyjaźni z Ormianinem Nachararianem. Pułk Iljasa Bega wciąż jeszcze stacjonował w mieście i na pylistym dziedzińcu koszar ćwiczył sztukę wojenną. Opery, teatry i kina działały tak jak przed wojną. Wiele się wydarzyło, ale ani na świecie, ani w kraju, ani w domu nic się nie zmieniło.

Kiedy Nino, wzdychając pod ciężarem wiedzy, przychodziła do mnie, moje ręce dotykały jej chłodnej i gładkiej skóry. Miała głęboko osadzone oczy, przepełniał je lęk podszyty ciekawością. Chodziliśmy do klubu miejskiego, do teatru i na bale. Iljas Beg, Mehmed Hajdar, Nachararian, nawet pobożny Zajd Mustafa chodzili z nami. Koleżanki Nino ze szkoły długo patrzyły za nami, a kuzynka Aisza opowiadała mi, jak nauczyciele z wyrozumiałością dla przyszłej pani Szyrwanszyr wpisywali jej do dziennika jedną pozytywną ocenę za drugą.

Rzadko byliśmy sami. Jak stroma ściana troskliwej życzliwości otaczali nas przyjaciele, którzy między sobą nie zawsze dobrze się znosili. Kiedy gruby i bogaty Nachararian popijał swojego szampana i mówił o wzajemnej miłości ludów Kaukazu, to twarz Mehmeda Hajdara ciemniała.

– Myślę, panie Nachararian, że to zbyt duża troska. Po wojnie i tak pozostanie jedynie mała garstka Ormian.

– Ale Nachararian będzie należał do tych pozostałych! – zawołała

Nino.

Nachararian milczał i pił szampana. Słyszałem, że zamierza właśnie przenieść wszystkie swoje pieniądze do Szwecji.

Mnie to nie obchodziło. Kiedy prosiłem Mehmeda Hajdara, żeby był trochę bardziej przyjazny dla Nacharariana, ten marszczył czoło i mówił:

– Nie znoszę Ormian i niebiosą wiedzą, jaka jest tego przyczyna.

Gdy po balu maturalnym odprowadziłem promienną Nino do domu, stary Kipiani powiedział:

– Teraz jesteście zaręczeni. Pakuj się, Ali Chanie, jedziemy do Tyflisu. Muszę cię przedstawić rodzinie.

I tak pojechaliśmy do Tyflisu, stolicy Gruzji.

Tyflis był jak puszcza, tyle że każde drzewo miało swoje oryginalne imię i było stryjem, kuzynem, ciotką albo kuzynką. Niełatwo było odnaleźć się w tym gąszczu. Nazwiska i imiona brzęczały w powietrzu i dźwięczały jak stara stal. Orbeliani, Czawczawadze, Cereteli, Amilachwari, Abaszidze. Na obrzeżach miasta w ogrodzie Didube dom Orbelianich wydał przyjęcie na cześć nowego kuzyna. Gruzińska surma grała *Mrawaliawer*, kachetyjską pieśń wojenną, i chewsureckie *Lilo*. Pewien kuzyn z Kutaisi o nazwisku Abaszidze zaśpiewał *Mgali Delia*, pieśń burzy z gór Imeretii. Któryś ze stryjów zatańczył *dawluri*, a jakiś stary człowiek z siwą brodą wskoczył na przykrytą dywanem trawę i zastygł w patosie *bukhny*. Zabawa trwała całą noc. Kiedy nad ranem za górami pokazało się słońce, muzycy zaintonowali hymn *Powstań, królowo Tamaro, Gruzja za tobą płacze*. Siedziałem w bezruchu za stołem obok Nino. Przed nami połyskiwały szpady i sztylety. Gruziński taniec z nożami, wykonywany o brzasku przed zgromadzonymi krewniakami, przypominał przedstawienie sceniczne, tak był nieprawdziwy i odległy. Przysłuchiwałem się rozmowom sąsiadów przy stole. Brzmiały tak, jakby płynęły z otchłani stuleci.

– W czasach Saakadze jeden z Ceretelich obronił Tyflis przed Czyngis-chanem.

– Wiecie przecież, że my, Czawczawadze, jesteśmy starsi niż

Bagratydzi, rodzina królewska.

– Pierwszy Orbeliani? Przybył z Chin przed trzema tysiącami lat. Był synem cesarza. Do dzisiaj niektórzy Orbeliani mają skośne oczy.

Rozglądałem się nieśmiało wokół. Czymże w porównaniu z tym byli nieliczni Szyrwanszyrowie, którzy przenieśli się do wieczności przede mną? Nino mnie pocieszała:

– Nie martw się, Ali Chanie. Kuzyni są oczywiście z bardzo szlachejnych rodów, ale pomyśl, gdzie byli ci ich antenaci, gdy twój przodek podbijał Tyflis?

Nic nie powiedziałem, ale byłem bardzo dumny z tego, że Nino już teraz wśród swoich krewnych czuła się żoną jednego z Szyrwanszyrów. Spojrzałem na nią z wdzięcznością.

Czerwone kachetyjskie wino było jak płynny płomień. Z ociąganiem wzniosłem kielich na cześć rodziny Orbelianich, a jakaś stara kobieta pochyliła się ku mnie i powiedziała:

– Niech pan pije spokojnie, Ali Chanie. W winie jest Bóg. Niewielu to wie. Każdy inny rausz pochodzi od diabła.

Było już zupełnie jasno, gdy wracaliśmy do miasta. Chciałem jechać do hotelu, ale zatrzymał mnie jakiś stryj albo kuzyn.

– Dziś w nocy był pan gościem rodziny Orbelianich, a teraz jest pan moim gościem. Śniadanie zjemy w Purgwino, a na obiedzie będziemy podejmowali przyjaciół.

Byłem więźniem gruzińskiego klanu książęcego.

W ten sposób minął tydzień. Przez cały czas wina alazańskie i kachetyjskie, pieczeń barania i ser *motali*. Kuzyni zmieniali się jak żołnierze na froncie gruzińskiej gościnności. Pozostawaliśmy tylko my dwoje, Nino i ja. Podziwiałem jej wytrzymałość. Pod koniec tego tygodnia była nadal świeża jak pierwsza wiosenna rosa. Oczy jej się śmiały, w ogóle nie była zmęczona nieustannymi rozmowami z kuzynami i ciotkami. Jedynie lekka chrypka zdradzała, że przez ostatnie dni i noc tańczyła, piła i prawie zupełnie nie spała.

Rankiem ósmego dnia do mojego pokoju wkroczyli kuzyni Sandro, Dodiko, Wamech i Soso. Patrzyłem na nich z obawą, przykryty po uszy kołdrą.

– Ali Chanie, dzisiaj jesteś gościem rodziny Dżakelich –

poinformowali bezlitośnie. – Jedziemy do Kodzori, do majątku Dżakelich.

– Nie. Dzisiaj nie jestem niczym gościem – odpowiedziałem posepnie – dzisiaj otworzą się przede mną, biednym męczennikiem, wrota raju. Wpuści mnie tam archanioł Michał z płonącym mieczem, gdyż umarłem na ścieżce cnoty...

Kuzyni popatrzyli po sobie i zaczęli się śmiać głośno i bezlitośnie. A potem wypowiedzieli tylko jedno słowo:

– Siarka.

– Siarka? – powtórzyłem. – Siarka? Siarka jest w piekle, a ja idę do raju.

– Nie – odrzekli kuzyni. – Siarka to właśnie to, czego ci potrzeba.

Podniosłem się na łożku. Miałem bardzo ciężką głowę. Nogi i ręce zwisały jak jakieś obce przedmioty. Spojrzałem w lustro i zobaczyłem bladą, żółtozieloną twarz z zamglonym spojrzeniem.

– No tak – powiedziałem, przypominając sobie kachetyjskie wino.

– Mam za swoje. Takie są skutki płynnego ognia. Muzułmanin nie powinien pić alkoholu.

Wygrzebałem się z łożka, stękając jak oferma. Kuzyni mieli oczy Nino i takie same jak ona szczupłe, gibkie ciała. Gruzin jest jak szlachetna sarna zabłąkana wśród azjatyckich ludów tutejszych lasów. Żadna inna rasa Wschodu nie ma tej gracji, tego wdzięku ruchów, tej upojnej radości życia i zdrowej radości z nicnierobienia.

– Zawiadomimy Nino – rzekł Wamech. – Pojedziemy do Kodzori za cztery godziny, kiedy już będziesz zdrowy. – Wyszedł z pokoju i słyszałem, jak rozmawia przez telefon.

– Ali Chan nagle zaniemógł. Potrzebna mu teraz siarka i za cztery godziny będzie znowu do życia. Niech księżniczka Nino jedzie z rodziną wcześniej, my pojedziemy za nimi. Nie, to nic poważnego. Jest tylko trochę chory.

Z trudem się ubrałem. Kręciło mi się w głowie. Gruzińska gościnność była tak różna od spokojnych i godnych przyjęć u stryja w Teheranie! Tam piło się mocną herbatę i rozmawiało o poetach i mędracach. Tutaj piło się wino, tańczyło, śmiało, a przy tym ci ludzie byli elastyczni i twardzi jak stalowe sprężyny. Czy to były

wrota Europy? Nie, oczywiście, że nie. Byli jednymi z nas, a przecież tak bardzo różnili się od reszty Azjatów. To były wrota, ale do czego? Może do ostatniej mądrości przechodzącej w dziecięcą beztroską zabawę. Nie wiedziałem. Byłem bezgranicznie zmęczony. Chwiejnym krokiem zszedłem schodami na dół. Wsiedliśmy do powozu.

– Do łaźni! – krzyknął Sandro.

Woźnica zaciął konie i pojechaliśmy do dzielnicy Majdan. Zatrzymaliśmy się przed dużym budynkiem o kopułowym dachu. Przy wejściu stał półnagi, chudy jak szkielet mężczyzna. Miał oczy jak w nirwanie i patrzył nie na nas, ale jakby przez nas.

– *Hamardżoba*, Mekisse! – zawołał Sandro.

Wartownik drgnął. Skłonił się i powiedział:

– *Hamardżoba*, *Tawadi*. Dzień dobry, książęta.

Po czym zaprowadził nas do hali wielkiej łaźni Bebutowa. Hala była obszerna i ciepła i miała kamienne prycze, na których odpoczywały nagie ciała. Zdjęliśmy ubrania i przeszliśmy korytarzem do innego pomieszczenia. W podłodze były tam czworokątne otwory wypełnione parującą wodą siarczkową. Jak we śnie słyszałem głos Sandra:

– Królowa kiedyś wypuściła sokoła w miejscowości Mccheta. Sokół poleciał za głuszcem. Król oczekiwał na jego powrót, ale nie było widać ani sokoła, ani głuszca. Król wyruszył więc na poszukiwanie i dotarł do jakiegoś gaju. Przez gaj płynęła woda siarkowego koloru i w tej właśnie wodzie utonął głuszc. Sokół poszedł jego śladem. W ten sposób król odkrył wodę siarczkową i położył tam kamień węgielny pod miasto Tyflis. Tutaj jest łaźnia Głuszc, a tam na zewnątrz, na Majdanie, był gaj. Tyflis wziął swój początek od siarki i siarka będzie znaczyła jego kres.

Kopułowo sklepione pomieszczenie wypełniały para i zapach siarki. Wszedłem do gorącej kąpieli jak w breję z zepsutych jajek. Ciała kuzynów błyszcząły od wilgoci. Mokrą dłonią pocierałem sobie klatkę piersiową. Siarka wnikała mi w skórę. W tym źródle zanurzali się wszyscy wojownicy, którzy zdobywali to miasto w ciągu dwóch tysięcy lat jego istnienia: Dżalal ad-Din z Chorezmu,



Czagataj, syn Czyngis-chana, i Timur Kulawy. Zdobywcy byli odurzeni krwią i ocieżali. Wchodzili do siarkowego źródła i uwalniali się od całego ciężaru krwi.

– Dość już, Ali Chanie, wychodź.

Głos kuzynów przerwał mi rozmyślania o kąpiących się zdobywcach. Wygramoliłem się z siarki, poszedłem do sąsiedniego pomieszczenia i padłem bez sił na kamienne leże.

– Mekisse – zawołał Sandro.

Przyszedł masażysta, ten człowiek chudy jak szkielet i z oczami jak w nirwanie. Był nagi, a na gładko ogolonej czaszce miał turban. Położyłem się na brzuchu, a Mekisse wskoczył mi bosymi stopami na plecy i ugniatał je w każdym miejscu, jakby tańczył na dywanie. Następnie wbił się ostrymi jak haczyki palcami w moje ciało, wykręcał mi ręce, tak że słyszałem trzask własnych kości. Kuzyni stali wokół nas i udzielali mu rad:

– Wykręć mu ręce jeszcze raz, Mekisse, on jest bardzo chory.

– Wskocz mu jeszcze raz na kręgosłup, tak, a potem poszczyp mu lewą stronę.

Musiało to być bardzo bolesne, ale ja nie czułem bólu. Leżałem tylko, biały od baniek mydlanych i wydany na sprężyste uderzenia Mekissego. Miałem wrażenie, że wszystkie mięśnie właśnie mi się rozpadają.

– Wystarczy – rzekł Mekisse i znowu zastygł w pozie proroka.

Podniosłem się. Ciało mnie bolało. Poszedłem do sąsiedniego pomieszczenia i wskoczyłem do drugiej kąpieli, tym razem w lodowatej wodzie z siarką. Z zimna aż zaparło mi dech, ale ciało odzyskało prężność i wypełniło się nowym życiem. Otulony ręcznikiem wróciłem do kuzynów, którzy razem z Mekissem patrzyli na mnie wyczekująco.

– Odczuwam głód – powiedziałem z godnością i usiadłem na pryczy ze skrzyżowanymi nogami.

– Jest zdrowy! – ryknęli kuzyni. – Teraz szybko arbuz, ser, warzywa i wino.

Kuracja była zakończona. Leżeliśmy w pomieszczeniu koło łaźni i biesiadowaliśmy. Zmęczenie i słabość zupełnie ustąpiły. Czerwony,

pachnący miąższ zimnego arbuza skutecznie zneutralizował smak siarki. Kuzyni pili wytrawne białe wino Napareuli.

– Widzisz – powiedział Dodiko i nie dokończył zdania, bo w tym „wiedzisz” zawierało się wszystko: duma z miejscowych siarczanych łaźni, współczucie dla obcego, który nie wytrzymał gruzińskiej gościnności, i to serdeczne krewniackie zapewnienie, że on, Dodiko, w pełni rozumie słabości swego muzułmańskiego kuzyna.

Nasz krąg się rozszerzył, dosiedli się do nas sąsiedzi: nadzy i uzbrojeni tylko w butelki wina. Byli więc wśród nas książęta i wierzyciele książąt, słudzy, niebieskie ptaki, uczeni, poeci i właściciele ziemscy – pogodny obrazek gruzińskiej równości. To już nie była łaźnia, to był klub, kawiarnia albo wiec nagich i wesołych mężczyzn o beztroskich, roześmianych oczach. Tu i ówdzie padały jednak poważne słowa przepełnione posępnymi przeczuciami.

– Przyjdzie Osman – powiedział gruby mężczyzna o małych oczkach. – Wielki książę nie zajmie Stambułu. Słyszałem, że jakiś niemiecki generał zbudował w Stambule armatę. Jeśli ona wystrzeli, to trafi dokładnie w kopułę katedry Syjonu w Tyflisie.

– Myli się pan, książę – powiedział człowiek o twarzy jak dynia. – Tej armaty jeszcze się nawet nie buduje, ona dopiero jest w planach. Ale kiedy będzie gotowa, to też nie trafi w Tyflis. Wszystkie mapy, którymi muszą się kierować Niemcy, są nieprawdziwe. To robota Rosjan, jeszcze sprzed wojny, rozumie pan? Rosyjskie mapy... Czy na nich coś się może zgadzać?

Ktoś w kącie westchnął. Obejrzałem się i zobaczyłem siwą brodę i długi orli nos.

– Biedna Gruzja – westchnęła broda. – Jesteśmy jak w rozżarzonych kleszczach. Jeśli zwycięży Osman, to koniec z krajem Tamary. A jeśli Rosjanin, to co wtedy? Błady car osiągnie swój cel, ale nas ścisną za gardło palce wielkiego księcia. Już teraz nasi synowie padają w walce, najlepsi z najlepszych. A potem? Pozostałych przy życiu zdusi Osman, wielki książę albo jeszcze kto inny, może jakaś maszyna, może Amerykanin. Nasz wojenny zapal i jego nagłe wygasanie to prawdziwa zagadka. Kraj Tamary się kończy, popatrzcie tylko, wojownicy są niscy i wątli, urodzaje

mizerne, a wino kwaśne.

Broda zamilkła, lekko zadyszana. Milczeliśmy. Nagle jakiś lękliwy, przytłumiony głos szepnął:

– Zabili szlachetnego Bagrationa. Ożenił się z siostrzenicą cara i Rosjanie mu tego nie mogą wybaczyć. Sam car wysłał go do pułku erylwańskiego, na front. Bagration walczył jak lew i zginął przeszyty osiemnastoma kulami.

Kuzyni sączyli wino. Siedziałem ze skrzyżowanymi nogami i wpatrywałem się przed siebie. Bagratydzi, pomyślałem, najstarszy ród książęcy w chrześcijańskim świecie. Brodacz ma rację: Gruzja słabnie w tych rozżarzonych kleszczach.

– Zostawił jednego syna – uzupełnił inny. – Tejmuraza Bagrationa, prawdziwego króla. Ktoś go chroni.

Zapanowała cisza. Mekisse stał przy ścianie. Dodiko przeciągnął się gwałtownie i ziewnął z zachwytem.

– Piękny jest nasz kraj – powiedział. – Siarka i miasto, wojna i kachetyjskie wino. Spójrzcie, jak Alazani płynie równiną. Pięknie jest być Gruzinem, nawet jeśli Gruzja przemija. To, co mówicie, brzmi tak beznadziejnie. Ale kiedy było inaczej w kraju Tamary? A przecież rzeki ciągle płyną, winorośl rośnie, lud tańczy. Piękna jest nasza Gruzja, i zawsze piękna pozostanie, niezależnie od wszelkiej beznadziei.

Podniósł się, młody i szczupły, o miękkiej aksamitnej skórze, potomek śpiewaków i bohaterów. Siwa broda w kącie uśmiechnęła się z zadowoleniem.

– Dalibóg, jeśli jeszcze jest taka młodzież!

Wamech pochylił się ku mnie.

– Ali Chanie, nie zapomnij, jesteś dzisiaj gościem rodziny Dżakelich w Kodżori.

Wstaliśmy i wyszliśmy na zewnątrz. Woźnica trzasnął z bicia. Wamech powiedział:

– Dżakeli pochodzą ze starego książęcego rodu...

Roześmiałem się radośnie i wesoło.

## Rozdział 15

Siedzieliśmy z Nino w kawiarni Mefisto przy ulicy Gołowińskiego. Przed nami wznosiła się góra Dawida z wielkim klasztorem. Kuzyni pozwolili nam na dzień odpoczynku. Nino spoglądała w górę ku klasztorowi; wiedziałem, o czym myśli. Tam, na górze Dawida, znajdował się grób, przy którym byliśmy. Spoczywa w nim Aleksander Gribojedow – pisarz i minister Jego Carskiej Mości. Na grobie jest napis: „Niezapomniane są Twoje czyny, ale dlaczego przeżyła cię miłość twojej Nino?”.

Nino? Tak – nazywała się Nino Czawczawadze i miała szesnaście lat, gdy pisarz i minister wziął ją za żonę. Nino Czawczawadze, cioteczna babka mojej Nino, która tu obok mnie siedzi. Miała siedemnaście lat, gdy mieszkańcy Teheranu oblegali dom rosyjskiego ministra.

– *Ja Ali Salawat*, o błogosławiony Ali! – krzyczał lud.

Minister miał tylko krótką szpadę i pistolet. Pewien kowal z ulicy sułtana Sully uniósł swój młot i roztrzaskał nim pierś ministra. Kilka dni później na obrzeżach Teheranu znaleziono jego poćwiartowane ciało i głowę, którą właśnie ogryzały psy. Tyle pozostało z Aleksandra Gribojedowa, pisarza i carskiego ministra. Kadżar Fath Ali Szah był wtedy bardzo zadowolony, podobnie jak następca tronu, Abbas Mirza. Meszi Aga, fanatyczny, mądry starzec, otrzymał sowite wynagrodzenie od szacha. Jeden z Szyrwanszyrów, mój cioteczny dziadek, także dostał dobra w Gilanie.

Wszystko to działo się przed stu laty. A teraz na tarasie kawiarni Mefisto siedzimy razem z Nino: ja, Szyrwanszyr, stryjeczny wnuk tamtego Szyrwanszyra, i Nino, cioteczna wnuczka Nino Czawczawadze.

– Nino, my właściwie powinniśmy być śmiertelnymi wrogami, którym honor przywróci jedynie krwawa zemsta. – Wskazałem głową na górę, gdzie znajdował się klasztor. – Czy ty też postawisz

mi kiedyś taki ładny nagrobek?

– Może... – odparła Nino. – To zależy, jak się będziesz sprawował za życia.

Wypiła kawę do końca.

– Chodź – powiedziała – pochodzimy po mieście.

Podniosłem się. Nino kocha to miasto jak dziecko matkę. Ruszyliśmy ulicą Gołowińskiego w górę, ku uliczkom starego miasta. Przed katedrą Syjonu Nino się zatrzymała. Weszliśmy do środka i znaleźliśmy się w ciemnej, wilgotnej przestrzeni. Katedra jest bardzo stara. Zbudowana na planie krzyża, ma spiczastą kopułę i skrywa pamięć całej krwi, która została przelana za to miasto. W ołtarzu stoi krzyż wykonany z winnego krzewu. Dawno temu przywiozła go z Zachodu święta Nino, oświecicielka Gruzji, wraz z pierwszą wieścią o Zbawicielu świata. Nino uklękła, przeżegnała się i spojrzała na obraz swojej patronki.

– Święta Nino, przebacz mi – szepnęła.

W kościelnym półmroku dostrzegłem łzy w jej oczach.

– Chodźmy na zewnątrz.

Posłusznie ruszyła za mną. W milczeniu szliśmy ulicami.

– Co ma ci wybaczyć święta Nino? – zapytałem.

– Ciebie, Ali Chanie.

Miała zmęczony i smutny głos. Niedobrze było chodzić z Nino ulicami Tyflisu.

– Dlaczego mnie?

Byliśmy na Majdanie. Gruzini siedzieli w kawiarniach albo pośrodku ulic. Gdzieś tam rozbrzmiewała surma, a w oddali szumiała Kura. Nino popatrzyła w dal, jakby szukała tam samej siebie.

– Ciebie – powtórzyła później. – Ciebie i wszystko, co było.

Domyślałem się, co ma na myśli, ale mimo to spytałem:

– Czyli co?

Przystanąła. Na drugim końcu placu wznosiła się katedra Kaszweti. Każdy kamień tej świątyni był dziewiczo nieskazitelnym, biały, łagodny i delikatny.

– Przejdź się przez Tyflis. Widzisz tu kobiety z przesłoniętymi twarzami? Nie. Czujesz powiew Azji? Nie. To jest inny świat.

Szerokie ulice, prostolinijne dusze. Kiedy przyjeżdżam do Tyflisu, jestem bardzo mądra, Ali Chanie. Tutaj nie ma żadnych pobożnych błaznów jak Zajd Mustafa i takich ciemnych typów jak Mehmed Hajdar. Życie tutaj jest pogodne i lekkie – powiedziała.

– Ten kraj tkwi między rozżarzonymi kleszczami, Nino.

– No właśnie dlatego – jej stopy dreptały znowu po prastarych kamieniach – właśnie dlatego. Timur Kulawy siedem razy zniszczył to miasto. Najeżdżali je Turcy, Persowie, Arabowie, Mongołowie. Ale przetrwaliśmy. Oni Gruzję pustoszyli, hańbili, mordowali, ale nigdy jej nie posiadli. Z Zachodu przyszła święta Nino z krzyżem z winorośli i my należymy do Zachodu. My nie jesteśmy Azją, jesteśmy najdalej na wschód wysuniętym krajem Europy. Czy ty tego nie czujesz?

Nino szła teraz szybko. Jej dziecięce czoło było zmarszczone.

– Ja, twoja Nino, istnieję właśnie tylko dzięki temu, że stawialiśmy opór Timurowi, Czyngis-CHANOWI, szachowi Tahmaspowi, szachowi Ismailowi. I na to przychodzisz ty, bez miecza, słoni, bez wojowników, a przecież jesteś spadkobiercą krwawych szachów. Moje córki będą nosiły przesłonięte twarze, a kiedy miecz Iranu znowu będzie wystarczająco ostry, to moi synowie i moje wnuki po raz tysięczny będą pustoszyć Tyflis. Och, Ali Chanie, powinniśmy jednak stać się częścią Zachodu!

Ująłem jej rękę.

– Czego byś chciała, Nino?

– Ja jestem bardzo głupia, Ali Chanie – odparła. – Chciałabym, żebyś lubił szerokie ulice i zielone lasy, żebyś rozumiał więcej w sprawach miłości, a nie tylko żył przyklejony do zmurszałych murów jakiegoś azjatyckiego miasta. Zawsze się obawiam, że za dziesięć lat będziesz pobożny i przebiegły, że będziesz siedział w swoich dobrach w Gilanie, a pewnego dnia oznajmisz mi, że jestem tylko rolą, którą ty obsiewasz. Sam powiedz, co ty we mnie kochasz, Ali Chanie?

Tyflis wprowadził Nino w stan pomieszania, była jak odurzona wilgotnym powietrzem na brzegu Kury.

– Co ja w tobie kocham, Nino? Ciebie, twoje oczy, twój głos, twój

zapach, twój chód. Czego jeszcze chcesz? Kocham w tobie wszystko. Miłość Gruzji i miłość Iranu są przecież tym samym. Tu, w tym miejscu, stał przed tysiącem lat wasz największy pisarz Rustaweli, który opiewał miłość do królowej Tamary. A jego pieśni są jak perskie rubajjaty. Bez Rustawelego nie byłoby Gruzji, a bez Persji – Rustawelego.

– W tym miejscu – zastanowiła się Nino – stał też być może Sajat-Nowa, wielki poeta miłości, którego szach kazał ściąć, ponieważ opiewał miłość Gruzinów.

Z moją Nino nie można było wiele zrobić. Żegnała się ze swoją ojczyzną, a przy pożegnaniu ujawnia się miłość.

– Kochasz moje oczy, mój nos, moje czoło, wszystko kochasz, Ali Chanie. A jednak o czymś zapomniałeś. Czy kochasz też moją duszę?

– Tak, twoją duszę też kocham – odparłem zmęczony.

Dziwne, kiedy Zajd Mustafa mówił, że kobieta nie ma duszy, to się śmiałem, a kiedy Nino zażądała, bym odkrył jej duszę, to byłem rozdrażniony. Co to jest dusza kobieca? Kobieta powinna się cieszyć, jeśli mężczyzna nie będzie chciał nic wiedzieć o przepastnej otchłani jej duszy.

– A co ty kochasz we mnie, Nino?

Wtedy ona nagle się rozplakała, tak zwyczajnie, na środku ulicy. Po policzkach płynęły jej duże dziecięce łzy.

– Wybacz, Ali Chanie. Kocham cię, po prostu ciebie takiego, jaki jesteś, ale boję się świata, w którym żyjesz. Ja zwariowałam, Ali Chanie. Stoję na ulicy ze swoim narzeczonym i czynię mu zarzut ze wszystkich wypraw Czyngis-chana. Wybacz swojej Nino. Przecież to głupie, żeby obwiniać cię o każdego Gruzina, którego zamordowali muzułmanie. Już nigdy tak nie będę robiła. Popatrz jednak: twoja Nino też jest jakąś małą cząsteczką Europy, której nienawidzisz, i tu, w Tyflisie, czuję to szczególnie wyraźnie. Kocham cię i ty kochasz mnie, ale ja kocham lasy i łąki, a ty góry oraz kamienie i piasek, ponieważ jesteś dzieckiem pustyni. I dlatego boję się ciebie, twojej miłości, twojego świata.

– No i? – zapytałem, nic nie pojmując. Byłem skołowany.

– No i? – Wytarła oczy i znowu się uśmiechnęła. Przechyliła głowę

na bok. – I? Za trzy miesiące bierzemy ślub. Czego jeszcze chcesz?

Nino potrafi bez żadnego przejścia śmiać się i płakać, kochać i nienawidzić. Wybaczyła mi wszystkie wyprawy Czyngis-chana i znowu mnie kocha. Wzięła mnie za rękę i poprowadziła przez most Weri ku labiryntowi tyfliskiego bazaru. To były symboliczne przeprosiny, bo bazar jest jedynym orientalnym zakątkiem w europejskiej szacie Tyflisu. Grubi handlarze dywanami, Ormianie i Persowie, rozpościerają tam barwny przepych skarbów Iranu. Budy straganów wypełniają błyszczące mosiężne miski z białymi napisami, kurdyjska dziewczyna o jasnych, zdziwionych oczach czyta z dłoni i wygląda na zdumioną własną wszechwiedzą. Przy wejściach do gospód stoją miejscowi lenie i dyskutują z najwyższą powagą o Bogu i o świecie. Wdychamy natarczywe zapachy miasta osiemdziesięciu różnych języków i smutek Nino znika na widok całego tego kolorowego rozgardiaszu bazarowych uliczek. Ormiańscy handlarze, kurdyjscy wróżbiarze, perscy kucharze, osetyjscy kaznodzieje, Rosjanie, Arabowie, Ingusze, Hindusi – na bazarze w Tyflisie spotykają się wszystkie ludy Azji. W cieniu jednej budy powstało jakieś zamieszanie; handlarze otaczają zgromadzonych. To Asyryjczyk kłóci się zażarcie z Żydem. Nas dobiega już tylko:

– Kiedy moi przodkowie prowadzili twoich przodków do niewoli babilońskiej...

Stojący wokół wybuchają niepohamowanym śmiechem. Śmieje się także Nino – z Żyda, z Asyryjczyka, z bazaru i z łez, które wylewa na tyfliski bruk.

Idziemy dalej. Jeszcze kilka kroków i zamykamy krąg wędrówki, znowu stoimy przed kawiarnią Mefisto przy Gołowińskiego.

– Wejdziemy znowu? – pytam niezdecydowany.

– Nie. Dla uczczenia naszego pojednania pojedziemy na górę, do klasztoru.

Skęciliśmy w jedną z przecznic, żeby dojść do kolejki linowej. Wsiadliśmy do czerwonego wagonu, który powoli piał się do góry. Miasto zniknęło nam z oczu, pozostało gdzieś w głębi, a Nino opowiedziała mi historię założenia sławnego klasztoru.



– Przed wielu, wielu laty na tej górze mieszkał święty Dawid. W mieście mieszkała także córka króla, która połączyła się grzeszną miłością z pewnym księciem... Książę ją porzucił, tymczasem ona była w ciąży. Gdy rozgniewany ojciec pytał ją o nazwisko sprawcy, księżniczka bała się wydać ukochanego i obwiniła świętego Dawida. Przepęlniony złością król kazał sprowadzić świętego do swojego pałacu. Zawołał też księżniczkę, a ona powtórzyła oskarżenie. Wtedy święty sięgnął po swoją laskę, którą się podpierał, i dotknął nią ciała księżniczki. I stał się cud. Z wnętrza ciała rozległ się głos dziecka, które wymieniło nazwisko prawdziwego winowajcy. Jednak na prośbę świętego księżniczka urodziła tylko kamień. Wytrysło z niego źródło, które nazywa się źródłem świętego Dawida. Kobiety, które chciałyby mieć dziecko, zanurzają w nim ciała. – Na koniec dodała z namysłem: – Jak to dobrze, Ali Chanie, że święty Dawid już nie żyje, a jego laska zaginęła.

Byliśmy na miejscu.

– Chcesz iść do źródła, Nino?

– Myślę, że mam na to jeszcze dobry rok – odparła.

Staliśmy przy klasztornej murze i spoglądaliśmy w dół na miasto. Nieckę doliny Kury spowijała niebieskawa mgiełka. Z kamiennego oceanu miasta niby samotne wyspy wyrastały kopuły kościołów. Na wschodzie i zachodzie ciągnęły się ogrody, place zabaw tyfliskiego towarzystwa. W oddali wznosił się mroczny zamek Mtech, niegdyś siedziba gruzińskich królów, dzisiaj więzienne kazamaty Cesarstwa Rosyjskiego dla politykujących mieszkańców Kaukazu. Nino odwróciła od niego wzrok. Jej wierność carowi źle znosiła widok tego owianego złą sławą zamku, na którym okrutnie torturowano więźniów.

– Czy nikt z twoich kuzynów nie siedzi w Mtech, Nino?

– Nie, ale zgodnie z prawem to ty powinieneś tam siedzieć. Chodź, Ali Chanie.

– Dokąd?

– Odwiedzimy Gribojedowa.

Skreśliśmy za klasztornym murem i zatrzymaliśmy się przy najbardziej zwietrzałym nagrobku. „Niezapomniane są twoje czyny,

ale dlaczego przeżyła cię miłość twojej Nino?”.

Nino pochyliła się i podniosła jeden kamyk, przycisnęła go szybko do kamienia nagrobnego i zabrała rękę. Kamyk spadł na ziemię i potoczył się pod nasze stopy. Nino mocno się zarumieniła. Stary tyfliski przesąd głosi, że jeśli dziewczyna przycisnie kamyk do mokrej płyty nagrobnej i kamyk przez chwilę utrzyma się przy płycie, to w tym samym roku dziewczyna wyjdzie za mąż. Kamyk Nino spadł na ziemię. Zobaczyłem jej zażenowaną twarz i zaśmiałem się.

– Widzisz? Trzy miesiące przed ślubem! Czyli ma rację nasz Prorok, mówiąc: „Nie wierz martwym kamieniom”.

– Tak...

Ruszyliśmy z powrotem do kolejki linowej.

– Co będziemy robili po wojnie? – spytała Nino.

– Po wojnie? To samo co teraz. Będziemy spacerować po Baku, odwiedzać przyjaciół, jeździć do Karabachu i wychowywać dzieci. Będzie pięknie.

– Chciałabym kiedyś pojechać do Europy.

– Chętnie. Do Paryża, Berlina, na zimę.

– Tak, na zimę.

– Nino, czy tobie nie podoba się już nasz kraj? Jeśli chcesz, możemy zamieszkać w Tyflisie.

– Dziękuję, Ali, jesteś dla mnie bardzo dobry. Pozostaniemy w Baku.

– Ja myślę, Nino, że nie ma nic lepszego niż Baku.

– O, naprawdę? To widziałeś tak wiele miast?

– Nie, ale jeśli chcesz, pojedę z tobą w podróż dookoła świata.

– I będziesz przez cały czas tęsknił do starych murów i natchnionych rozmów z Zajdem Mustafą. Ale to nic. Ja cię takiego kocham i taki pozostań.

– Wiesz, Nino, ja jestem przywiązany do naszego miasta i kraju, do każdego kamienia, do każdego ziarenka piasku pustyni.

– Wiem o tym. To dziwne, miłość do Baku. Dla obcych nasze miasto jest tylko gorące, zakurzone i przesiąknięte ropą.

– Tak, ponieważ są obcy.

Objęła mnie, jej usta dotknęły mojego policzka.

– Ale my nie jesteśmy obcy i nigdy obcy być nie chcemy. Będziesz mnie zawsze kochał, Ali Chanie?

– Naturalnie, Nino.

Wagon dotarł do ostatniej, najniższej położonej stacji. Mocno spleceni szliśmy ulicą Gołowińskiego. Po lewej stronie znajdował się rozległy park z pięknie powyginanymi prętami w ogrodzeniu. Brama była zamknięta. Wartę trzymali dwaj żołnierze, którzy wyglądali jak skamieniali, jakby nie tylko się nie poruszali, ale nawet nie oddychali. Nad bramą majestatycznie królował pozłacany dwugłowy carski orzeł. Park należał do wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza, carskiego namiestnika na Kaukazie.

Nagle Nino się zatrzymała.

– Zobacz – powiedziała i wskazała na park.

Za ogrodzeniem w cieniu piniowej alei szedł powoli wysoki, chudy mężczyzna o szpakowatych włosach. Odwrócił się właśnie i wtedy rozpoznałem duże, wypełnione chłodnym szaleństwem oczy wielkiego księcia. Miał podłużną twarz, usta zaciśnięte. W cieniu pinii wyglądał jak duże, szlachetne i dzikie zwierzę.

– O czym on teraz myśli, Ali Chanie?

– O carskiej koronie, Nino.

– Dobrze by wyglądała na tych jego posiwiałych włosach. Ciekawe, co on robi.

– Mówi się, że obali cara.

– Chodźmy, Ali Chanie, ja się boję.

Oddalaliśmy się od tego pięknego ogrodzenia.

– Nie powinieneś mówić nic przeciwko carowi ani wielkiemu księciu. Oni nas chronią przed Turkami.

– On jest jednym ramieniem tych rozżarzonych kleszczy, w których znajduje się twój kraj.

– Mój kraj? A twój?

– U nas jest inaczej. My nie jesteśmy w żadnych kleszczach. My znajdujemy się na kowadle, a wielki książę trzyma młot. Dlatego go nienawidzimy.

– I marzycie o Enwerze Paszy. To absurd, nie doczekasz wejścia

wojsk Enwera. Wielki księżę zwycięży.

– *Allah barif*, jeden Bóg wie – odparłem pokojowo.

## Rozdział 16

Oddziały wielkiego księcia stały w Trapezuncie, podbiły Erzurum i przetaczały się przez zamieszkałe przez Kurdów góry w kierunku Bagdadu. Wojska wielkiego księcia stały w Teheranie, Tebrizie, a nawet w świętym mieście Meshed. Cień Mikołaja Mikołajewicza padał na połowę Turcji i połowę Persji.

Księżę oświadczył zgromadzeniu gruzińskiej szlachty: „Wypełniając rozkaz cara, nie spocznę, nim złoty krzyż Bizancjum nie zalśni nowym blaskiem na kopule Hagii Sophii”.

Źle się działo z krajami półksiężyca. Tylko koczi i *ambale* z naszej uliczki mówili jeszcze o władzy Osmanów i zwycięskim mieczu Enwera Paszy. Nie istniała już Persja, a wkrótce miała też przestać istnieć Turcja.

Mój ojciec stał się bardzo milczący i często wychodził z domu. Czasami pochylał się nad raportami wojennymi i mapami, szeptał nazwy utraconych miast, a potem siedział godzinami w bezruchu z bursztynowym różańcem w dłoni.

Ja chodziłem do jubilerów, kwiaciarni i księgarni i posyłałem Nino kamienie szlachetne, kwiaty i książki. Kiedy ją widziałem, na długie godziny zapominałem o wojnie, wielkim księciu i zagrożonych krajach półksiężyca.

Kiedyś ojciec powiedział:

– Bądź w domu dziś wieczorem, Ali Chanie. Przyjdą różni ludzie i będą rozmawiać o ważnych rzeczach.

W jego głosie wyczuwałem zakłopotanie, unikał też mojego wzroku. Zauważyłem to i powiedziałem:

– Czy to nie ty, ojcze, kazałeś mi przyrzec, że nie będę się mieszał do polityki?

– Kiedy się martwisz o swój lud, to jeszcze nie oznacza, że zajmujesz się polityką. Bywają czasy, Ali Chanie, kiedy trzeba myśleć o sprawach swego narodu.

Tego wieczoru byłem umówiony z Nino do opery. Gościnnie występował u nas Szalapin. Nino już od wielu dni cieszyła się na ten występ. Podszedłem do telefonu i zadzwoniłem do Iljasa Bega.

– Iljasie, jestem dzisiaj zajęty, czy mógłbyś pójść z Nino do opery? Mam już bilety.

Odpowiedział ponurym głosem:

– No co ty? Ja nie jestem panem samego siebie. Razem z Mehmedem Hajdarem mamy dziś nocną służbę.

Zadzwoniłem do Zajda Mustafy.

– Naprawdę nie mogę. Jestem umówiony z wielkim mułłą Hadżim Machsudem. Przyjechał z Persji tylko na kilka dni.

Zadzwoniłem do Nacharariana. Odpowiedział dziwnie zmieszonym głosem:

– Czemu sam nie pójdziesz, Ali Chanie?

– Przychodzą do nas goście.

– Namawiać się, w jaki sposób wybić do nogi wszystkich Ormian, prawda? Właściwie w czasie, kiedy mój naród się wykrwawia, nie powinienem chodzić do teatru, ale ponieważ jesteśmy przyjaciółmi... no i Szalapin też nadzwyczajnie śpiewa.

Wreszcie. Prawdziwych przyjaciół poznaje się w potrzebie. Zawiadomiłem Nino i zostałem w domu.

O siódmej przyszli goście, ci sami, których się spodziewałem spotkać. Nasz duży salon z czerwonymi dywanami i miękkimi otomanami pomieścił o wpół do ósmej miliard rubli, a raczej ludzi dysponujących kwotą ponad miliarda rubli. Nie było ich wielu, ale wszystkich znałem od lat.

Jako pierwszy przybył Zajnal Aga, ojciec Iljasa Bega. Zgarbiony, z mętnymi oczami koloru wody usiadł na otomanie, z laską obok; powoli i z namysłem jadł turecki miód. Po nim weszli dwaj bracia: Ali Asadullah i Mirza Asadullah. Ich zmarły ojciec, Szamsi, pozostawił im dziesięć milionów. Synowie odziedziczyli po ojcu rozum, a do tego nauczyli się jeszcze czytać i pisać. Pomnożyli odziedziczony majątek. Mirza Asadullah kochał pieniądze, mądrość i spokój. Jego brat był jak płomień Zaratustry – palił się, ale się nie wypalał. Nieustannie był w ruchu, kochał wojny, przygody

i niebezpieczeństwa. Podobno był bohaterem wielu krwawych historii w naszym kraju. Ponury Buriat Sadé, który siedział obok niego, nie przepadał za przygodami, natomiast lubił miłość. Jako jedyny spośród nas miał cztery żony, które walczyły między sobą zapamiętałe. On się tego wstydził, ale nie był w stanie niczego w ich naturze zmienić. Pytany o liczbę dzieci, odpowiadał melancholijnie: „Piętnaścioro albo osiemnaścioro, czy ja to wiem, nieszczęsny?”. To samo odpowiadał zresztą, pytany, ile milionów rubli posiada.

Jussuf Oghly, siedzący w drugim końcu salonu, patrzył na niego z dezaprobatą i zazdrością. Sam miał tylko jedną żonę, niezbyt urodziwą, jak mówiono. Już podczas wesela oświadczyła mu: „Jeśli będziesz marnował swoje nasienie z innymi kobietami, to ja tym kobietom poodcinam uszy, nosy i piersi. Tego, co zrobię tobie, nie mogę nawet wypowiedzieć”.

Ta kobieta pochodziła z bardzo wojowniczego rodu i w jej ustach nie była to czcza pogróżka. Biedak zaczął więc zbierać obrazy.

Mężczyzna, który wszedł do salonu o wpół do ósmej, był bardzo niski, bardzo chudy i miał delikatne dłonie z paznokciami zabarwionymi na czerwono. Wstaliśmy i pokłoniliśmy się, oddając cześć jego nieszczęściu. Przed kilkoma laty zmarł jego jedyny syn Ismail. Ku czci syna ojciec zbudował przy ulicy Mikołajewskiej piękny budynek, na którego fasadzie wielkimi złotymi literami wypisano imię „Ismail”. Budynek przekazał towarzystwu islamskiej dobroczynności. Człowiek ten to Aga Musa Nagi, a wstęp do naszego grona zapewniał mu jedynie ciężar dwustu milionów – nie był już bowiem muzułmaninem. Należał do sekty Baba, heretyka, którego szach Naser ad-Din skazał na śmierć przez rozstrzelanie. Tylko niektórzy z nas dokładniej się orientowali, czego chciał Bab. Wszyscy natomiast wiedzieliśmy, że szach kazał wbijać babistom pod paznokcie rozżarzone igły, kazał ich palić na stosie i katować biczami na śmierć. Sekta, którą karano w ten sposób, musiała nauczać złego.

O ósmej obecni już byli wszyscy goście. Siedzieli tu, naftowi książęta, pili herbatę, jedli słodczyce i rozmawiali o swoich interesach, które kwitły, o swoich domach, koniach, ogrodach

i o stratach przy zielonych stolikach kasyn. Rozmawiali tak do dziewiątej, jak nakazuje dobre wychowanie. Potem słudzy uprzątnęli herbatę, zamknęli drzwi i mój ojciec powiedział:

– Mirza Asadullah, syn Szamsiego Asadullaha, ma różne przemyślenia na temat losu naszego ludu. Posłuchajmy go.

Mirza Asadullah podniósł swą piękną, nieco zadumaną twarz i rzekł:

– Jeśli wojnę wygra wielki książę, to nie ostanie się ani jeden islamski kraj. Ręka cara będzie ciężka. Nas to nie dotknie, bo mamy pieniądze. Ale car pozamyka nam szkoły i meczety, zabroni używania języka. Do kraju w nadmiernej liczbie napłyną obcy, bo nikt nie będzie chronił ludu Proroka. Dla nas byłoby lepiej, gdyby wygrał Enwer Pasza, choćby to nie było wielkie zwycięstwo. Czy jednak my możemy się jakoś do tego przyczynić? Ja myślę, że nie. Mamy pieniądze, ale car ma ich więcej. Mamy ludzi, ale car ma tych ludzi więcej. Co mamy zrobić? Może jeśli oddamy carowi część naszych pieniędzy i część naszych ludzi, wystawiając na przykład i wyposażając jedną dywizję, to po wojnie car będzie miał lżejszą rękę i okaże nam wdzięczność? Czy jest inna droga?

Zamilkł. Jego brat Ali poprawił się na miejscu i powiedział:

– Ręka cara jest ciężka. Ale kto wie, może po wojnie w ogóle nie będzie ręki cara.

– Ale i wtedy, bracie, wciąż będzie w kraju zbyt wielu Rosjan.

– Ta liczba może się zmniejszyć, mój bracie.

– Nie można wybić wszystkich, Ali.

– Można ich wszystkich wybić, Mirzo.

Zamilkli. Potem odezwał się Zajnal Aga. Mówił bardzo cicho, jak stary i słaby człowiek, głosem zupełnie pozbawionym wyrazu:

– Nikt nie zna wyroków przeznaczenia. Zwycięstwa wielkiego księcia to nie są zwycięstwa, chociaż on zdobywa Stambuł. Klucz do naszego szczęścia nie znajduje się w Stambule. On leży na Zachodzie. A tam wygrywają Turcy, nawet jeśli nazywają się Niemcami. Rosjanie zajmują Trapezunt, Turcy zajmują Warszawę. Rosjanie? Czy to jeszcze są Rosjanie? Słyszałem, że jakiś chłop o nazwisku Rasputin, czy jakoś tak, ma władzę nad carem, głaszcze



carskie córki, a carycę nazywa mamą. Są wielcy książęta, którzy chcą obalić cara. Są ludzie, którzy tylko czekają na pokój, żeby wzniecić rebelię. Po tej wojnie wszystko będzie zupełnie inne.

– Tak – zgodził się gruby człowiek z długim wąsem i błyszczącymi oczami. – Po tej wielkiej wojnie wszystko będzie zupełnie inaczej.

Był to Fath Ali Chan z Choja, adwokat. Wiedzieliśmy o nim, że wciąż rozmyśla nad kwestią naszego ludu i kraju.

– Tak – powtórzył żarliwie – a ponieważ wszystko będzie inaczej, nie musimy zbierać o niczyje względy. Ktokolwiek w tej wojnie zwycięży, wyjdzie z walki słaby i poobijany. A my, którzy nie jesteśmy osłabieni ani poobijani, będziemy mogli żądać, a nie prosić. Jesteśmy krajem islamskim, szyickim, i zarówno od Romanowów, jak i od Osmanów oczekujemy tego samego: samodzielności we wszystkich kwestiach, które nas dotyczą. Im słabsze będą mocarstwa po wojnie, tym bliżsi będziemy wolności. Ta wolność wynika z naszej niespożytej siły, z naszych pieniędzy i z naszej ropy. Nie zapominajcie bowiem, że to świat bardziej potrzebuje nas niż my świata.

Miliard w pokoju był zadowolony. Odczekać – to piękne słowo. Odczekać, czy zwycięży Turek, czy Rosjanin. Mamy ropę i zwycięzca będzie musiał zbierać o nasze względy. A do tego czasu? Budować szpitale, ochronki dla dzieci, domy dla ociemniałych, dla ludzi walczących, którzy są naszego wyznania. Nikt nie powinien nam zarzucać niedostatku wrażliwości.

Siedziałem w kącie milczący i urażony. Ali Asadullah przeszedł przez salon i dosiadł się do mnie.

– Co na to powiesz, Ali Chanie?

I nie czekając na moją odpowiedź, pochylił się do przodu i szepnął:

– Pięknie by było wybić tak wszystkich Rosjan w naszym kraju. I nie tylko Rosjan. Wszystkich obcych, którzy inaczej mówią, inaczej się modlą i inaczej myślą. W zasadzie wszyscy tego chcemy, ale tylko ja mam odwagę to powiedzieć. Co potem? Jeśli o mnie chodzi, to Fath Ali może rządzić, chociaż ja sam jestem bardziej za Enwerem Paszą. Najpierw jednak: wytępić.

To ostatnie słowo wymawiał z czułą tęsknotą, jakby mówił „kochać”. Oczy mu lśniły, a cała twarz śmiała się łobuzersko. Milczałem. Teraz głos zabrał Aga Musa Nagi, babista. Miał małe, przymrużone oczy.

– Jestem starym człowiekiem i smuci mnie to, co widzę i co słyszę. Rosjanie tępią Turków, Turcy Ormian, Ormianie chcą wytepić nas, a my Rosjan. Nie wiem, czy to jest dobre. Słyszeliśmy, co o losie naszego ludu myślą Zajnal Aga, Mirza i Fath Ali. Zrozumiałem, że troszczą się o szkoły, o język, o szpitale i o wolność. Ale cóż po szkole, kiedy naucza się w niej samych głupstw? Co po szpitalu, w którym leczy się tylko ciało, zapominając o zdrowiu duszy? Nasza dusza chce do Boga, ale każdy naród uważa, że ma innego Boga. Ja jednak myślę, że głosami wszystkich mędrców przemawia ten sam Bóg. Dlatego czczę Chrystusa i Konfucjusza, Buddę i Mahometa. Pochodzimy od jednego Boga i przez Baba do niego wracamy. To trzeba głosić ludziom. Nie istnieje czerń ani biel – ponieważ w czerni jest biel, a w bieli czerń. Stąd moja rada: nie róbmy nic, co mogłoby zaszkodzić komukolwiek na Ziemi, bo jesteśmy w każdym i każdy jest w nas.

Milczeliśmy skonsternowani. Więc to była ta herezja Baba.

Obok mnie rozległo się głośnie szlochanie. Rozejrzałem się zdumiony i ujrzałem twarz Alego Asadullaha wykrzywioną bólem i zalaną łzami.

– O, moja dusza – szlochał. – Jakże słusznie powiedziałaś! Jakie szczęście móc tego słuchać! O Wszechmogący, gdybyż wszyscy ludzie dochodzili do tak głębokich wniosków! – Otarł łzy, zaszlochał jeszcze kilka razy i wyraźnie chłodniej dorzucił: – Bez wątpienia, czcigodny, ręka Boga jest nad wszystkimi rękami, ale przez to nie mniej prawdziwe jest to, krynico mądrości, że niekoniecznie trzeba się zdawać na inspirację Najwyższego. Jesteśmy tylko ludźmi i kiedy brakuje nam boskiej inspiracji, musimy sami znajdować drogi usuwania trudności.

To było mądre zdanie, mądre łzy. Widziałem, jak Mirza z podziwem popatrzył na brata.

Goście wstawali. Wąskie dłonie dotykały ciemnego czoła w geście

pożegnalnego pozdrowienia. Pochylały się ramiona, a usta mamrotały: „Pokój z tobą. Niech uśmiech cię nie opuszcza, przyjacielu”. Spotkanie było zakończone. Miliard rozlał się po ulicy, pozdrawiając, ściskając dłonie i kiwając głowami. Było wpeł do jedenastej. Salon był pusty i przygnębiający. Poczuję samotność.

– Ja jeszcze wychodzę, do koszar. Iljas Beg ma nocną służbę – powiedziałem do służącego.

Poszedłem nad morze, minąłem dom Nino i skierowałem się do dużych koszar. W oknie wartowni świeciło się światło. Iljas Beg i Mehmed Hajdar grali w kości. Wszedłem. Powitali mnie, milcząco kiwając głowami. Wreszcie zakończyli grę. Iljas Beg rzucił kostkę w kąt i rozpiął kołnierzyk koszuli.

– Jak było? – spytał. – Czy Asadullah znowu zaklinał, żeby pozabijać wszystkich Rosjan?

– Mniej więcej. Jakie wieści z wojny?

– Wojna... – odpowiedział znudzony. – Niemcy zajęli całą Polskę. Wielki książę utknie w śniegu albo zajmie Bagdad. Może Turcy podbiją Egipt. Czy ja wiem? Jakże nudno jest na tej ziemi.

Mehmed Hajdar poskrobał się w krótko ostrzyżoną jajowatą czaszkę.

– Wcale nie jest nudno – powiedział. – Mamy konie i żołnierzy i potrafimy obchodzić się z bronią. Czego więcej potrzeba mężczyźnie? Czasami chcę ruszyć przez góry, leżeć w okopach i mieć wroga przed sobą. A żeby wróg miał porządne mięśnie i skórę, która cuchnie potem.

– No to zgłoś się na front – stwierdziłem.

Oczy Mehmeda Hajdara patrzyły spod niskiego czoła smutno i bezradnie.

– Nie jestem człowiekiem strzelającym do muzułmanów, nawet jeśli są sunnitami. Ale złożyłem przysięgę i nie mogę teraz zdezerterować. W naszym kraju wszystko powinno być inaczej.

Spojrzałem na niego z sympatią. Siedział taki barczysty, silny, z prostą twarzą i wręcz rozsadała go żądza walki.

– Z jednej strony chcę iść na front, a z drugiej nie chcę – powiedział zmartwiony.

– A co będzie z naszym krajem? – spytałem go.

Milczał i zmarszczył czoło. Myślenie nie było jego mocną stroną. W końcu powiedział:

– Nasz kraj? Trzeba budować meczety. Ziemi dawać wodę, nasza ziemia pragnie wody. Nie jest też dobrze, że każdy obcy może do nas przyjechać i mówić nam, jacy jesteśmy głupi. To nasza sprawa, jeśli jesteśmy głupi. I jeszcze: myślę, że byłoby bardzo dobrze podłożyć ogień i spalić wszystkie wieże wiertnicze w całym kraju. To byłby wspaniały widok, a my stalibyśmy się znowu biedni. Nikt by nas wtedy nie potrzebował i obcy zostawiliby nas w spokoju. A w miejsce wież wiertniczych zbudowałbym piękny meczet, taki z niebieskimi kafelkami. Sprowadzilibyśmy bawoły, a na polach naftowych zasialibyśmy zboże.

Umilkł, zapatrzony w tę swoją wizję przyszłości.

Iljas Beg roześmiał się zadowolony.

– A następnie należałoby zakazać czytania i pisania, oświetlać miasto świecami i najgłupszego człowieka w kraju obrać królem.

Mehmed Hajdar nie dosłyszał szyderstwa.

– Całkiem niezłe – powiedział. – Dawniej było znacznie więcej głupich niż teraz. Głupi budowali kanały wodne, zamiast robić odwierty w poszukiwaniu ropy, i to my skubaliśmy obcych, a nie oni nas. Dawniej było więcej szczęśliwych ludzi.

Miałem ochotę objąć i ucałować tego prostego chłopaka. Mówił tak, jakby sam był bryłą tej naszej biednej, suchej i umęczonej ziemi.

Gwałtowne pukanie w okno poderwało mnie na nogi. Wyjrzałem na zewnątrz. Ciemna, ospowata twarz wpatrywała się we mnie, a skośne oczy iskrzyły w ciemności.

– To ja, Zajd Mustafa, wpuście mnie.

Podszedłem do drzwi. Zajd Mustafa wpadł do pokoju. Turban zsunął mu się na bok i tkwił krzywo na zroszonym potem czole. Zieloną szarfę miał rozpiętą, a szarą narzutę zabrudzoną. Padł na krzesło i zawołał zdyszany:

– Nachararian uprowadził Nino! Pół godziny temu. Są w drodze do Mardakianu...

## Rozdział 17

Mehmed Hajdar skoczył na równe nogi. Miał teraz zupełnie małe oczka.

– Siodłam konie! – krzyknął i co tchu wybiegł na zewnątrz.

Twarz mi płonęła. Czułem pulsowanie krwi w skroniach, słyszałem szum i miałem wrażenie, jakby jakaś niewidzialna ręka uderzała mnie kijem po głowie. Jak we śnie dochodził mnie głos Iljasa Bega:

– Panuj nad sobą, Ali Chanie, panuj nad sobą. Za jakąś godzinę, kiedy ich dogonimy, nie będziesz już musiał nad sobą panować.

Stał przede mną. Jego szczupła twarz była bardzo blada. Przypiął mi pas z prostym kaukaskim sztyletem.

– Masz – powiedział i wcisnął mi do ręki rewolwer, po czym powtórzył: – Bądź spokojny, Ali Chanie, zachowaj złość na drogę do Mardakianu.

Mechanicznie wsunąłem broń do kieszeni. Ospowata twarz zwróciła się ku mnie. Widziałem poruszające się grube wargi i słyszałem urywki wypowiedzianych przez nie słów:

– Wyszedłem z domu, żeby pójść w odwiedziny do mułły Hadżiego Machsuda. Namiot Jego Mądrości stoi obok teatru. Rozmawialiśmy o imamacie zajdytów. Wyszedłem od niego o jedenastej i przechodziłem obok teatru. Akurat zakończyło się to grzeszne przedstawienie. Widziałem, jak Nino w towarzystwie Nacharariana wsiada do samochodu. Samochód nie odjeżdżał. Oni ze sobą rozmawiali, ale mnie nie podobał się wyraz twarzy Nacharariana. Stanąłem w pobliżu. „Nie – powiedziała Nino – ja go kocham”. „W tym kraju nie zostanie kamień na kamieniu – mówił Nachararian. – Ja cię bardziej kocham. Wyrwę cię ze szponów Azji”. „Nie – odrzekła Nino. – Zawieź mnie do domu”. On włączył silnik, a ja uchwyciłem się z tyłu miejsca na walizki. Samochód podjechał pod dom Kipianich. Nie słyszałem, o czym rozmawiali po drodze, ale

rozmawiali przez cały czas. Pod domem samochód stanął. Nino płakała. Nagle Nachararian ją objął i całował jej twarz. „Nie możesz wpaść w ręce dzikusów!”, zawołał, potem szeptał do niej jeszcze coś, a na koniec usłyszałem tylko jedno zdanie: „Do mnie do Mardakianu, w Moskwie weźmiemy ślub, a potem prosto do Szwecji”. Widziałem, jak Nino go od siebie odpycha, a wtedy zawarczał silnik i odjechali. Biegłem najszybciej, jak mogłem, żeby...

Nie dokończył albo ja nie usłyszałem zakończenia. Drzwi otworzyły się gwałtownie.

– Konie osiodłane! – zawołał Mehmed Hajdar.

Pospieszyliśmy na dziedziniec. W świetle księżyca – była pełnia – zobaczyłem zwierzęta. Cicho rżały i uderzały kopytami w ziemię.

– Ten – powiedział Mehmed Hajdar.

Popatrzyłem na konia i zamarłem. Czerwonozłoty cud Karabachu, koń Melikowa, dowódcy pułku. Na całym świecie jest tylko dwanaście takich koni. Mehmed Hajdar spojrział ponuro.

– Dowódca będzie się wściekał, nikt oprócz niego nie siedział na tym koniu. Nie oszczędzaj go, na pewno ich dogonisz.

Wskoczyłem na siodło. Śmignąłem biczem po zadzie tego cudownego konia. Jednym długim skokiem znaleźliśmy się za dziedzińcem koszar. Pędziłem wybrzeżem morza. Poganiałem konia przepelniony nienawiścią. Mijane domy tańczyły mi w oczach, końskie kopyta krzeszały iskry. Opanowała mnie dzika wściekłość. Szarpnąłem za uzdę – koń uniósł się, po czym gnał dalej. Wreszcie ostatnie domy, lepianki z gliny, pozostały w tyle. Widziałem skąpane w świetle księżyca pola i wąską drogę do Mardakianu. Chłodziło mnie nocne powietrze. Po obu stronach ciągnęły się pola z arbuzami. Okrągłe owoce wyglądały jak złote kule. Koń pędził wydłużonym, sprężystym i niezwykle harmonijnym galopem. Pochyliłem się mocno do przodu, nad samą złotą grzywą zwierzęcia.

A więc to tak! Widziałem to dokładnie oczyma wyobraźni, słyszałem każde słowo, które mówili. Myśli obcego były nagle blisko i w zasięgu. Enwer walczy w Azji Mniejszej, tron carów się chwieje, w skład armii wielkiego księcia wchodzi ormiańskie bataliony. Jeśli

front się załamał, wówczas armia Osmana rozleje się po Armenii, Karabachu i Baku. Nachararian wietrzy już tego następstwa. Sztabki złota – wielkie pieniądze Ormianina – są w drodze do Szwecji. Skończyło się braterstwo kaukaskich ludów. Widzę ich oboje w teatralnej łoży. „Księżniczko, nie ma żadnego pomostu między Wschodem a Zachodem. Żadnego. Miłość też nie jest takim pomostem”. Nino milczy. Słucha. „Musimy trzymać ze sobą, my, wszyscy zagrożeni mieczem Osmana. My, europejscy ambasadorzy w Azji. Kocham cię, księżniczko. Jesteśmy sobie przeznaczeni. W Sztokholmie życie jest łatwe i proste. Tam jest Europa, Zachód”. A potem, jakby te słowa wypowiedziano w mojej obecności: „W tym kraju nie zostanie kamień na kamieniu”. I wreszcie: „Sama zdecyduj o swoim losie, Nino. Po wojnie przeniesiemy się do Londynu, będziemy przyjmowani na dworze. Europejczyk musi sam stanowić o swoim losie. Ja również szanuję Alego Chana, ale to barbarzyńca, na zawsze uwięziony na pustyni”.

Zacinam konia. Dziki skowyt. Tak wyje wilk pustyni na widok księżycy. Długo, przenikliwie, żałośnie. Cała noc staje się przeraźliwym krzykiem. Pochylam się naprzód. Boli mnie gardło. Dlaczego krzyczę tak na tej zalanej światłem księżycy drodze do Mardakianu? Muszę oszczędzać wściekłość. Ostry wiatr chłoszcze mi policzki. Łzy w oczach biorą się z tego wiatru, z niczego innego. Nie płaczę, nie płaczę nawet wtedy, kiedy z nagłą wiem, że nie ma mostu między Wschodem a Zachodem, nawet mostu miłości. Kuszące, lśniące gruzińskie oczy! Tak, ja pochodzę od pustynnego wilka, szarego wilka Turków. Jakże pięknie sobie to wymyślił: „W Moskwie weźmiemy ślub, a potem do Szwecji”. Hotel w Sztokholmie, czysto, ciepło, z białą bielizną. Willa w Londynie. Willa? Twarzą dotykam skóry konia, potem wręcz gryzę go w szyję. W Mardakianie Nachararian ma willę, pośrodku owocowych sadów oazy, jak wszyscy bogacze z Baku. Willę nad morzem, z białego marmuru, z kolumnami korynckimi. Jak szybko jedzie samochód, a jak szybko pędzi koń z Karabachu? Znam tę willę. Łóżko jest z mahoniowego drewna, czerwone i bardzo szerokie. Białe prześcieradła jak w hotelu w Sztokholmie. Nie będą filozofować

przez całą noc. Będzie... Oczywiście, że będzie. Widzę to łóżko i gruzińskie oczy, przesłonięte pożądaniem i przerażeniem. Wbijam zęby głęboko w skórę zwierzęcia. Koń pędzi. Dalej, dalej! Oszczędzaj wściekłość na chwilę, kiedy ich dogonisz, Ali Chanie.

Droga jest wąska. Nagle zaczynam się śmiać. Co za szczęście, że jesteśmy w Azji, w dzikiej, zacofanej, niecywilizowanej Azji, która nie ma szybkich dróg dla samochodów, tylko wyboiste drogi, jakby stworzone dla karabaskich koni. Jak szybko może tymi drogami jechać samochód, a jak szybko gnać koń z Karabachu?

Arbuzy po obu stronach drogi patrzą na mnie, jakby miały twarze.

– Bardzo złe drogi – mówią – nie dla samochodów z Anglii. Tylko dla jeźdźców na karabaskich koniach.

Czy koń przeżyje tę szaloną drogę? Może nie. Widzę twarz Melikowa, kiedy mówił w Szuszi: „Tego konia dosiadam jednie wtedy, kiedy car wzywa do boju”. Niech tam, niech sobie popłacze po jego stracie, stary człowiek z Karabachu. Jeszcze jedno trzaśnięcie biczem i jeszcze jedno. Wiatr uderza mnie w twarz, jakby miał pięści. Droga skręca. Na poboczu rosną dzikie zarośla. Wreszcie słyszę w oddali warkot samochodu. Światło padające na drogę. Samochód! Powoli toczy się naprzód po wyboistej drodze. Samochód z Europy, nie na azjatyckie drogi przeznaczony. Jeszcze jedno trzaśnięcie biczem. Rozpoznaję za kierownicą Nacharariana. I jest Nino! Skulona w kącie Nino. Dlaczego oni nie słyszą tętentu końskich kopyt? Czy on nie słucha odgłosów z zewnątrz? Czuje się bezpiecznie w swoim europejskim samochodzie w drodze do Mardakianu. Powinien zatrzymać tego lakierowanego grata. Teraz, od razu! Odbezpieczam dłońią rewolwer. No, belgijskie cacuszko, czyń swoją powinność! Naciskam spust, na krótką chwilę drogę rozjaśnia wąska strużka ognia. Wstrzymuję konia. Dobrze strzeliłem, dobrze trafiłem, belgijskie cacko jest pożyteczne. Lewa opona samochodu siada jak nagle opróżniony z wody gumowy wąż. Lakierowana skrzynia stoi! Podjeżdżam do samochodu, a w skroniach krew wali mi jak młotem. Odrzucam broń, nie wiem dokładnie, co robię. Patrzą na mnie dwie twarze. Oczy rozszerzone



w okropnym przestachu. Obca roztrzęsiona dłoń obejmuje uchwyt rewolweru. A jednak nie był taki pewny w swoim europejskim samochodzie. Widzę jego tłuste palce i pierścionek z wielkimi brylantami. Szybko, Ali Chanie! Teraz możesz stracić panowanie nad sobą! Wyciągam sztylet. Trzęsąca się dłoń nie strzeli. Sztylet tnie powietrze z melodyjnym świstem. Gdzie się nauczyłem rzucać sztyletem? W Persji? W Szuszi? Nigdzie! Wiedzę o trajektorii lotu sztyletu mam we krwi, ona krąży w moich żyłach. Odziedziczyłem ją po swoich przodkach. Po pierwszym Szyrwanszyrze, który poszedł do Indii i zdobył Delhi. Krzyk, nieoczekiwanie cienki i wysoki. Tłusta dłoń rozcapierza palce, krew rozlewa się po przegubie ręki. Wspaniała jest ta krew wroga na polnej drodze do Mardakianu. Rewolwer pada na ziemię. I w końcu pospieszne ruchy grubego brzucha. Duży skok i mężczyzna biegnie przez drogę w dzikie zarośla na poboczu. Zeskakuję z konia. Wsuwam sztylet do pochwy. Nino siedzi zupełnie wyprostowana na miękkim siedzeniu samochodu. Twarz ma twardą i nieruchomą, jak wyrzeźbioną z kamienia. Tylko ciało trzęsie jej się gwałtownie od rejuwachu nocnej walki. W oddali słyszę odgłos końskich kopyt. Rzucam się w zarośla. Kłujące pędy biją mnie jak ręce niewidzialnego wroga. Pod butami szeleszczą liście. Suche gałęzie przecinają mi dłonie. Daleko w krzakach szybko jak zagonione zwierzę oddycha Nachararian. Hotel w Sztokholmie! Grube, pełne usta na twarzy Nino!

Widzę go, jest tutaj. Potyka się i tłustymi rękami toruje sobie drogę w gąszczu. Biegnie przez pola arbuzów w kierunku morza. Wyrzuciłem rewolwer na drodze. Dłonie mam pokrwawione przez kolczaste gałęzie krzaków. O, proszę, pierwszy arbuz. Okrągła morda. Nadeptuję na nią, a ona z trzaskiem rozpada się pod moim obcasem. Biegnę przez pole. Księżyc patrzy swoją trupią twarzą. Zimna, złota toń światła nad arbuzowym polem. Nie zawieszysz swoich sztabek złota do Szwecji, Nachararianie.

Teraz. Chwytam go za ramię, on się odwraca, stoi jak słup, w oczach ma nienawiść człowieka zdemaskowanego. Uderza – jego pięść ląduje na mojej brodzie. I jeszcze raz – cios tuż pod klatkę piersiową. Dobrze się nauczyłeś w Europie walki na pięści,

Nachararianie. Kręci mi się w głowie, na kilka sekund zapiera mi dech w piersiach. Jestem tylko Azjata, Meliku, nigdy nie opanowałem ciosu poniżej pasa. Potrafię tylko gonić jak wilk po pustyni. Skaczę. Obejmuję jego cielsko jak pień drzewa, stopy wbijam mu w brzuch, dłonie zakleszczam na gardle. Broni się, tłukąc mnie wściekle po całym ciele. Zginam się i padamy obaj na ziemię. Turlamy się po polu. Nagle znajduję się pod spodem. Nachararian dusi mnie swoimi tłustymi łapami. Widzę grube usta zwisające nade mną nierówno z wykrzywionej wysiłkiem twarzy. Tłukę go stopami w brzuch, ile tylko mam sił, obcasy wbijają się w tłuszcz. Puszczam mnie. Przez chwilę widzę jego gołą szyję odsłoniętą przez podarty kołnierzyk. Szyja jest biała. Z gardła dobywa mi się głuchy krzyk. Wbijam zęby w tę grubą białą szyję. Widzisz, tak to robimy w Azji. Bez ciosów poniżej pasa. Chwył szarego wilka. Czuję pulsowanie jego żył.

Wyczuwam lekki ruch na biodrze. Ręka Nacharariana sięga po mój sztylet. Zapomniałem o nim w wirze walki. Teraz stał lśni mi przed oczami. Kłujący ból pod żebrzem. Jak ciepła jest moja krew. Cios ześliznął się po żebrze. Puszczam jego gardło i wyrywam mu sztylet z zakrwawionej ręki. Teraz to on leży pode mną z twarzą zwróconą ku księżycowi. Unoszę sztylet, a on krzyczy – cienko, długo, z odwróconą głową. Jego głowa to tylko usta, otwarte ciemne wrota śmiertelnego strachu. Hotel w Sztokholmie. Świnia na rożnie. O, pole arbuzów pod Mardakianem!

Czemu zwlekam? Głos z tyłu:

– Atakuj, Ali Chanie, atakuj!

To głos Mehmeda Hajdara.

– Trochę nad sercem, z góry na dół.

Głos milknie. Wiem, gdzie jest miejsce śmierci. Jeszcze tylko chwila. Chcę jeszcze raz usłyszeć żalony głos wroga. Wtedy.

Unoszę sztylet. Mięśnie mam tak napięte, że aż sztywne. Powyżej serca mój sztylet łączy się z ciałem wroga. Jedno drgnięcie, drugie. Powoli się podnoszę. Mam krew na ubraniu. Moja krew? Jego krew? Teraz to wszystko jedno.

Mehmed Hajdar suszy zęby.

– Pięknie to zrobiłeś, Ali Chanie, będę cię zawsze za to szanował.

Boli mnie żebro. Mehmed Hajdar mnie podtrzymuje. Zagłębiamy się w zarośla i znowu stajemy przed lakierowaną skrzynią na drodze do Mardakianu. Cztery konie, dwaj jeźdźcy. Iljas Beg unosi rękę w geście pozdrowienia. Zajdowi Mustafie zielony turban zsunął się na kark. Na siodle trzyma mocno Nino. Nino milczy.

– Co zrobić z kobietą? Chcesz ją zasztyletować czy ja mam to zrobić? – Zajd Mustafa mówi cicho i powoli. Oczy ma przymknięte, jak we śnie.

– Zrób to, Ali Chanie. – To znowu Mehmed Hajdar. Podaje mi sztylet.

Spoglądam w stronę Iljasa Bega. Kiwa głową. Jest blady jak ściana.

– Ciało wrzucimy potem do morza.

Podchodzę do Nino. Ma ogromne oczy... Podczas przerwy przyszła do nas cała zapłakana z teczką na papiery w ręku. Kiedyś leżałem ukryty pod jej ławką i podpowiadałem: „Karola Wielkiego koronowano w 800 roku w Akwizgranie”.

Dlaczego Nino milczy? Dlaczego nie płacze jak wtedy na dużej przerwie? To przecież nie była jej wina, że nie wiedziała, gdzie i kiedy koronowano Karola Wielkiego. Obejmuję szyję jej konia i patrzę na nią. Nasze spojrzenia się spotykają. Jej oczy milczą. Jest taka piękna na siodle Zajda, oblana światłem księżyca, z oczami skierowanymi na sztylet. Gruzińska krew, najlepsza na świecie. Gruzińskie usta, które całował Nachararian. Sztabki złota w Szwecji – on je całował.

– Iljasie, ja jestem ranny. Zawieź księżniczkę Nino do jej domu. Noc jest zimna, okryj księżniczkę Nino. Jeśli księżniczka nie dojedzie do domu cała i zdrowa, zamorduję cię, pamiętaj. Słyszysz, to moja zdecydowana wola. A wy – zwracam się do Mehmeda i Zajda – zabierzcie mnie do domu, bo jestem osłabiony. Wesprzyjcie mnie, wykrwawiam się.

Obejmuję grzywę konia z Karabachu. Mehmed Hajdar pomaga mi wsiąść na siodło. Iljas Beg się zbliża, troskliwie ujmując Nino i sadza ją w miękkich poduszkach kozackiego siodła. Ona się nie broni... On

zdejmuje własne okrycie, miękko otula nim jej ramiona. Ciągle jeszcze jest bardzo blady. Rzuca mi tylko krótkie spojrzenie i kiwa głową. Dowiezie Nino szczęśliwie do domu. Rusza pierwszy. My chwilę czekamy. Mehmed Hajdar i Zajd Mustafa nie mogą odstąpić mnie nawet na krok. Opieram się na nich. Mehmed Hajdar wskakuje na siodło.

– Jesteś bohaterem, Ali Chanie. Wspaniale walczyłeś. Zrobiłeś, co należało. – Podtrzymuje mnie.

Zajd ma spuszczone oczy.

– Jej życie należy do ciebie. Możesz je wziąć, ale możesz oszczędzić. Oba wyjścia są dozwolone. Tak mówi prawo. – Uśmiecha się zamyślony.

Mehmed Hajdar wkłada mi do rąk cugle.

Jedziemy w milczeniu przez noc. Światła Baku są miękkie i przyciągające.

## Rozdział 18

Wąski kamienny taras na brzegu przepaści. Żółte skały, suche, zwietrzałe, bezdrzewne. Kamienie – ogromne, chropowate, grube, poukładane warstwami. Ściśle przylegając do siebie, nad przepaścią wiszą chaty. Płaski dach jednej tworzy podwórze dla innych, położonych wyżej. W dole szmerze górski strumień, w przejrzystym powietrzu błyszczą skały. Ścieżka wiję się wśród skał i niknie w przepaści. To auł – wioska w Dagestanie. W chacie jest ciemno, podłogę pokrywają grube maty. Na zewnątrz dwa drewniane słupy podpierają mały dach wystający poza chatę. W nieskończoności nieba orzeł z rozpostartymi skrzydłami zawisł jak skamieniały.

Leżę na małym podwórzu na dachu, między ustami mam bursztynowy ustnik fajki wodnej. Wciągam w płuca chłodne opary. Skronie stają się zimne, niebieski dym znika, unoszony leciutkim wiatrem. Jakaś miłosierna ręka domieszała do tytoniu ziarna haszyszu. Oczy spoglądają w przepaść i widzą twarze wirujące w delikatnej mgle. Pojawiają się dobrze znane rysy. Twarz wojowniczego Rustama z dywanu na ścianie mojego pokoju w Baku.

Leżałem tam wcześniej, otulony grubymi jedwabnymi kołdrami. Żebro bolało, opatrunek był miękki i biały. Ciche kroki w sąsiednim pokoju. Przytłumione słowa. Nasłuchiwałem. Słowa stały się głośniejsze. Rozległ się głos ojca:

– Bardzo mi przykro, panie komisarzu, sam nie wiem, gdzie przebywa mój syn. Przypuszczam, że uciekł do swojego stryja, do Persji. Ogromnie mi przykro, niezwykle żałuję.

Tubalny głos komisarza:

– Przeciwno pańskiemu synowi zostało wszczęte postępowanie w sprawie zabójstwa. Został wydany nakaz aresztowania. Znajdziemy go także w Persji.

– Bardzo by mnie to ucieszyło. Każdy sąd orzeknie niewinność mojego syna. Działanie w afekcie, którego przyczyna jest aż nadto

oczywista. Poza tym...

Usłyszałem szelest nowych banknotów, a może tylko mi się zdawało, że go słyszę. Potem było milczenie. I znowu głos komisarza:

– Tak, tak, ci młodzi. Od razu po sztylet. Ja jestem tylko osobą urzędową, ale współczuję. Ten młody człowiek nie powinien się już więcej pokazywać w mieście. Nakaz aresztowania muszę jednak wysłać do Persji.

Kroki się oddalają. Znowu głębokie milczenie. Ozdobny napis na dywanie był jak labirynt. Oczami śledziłem linie liter, ale zgubiłem się w pięknie wywiniętym „N”.

Pochylały się nade mną twarze. Usta szeptały niezrozumiałe rzeczy. Potem siedziałem w łóżku, wyprostowany i obwiązany, a przede mną stali Iljas Beg i Mehmed Hajdar. Obaj uśmiechnięci, obaj w mundurach wojskowych.

– Przychodzimy się pożegnać. Zostaliśmy przeniesieni na front.

– Dlaczego?

Iljas skubie coś przy ładownicy.

– Odwiozłem Nino do domu. Przez cały czas milczała. Potem wróciłem do koszar. Po południu wszyscy już o wszystkim wiedzieli. Melikow, dowódca pułku, zamknął się i pił. Nie chciał już widzieć swojego konia. Wieczorem kazał go zastrzelić. Później zgłosił się na front. Mojemu ojcu udało się odkręcić sprawę z sądem wojennym, ale na front nas przenieśli. Od razu na pierwszą linię.

– Wybaczcie. Mam was na sumieniu.

Obaj zaprotestowali gorąco:

– Nie, ty jesteś bohaterem, zachowałeś się jak mężczyzna. Jesteśmy bardzo dumni.

– Widzieliście Nino?

Stoją obaj z nieruchomymi twarzami.

– Nie, Nino nie widzieliśmy.

Zabrzmiało to bardzo chłodno.

Uścisnęliśmy się.

– Nie martw się o nas, na froncie dobrze się odnajdziemy.

Uśmiech, pożegnanie. Drzwi się zamknęły.

Leżałem na poduszkach z oczami skierowanymi na czerwony dywan. Biedni przyjaciele. To moja wina. Pograżyłem się w dziwnym półśnie. Zniknęło wszystko, co mnie teraz otaczało. Jak we mgle unosiła się twarz Nino, raz roześmiana, a raz poważna. Dotykały mnie obce ręce. Ktoś powiedział po persku:

– On powinien dostać haszysz. Bardzo pomaga na sumienie.

Ktoś wetknął mi do ust bursztynowy ustnik i w przebłyskach między snem a jawą do moich uszu dochodziły słowa:

– Czcigodny Chanie. Jestem wstrząśnięty. Cóż za okropne nieszczęście. Jestem za tym, żeby moja córka pojechała w ślad za pańskim synem. Powinni natychmiast wziąć ślub.

– Mój książę, Ali Chan nie może się ożenić. On teraz jest *kanly*, wydany na krwawą zemstę Nachararianów. Wysłałem go do Persji. Jego życiu w każdej godzinie zagraża niebezpieczeństwo. On nie jest właściwym mężem dla pańskiej córki.

– Safar Chanie, błagam pana. Będziemy chronić swoje dzieci. One muszą wyjechać. Do Indii, do Hiszpanii. Moja córka jest zhańbiona, tylko małżeństwo może ją uratować.

– To nie jest wina Alego Chana, mój książę. A poza tym znajdzie się jakiś Rosjanin, a może nawet Ormianin.

– Ja pana proszę. Przecież to mogła być niewinna nocna wycieczka, jakże naturalna w tej okrutnej duchocie. Pana syn zadziałał zbyt pochopnie. Podejrzenie było całkowicie fałszywe. Musi to naprawić.

– Jakkolwiek było, książę, Ali Chan jest *kanly*, nie może się ożenić.

– Ja też jestem tylko ojcem, Safar Chanie.

Głosy umilkły. Zrobiło się całkiem cicho. Ziarna haszyszu są okrągłe i przypominają mrówki.

Wreszcie można było zdjąć opatrunek. Dotknąłem blizny. Pierwszy ślad chwały na moim ciele. Potem wstałem. Niepewnym krokiem przeszedłem przez pokój. Służba patrzyła na mnie z trwożnym lękiem. Drzwi się otworzyły i wszedł ojciec. Serce zaczęło mi gwałtownie bić. Służący zniknęli.

Ojciec przez chwilę milczał, chodząc po pokoju. Potem przystanął.

– Codziennie przychodzi policja, i nie tylko policja. Szukają cię wszyscy Nachararianowie. Pięciu z nich już pojechało do Persji. Musiałem wystawić dwadzieścia osób do pilnowania domu. Ród Melikowa, nawiasem mówiąc, też poprzysiągł ci krwawą zemstę. Za konia. Twój przyjaciele musieli iść na front.

Milczałem ze wzrokiem wbitym w ziemię. Ojciec położył mi rękę na ramieniu. Jego głos brzmiał miękko:

– Jestem z ciebie dumny, Ali Chanie, bardzo dumny. Zachowałem się tak samo.

– Jesteś zadowolony, ojczy?

– Niemal całkowicie. Tylko jedno – objął mnie i spojrzał mi głęboko w oczy – powiedz mi, dlaczego oszczędziłaś dziewczynę?

– Nie wiem, ojczy. Byłem zmęczony.

– Byłoby lepiej, mój synu. Teraz jest za późno. Ale ja nie chcę ci niczego zarzucać. My wszyscy, cała rodzina, jesteśmy dumni.

– Co teraz będzie, ojczy?

Ojciec chodził w tę i z powrotem. Westchnął zmartwiony:

– Tutaj nie możesz zostać. Do Persji też nie możesz jechać. Szuka cię policja i dwie potężne rodziny. Najlepiej, jak pojedziesz do Dagestanu. W aule nikt cię nie znajdzie. Tam nie odważy się zapuścić żaden policjant ani Ormianin.

– Na jak długo, ojczy?

– Na bardzo długo. Aż policja zapomni o tym wypadku. Aż te dwie rodziny się z nami pogodzą. Będę cię odwiedzał.

Wyjechałem nocą. Do Machaczkały, a potem w góry. Wąskimi ścieżkami, na małym koniku o długiej grzywie, do odległego aułu na skraju dzikiej przepaści.

Przebywałem tu, bezpieczny, bo chroniony dagestańską gościnnością. *Kanly*, mówili ludzie i patrzyli na mnie ze zrozumieniem. Delikatne dłonie mieszały haszysz do tytoniu. Dużo paliłem. Milczałem, trawiony wizjami. Opiekował się mną przyjaciel ojca, mułła Kazi, który roztoczył nade mną cień swojej gościnności. Mówił dużo, a urywki jego słów rozrywały gorączkowe obrazy skąpanej w świetle księżyca wiejskiej drogi.

– Nie śpij, Ali Chanie. Nie myśl, Ali Chanie. Słuchaj mnie. Czy



znasz historię Andalal?

– Andalal – powtórzyłem beznamiętnie.

– Wiesz, co to jest Andalal? Sześćset lat temu była to piękna wieś. Rządził tam dobry, mądry i dzielny książę. Dla ludu było to zbyt wiele dobrego. Przyszedł więc lud do księcia i powiedział: „Mamy cię dosyć, opuść nas”. Książę zapłakał, dosiadł konia, pożegnał się z najbliższymi i odjechał w dal, do Persji. Tam zyskał wielkie godności i miał dostęp do ucha szacha. Zdobywał miasta i państwa. W duszy chował jednak urazę do wioski Andalal. Dlatego rzekł: „W dolinach wsi Andalal znajduje się wiele kamieni szlachetnych i złota. Zdobędziemy ten kraj”. Szach ruszył w góry z ogromnym wojskiem, ale lud Andalal orzekł: „Jest was wielu, ale jesteście na dole. Nas tak dużo nie ma, ale siedzimy na górze. A nad nami wszystkimi, na samej górze, jest Allah, który jest sam, a przecież jest znacznie potężniejszy niż wy i my razem”. I tak lud poszedł na wojnę. Mężczyźni, kobiety i dzieci. W pierwszej linii walczyli pozostali w kraju synowie księcia. Persowie zostali pokonani. Jako pierwszy umknął szach, jako ostatni – zdrajca, który sprowadził Persów do Andalal. Minęło dziesięć lat. Książę się zestarzał i zateęsknił za ojczyzną. Pozostawił swój pałac w Teheranie i pojechał do swojej wioski. Mieszkańcy rozpoznali zdrajcę, który sprowadził do kraju wroga wojska. Pluli na jego widok i zamykali drzwi. Książę jechał przez cały dzień i nie znalazł ani jednego przyjaciela. Poszedł więc do kadiego i powiedział: „Przyjechałem do kraju, żeby odpokutować winę. Postąp ze mną tak, jak nakazuje prawo”. „Zwiążcie go – odparł kadi i obwieścił: – Zgodnie z prawem naszych ojców ten człowiek ma zostać żywcem pogrzebany”. A lud na to: „Niech tak będzie”. Ale kadi był sprawiedliwy. „Co masz na swoją obronę?” – spytał, a książę odpowiedział: „Nic. Jestem winny. Dobrze, że poważa się tu prawa ojców. Ale w takim razie również te prawa, które mówią: kto walczy przeciwko swemu ojcu, będzie ścięty. Domagam się swojego prawa. Moi synowie walczą przeciwko mnie, więc powinni zostać ścięci przy moim grobie”. „Niech tak będzie” – odparł kadi i zapłakał razem ze swym ludem. Synowie księcia byli bowiem bardzo poważani i szanowani. Prawo jest

jednak prawem i trzeba je wypełniać. Zdrajca został zakopany żywcem, a jego synowie, najlepsi wojownicy kraju, zostali ścięci nad jego grobem.

– Taka gadanina – mruknąłem. – Nie znasz nic ciekawszego? Twój bohater był ostatnim takim w tym kraju i umarł sześćset lat temu, a przy tym był zdrajcą.

Muła sapnęła urażony.

– Nie wiesz nic o imamie Szamilu?

– Wiem wszystko o imamie Szamilu.

– Za Szamila nasz lud był szczęśliwy. To było pięćdziesiąt lat temu. Ludzie byli szczęśliwi, a nie było wina ani tytoniu. Złodziejom obcinano prawą rękę, ale złodziei prawie nie było. Do czasu, gdy przyszli Rosjanie. Wtedy imamowi Szamilowi objawił się Prorok. Prorok nakazał *gasawat*, świętą wojnę – i Szamil ją prowadził. Wszystkie ludy gór łączyły z Szamilem okropne przysięgi. Także lud Czechenów. Ale Rosjanie byli silni i grozili Czechenom. Palili ich wioski i niszczyli ich pola. Wtedy mądrzy tego ludu pojechali do Dargo, do siedziby imama, żeby wybłagać u niego zwolnienie z przysięgi. Zobaczyli go i nie odważyli się mówić. Poszli do Hanum, matki imama. Hanum miała miękkie serce. I zapłakała nad cierpieniem Czechenów. „Powiem imamowi, żeby zwolnił was z przysięgi”. Hanum była wpływowa, a imam był dobrym synem. Kiedyś powiedział: „Przeklęty niechaj będzie, kto przysparza trosk swojej matce”. Kiedy Hanum z nim rozmawiała, rzekł: „Koran zakazuje zdrady. Koran zakazuje sprzeciwiania się matce. Moja mądrość już tu nie wystarcza. Będę się modlił i pościł, żeby Allah rozjaśnił moje myśli”. Trzy dni i trzy noce pościł imam. Potem wyszedł przed lud i oznajmił: „Allah obwieścił mi taki nakaz: pierwszy, kto będzie ze mną mówił o zdradzie, zostanie skazany na sto razy kijem. Pierwszą, która rozmawiała ze mną o zdradzie, była Hanum. Skazuję ją na sto kijów”. Przyprawiono Hanum. Wojownicy zdarli jej okrycie, rzucili ją na schody meczetu i unieśli kije. Matka imama otrzymała tylko jedno uderzenie. Imam padł wtedy na kolana, zapłakał i zawołał: „Żelazne są prawa Wszechmocnego. Nikt nie może ich uchylić, ja także nie. Jedno

dopuszcza Koran: dzieci mogą wziąć na siebie karę rodziców, więc ja biorę na siebie resztę kary”. Imam odsłonił ciało, na oczach całego ludu położył się na stopniach meczetu i zawołał: „Bijcie, a jakem imam, powiadam wam, każę was ściąć, jeśli poczuję, że nie wymierzacie tych razów z całej siły”. Dziewięćdziesiąt dziewięć razy otrzymał imam. Leżał cały zakrwawiony, z porozrywaną skórą. Lud patrzył na to przerażony. Nikt więcej nie odważył się rozmawiać o zdradzie. Takie były rządy w górach. Pięćdziesiąt lat temu. I lud był szczęśliwy.

Milczałem. Na niebie nie było już orła. Zmierzchało. Na wieży małego meczetu pojawił się mułła. Mułła Kazi rozłożył swój dywan do modlitwy. Modliliśmy się zwróceni w kierunku Mekki. Arabskie modlitwy brzmiały jak stare pieśni wojenne.

– Teraz już idź, Kazi. Jesteś przyjacielem. Ja będę spał.

Popatrzył na mnie nieufnie. Wzdychając, mieszał ziarna haszyszu. Potem poszedł, a ja usłyszałem, jak mówi do sąsiada:

– *Kanly* bardzo chory!

A sąsiad na to:

– W Dagestanie nikt długo nie choruje.

Leżałem na skraju dziedzińca na dachu i spoglądałem w otchłań.

Nachararian, jak tam twoje sztabki złota w Szwecji?

Zamknąłem oczy.

Dlaczego Nino milczała? Dlaczego ona milczała?

## Rozdział 19

Przez wieś szły gęsiego kobiety i dzieci. Wszyscy mieli zmęczone i wyczerpane twarze. Przybywali z bardzo daleka. W rękach trzymali małe worki wypełnione ziemią i nawozem. Przyciskali je do piersi jak bezcenny skarb. Ziemię i nawóz zebrali w sąsiednich dolinach i oddali za nie owce, srebrne monety i materiały. Chcieli posypać twarde skały ojczystej ziemi drogocenną ziemią, żeby nieurodzajny teren wydał ziarno na pokarm dla ludu.

Pola wisiały ukośnie nad otchłanią. Przywiązani do jednego łańcucha ludzie ciasno, jeden obok drugiego schodzili w dół. Ostrożne ręce starannie rozsypywały ziemię na skalistym podłożu. Nad przyszłymi polami został zrobiony surowy mur, żeby chronił wąski pasek gleby przed wiatrami i lawinami. W ten sposób w załomach zwietrzałych skał Dagestanu powstawały pola uprawne. Szerokie na trzy i długie na cztery kroki drogocenne dobro tego górskiego ludu. Wcześniej rano mężczyźni szli na pola. Długo modlił się rolnik, nim się pochylił nad ziemią. Podczas silnego wiatru kobiety przynosiły koce i narzuty i rozkładały je na drogocennych półkach. Głaskały nasiona wąskimi, ciemnymi dłońmi i sierpami ścinały nieliczne rośliny. Ścierały ziarna i piekły płaskie, podługowate chleby. W pierwszy chleb wkładały monetę jako podziękowanie ludu za cud zasiewu.

Szedłem wzdłuż muru małego półka. W górze na skałach kręciły się owce. Jakiś rolnik w białym filcowym kapeluszu przyjechał dwukółką. Koła wózka piszczwały jak głodne niemowlęta. W całej okolicy słyhać było ten przenikliwy odgłos.

– Braciszku – zagadnąłem go – napiszę do Baku, żeby ci przysłali olej. Trzeba, żebyś nasmarował koła swojego wozu.

Chłop się skrzywił.

– Ja jestem prosty człowiek, ja się nie ukrywam. Każdy może słyseć, że mój wóz nadjeżdża, dlatego nigdy nie smaruję osi

w swoim wozie. Tak robią tylko abrekowie.

– Abrekowie?

– Tak, abrekowie, wygnani.

– Wielu jest jeszcze wygnanych? Abreków?

– Wystarczająco wielu. Są rabusiami albo mordercami. Niektórzy mordują dla dobra ludu, inni dla własnej korzyści. Ale każdy musi złożyć okrutną przysięgę.

– Jaką przysięgę?

Chłop zatrzymał wózek i zsiadł z niego. Oparł się o mur swego pola, wyciągnął słony owczy ser i przełamał go długimi palcami. Dostałem kawałek. W lepkiej serowej masie tkwiły ciemne owcze kłaki. Zjadłem.

– Przysięga wygnanego. Nie znasz jej? Wygnany zakrada się o północy do meczetu i przysięga: „Przysięgam w tym świętym miejscu, które czczę, że od dzisiaj będę wygnanym. Chcę przelewać ludzką krew i nad nikim nie mieć litości. Będę prześladował ludzi. Przysięgam rabować im wszystko, co drogie ich sercu, sumieniu i czci. Będę przebijał sztyletem niemowlęta przy piersi matki, palił najlichsze chaty żebrakom i niósł strapienie wszędzie tam, gdzie dotąd jeszcze gościła radość. Jeśli nie wypełnię tej przysięgi, jeśli do mojego serca wkradnie się miłość albo współczucie, to niech nie ujrzę już grobu swego ojca, niech woda nie zaspokoi nigdy mojego pragnienia, a chleb głodu, niech moje zwłoki leżą na drodze, a brudne psy załatwiają przy nich swoje potrzeby”.

Głos chłopca brzmiał poważnie i uroczyście. Twarzą był zwrócony do słońca. Miał głęboko osadzone zielone oczy.

– To właśnie jest przysięga abreków.

– Ale kto składa taką przysięgę?

– Ludzie, którzy cierpieli z powodu niesprawiedliwości.

Umilkł. Poszedłem do domu. Czworokątne chaty aulu przypominały kostki. Słońce paliło. Czy ja sam też jestem abrekiem, wygnanym, przegnanym w dzikie góry? Czy ja też powinienem złożyć krwawą przysięgę, tak samo jak zbójcy z dagestańskich gór? Wszedłem do wioski. Słowa ponurej przysięgi brzmiały w moich uszach zachęcająco. Przed moją chatą zobaczyłem trzy osiodłane

obce konie, jeden ze srebrną uzdą. Na tarasie domu siedział szesnastoletni gruby chłopak ze złotym sztyletem u pasa. Pomachał mi i roześmiał się. Był to Arslan Aga, chłopak z naszej szkoły. Jego ojciec miał dużo ropy, a on sam był słabego zdrowia, dlatego często jeździł do wód do Kisłowodzka. Prawie go nie znałem, był ode mnie znacznie młodszy. Tutaj, w samotności tej górskiej wioski, objąłem go jak brata. Zaczerwienił się z dumy i powiedział:

– Przejeżdżałem akurat ze służącymi obok tej wsi i postanowiłem cię odwiedzić.

Poklepałem go po plecach:

– Jesteś moim gościem, Arslanie. Dzisiaj urządzimy zabawę na cześć naszego miasta. – Po czym zawołałem w głąb chaty: – Mułlo Kazi, przygotujcie wszystko do uczyty, mam gościa z Baku.

Pół godziny później Arslan Aga siedział przede mną, zajadał pieczęć baranią i ciasto i rozpływał się z rozkoszy.

– Jestem taki zadowolony, że mogę cię zobaczyć, Ali Chanie. Żyjesz jak bohater, w odległej wiosce, i kryjesz się przed krwawą zemstą. Możesz być spokojny, nikomu nie wyjawię twojej kryjówki.

Mogłem być spokojny. Zdaje się, że całe Baku wiedziało, gdzie przebywam.

– Jak się dowiedziałeś, że tutaj jestem?

– Zajd Mustafa mi powiedział. Stwierdziłem, że twoja wioska jest na mojej trasie, a on prosił, żeby cię pozdrowić.

– A dokąd ty jedziesz?

– Do Kisłowodzka, do wód. Z dwoma służącymi.

– Ach tak. – Uśmiechnąłem się. On patrzył spokojnie przed siebie.

– Powiedz mi, czemu nie pojechałeś tam bezpośrednio pociągiem?

– Boże mój, chciałem zaczerpnąć trochę górskiego powietrza. Wsiadłem w Machaczkałe i ruszyłem wprost do Kisłowodzka.

Usta miał pełne ciasta, które radośnie przeżuwał.

– Ale przecież bezpośrednia droga jest stąd oddalona o trzy dni jazdy.

Arslan Aga udawał bardzo zdziwionego.

– Tak? To mnie źle poinformowali. Ale ja mimo to się cieszę, bo przynajmniej cię tu odwiedziłem.

Ten łobuz najprawdopodobniej jechał taką okreśną trasą tylko po to, żeby móc się w Baku pochwalić, że mnie widział. Musiałem stać się dość znaną figurą w mieście.

Nalałem mu wina, które on popijał dużymi łykami. Wtedy stał się bardziej ufny.

– Czy od tamtego czasu jeszcze kogoś zabiłeś, Ali Chanie? Powiedz mi, proszę, proszę, ja naprawdę nikomu nic nie powiem!

– Tak, jeszcze kilkudziesięciu.

– Nie, no co ty mówisz!

Był zachwycony i pił wino, a ja mu dolewałem.

– Ożenisz się z Nino? W mieście chodzą o to zakłady. Ludzie mówią, że wciąż jeszcze ją kochasz. – Roześmiał się zadowolony i pił dalej. – Wiesz, wszyscy byliśmy tacy zaskoczeni. Przez długi czas o niczym innym nie rozmawialiśmy.

– No, no, a co tam nowego w Baku?

– Och, w Baku to właściwie nic nowego. Powstała nowa gazeta. Robotnicy strajkują. W szkole nauczyciele mówią, że zawsze byłeś bardzo porywczy. Powiedz, jak ty się o tym właściwie dowiedziałeś?

– Drogi Arslanie, drogi przyjacielu, dość pytań. Teraz moja kolej. Widziałeś Nino? Albo kogoś od Nachararianów? Co robią Kipiani?

Ciasto ugrzęzło biedakowi w gardle.

– Ech, ja nic nie wiem, zupełnie nic. Nikogo nie widziałem, tak rzadko wychodziłem z domu.

– A dlaczego to, przyjacielu? Byłeś chory?

– Tak, tak, chory. Nawet bardzo chory. Miałem dyfteryt. Wyobraź sobie, musiałem mieć dziennie pięć lewatyw!

– Na dyfteryt?

– Tak.

– Pij, Arslanie, to bardzo zdrowe.

I pił. Potem nachyliłem się ku niemu i spytałem:

– Drogi przyjacielu, kiedy ostatni raz powiedziałeś prawdę?

Popatrzył na mnie niewinnymi oczami i wyznał otwarcie:

– W szkole, kiedy byłem pytany z tabliczki mnożenia.

Dobry chłopak był już zupełnie pijany. Wziąłem go na spytki. Wino było bardzo słodkie, a Arslan Aga bardzo młody. Zeznał, że

przyjechał tu z czystej ciekawości, że nie miał żadnego dyfterytu i znał na pamięć wszystkie nowinki i plotki z Baku.

– Nachararianowie cię zamordują – paplał – ale chcą poczekać na lepszą okazję. Nie muszą się spieszyć. Czasami odwiedzałem Kipianich. Nino przez długi czas była chora. Potem zawieźli ją do Tyflisu. Teraz jest znowu w domu. Widziałem ją na balu regionalnego związku miast. Wiesz, piła wino, jakby to była woda, i przez cały wieczór doskonale się bawiła, śmiała się. Tańczyła tylko z Rosjanami. Rodzice chcą ją wysłać do Moskwy, ale ona nie chce. Codziennie gdzieś wychodzi i wszyscy Rosjanie się w niej kochają. Iljas Beg otrzymał order, a Mehmed Hajdar jest ranny. Willa Nacharariana spłonęła. Słyszałem, że podpalili ją jego przyjaciele. A, jeszcze coś. Nino ma teraz psa i codziennie bije go bez litości. Nikt nie wie, jak ten pies się wabi – niektórzy mówią, że Ali Chan, inni, że Nachararian. Ja myślę, że ona nazwała go Zajd Mustafa. Widziałem też twojego ojca. Powiedział, że zło mi skórę, jeśli będę tyle gadał. Kipiani kupili mieszkanie w Tyflisie. Możliwe, że całkiem się tam przeprowadzą.

Spojrzałem na niego poruszony.

– Powiedz mi, co z ciebie wyrośnie?

Popatrzył na mnie pijanym wzrokiem i odparł:

– Król.

– Co takiego?

– Chcę być królem w jakimś pięknym kraju, w którym jest dużo kawalerii.

– A poza tym?

– Umrzeć.

– Dlaczego?

– Podczas zdobywania mojego królestwa.

Roześmiałem się, czym go bardzo uraziłem.

– Wsadzili mnie do karceru, łotry, na trzy dni.

– W szkole?

– Tak, ale zgadnij dlaczego. Dlatego że znowu napisałem do gazety. O złym traktowaniu dzieci w szkołach średnich. Dobry Boże, to dopiero było przedstawienie.



– Ależ, Arslanie, przyzwoity człowiek nie pisze przecież do gazet!  
– Pisze, pisze. A kiedy wrócę, napiszę też o tobie. Oczywiście bez nazwiska. Jestem dyskretny i jestem twoim przyjacielem. Coś w tym guście: „Strach przed krwawą zemstą albo żaloszny obyczaj naszego ludu”.

Opróżnił resztę butelki, położył się na macie i natychmiast zasnął. Przyszedł jego służący i popatrzył na mnie z przyganą, jakby chciał powiedzieć: „Wstydz się, Ali Chanie, tak upić to dobre dziecko”.

Wyszedłem na dwór. Taki mały, zwyrodniały szczur z tego Arslana Agi. Prawdopodobnie połowę tego wszystkiego zmyślił, skłamał. Dlaczego Nino miałyby bić jakiegoś psa? Bóg jeden wie, jak nazywa tego kundla!

Poszedłem w dół drogą przez wieś i usiadłem gdzieś na poboczu. Kamienie piętrzyły się jedne na drugich jak cienie i patrzyły na mnie szyderczo. Czy pamiętały rzeczy minione albo prześnione? Gwiazdy na ciemnym niebie były jak światła Baku. Tysiące promieni świetlnych biegło z nieskończoności i stykało się z moimi źrenicami. Siedziałem tak ponad godzinę i zmrużonymi oczami gapiłem się w niebo.

A więc ona tańczy z Rosjanami, pomyślałem i nagle dopadła mnie chęć powrotu do miasta, żeby zobaczyć na własne oczy to nocne życie, które teraz widziałem jedynie oczyma wyobraźni. Obok mnie przesuwała się z szelestem jaszczurka. Schwytałem ją, a jej śmiertelnie przerażone serce zwierzątka waliło w mojej dłoni. Pogłaskałem jej chłodną skórę. Małe oczka zastygły z przerażenia albo z mądrości. Uniosłem ją na wysokość swojej twarzy. Była ożywionym kamieniem, prastarym i zwietrzałym, o zmarszczonej skórze.

– Nino – powiedziałem do niej. – Nino, czy ja także mam cię bić? Tylko jak się bije jaszczurki?

Stworzenie nagle otworzyło pyszczek. Widać było ostry języczek, który jednak zaraz schowało. Roześmiałem się. Języczek był zwinny i wzruszający. Otworzyłem dłoń i jaszczurka zniknęła w ciemności okolicznych kamieni.

Wstałem i ruszyłem z powrotem. Arslan wciąż spał na macie.

Zatroskany sługa trzymał jego głowę na kolanach. Poszedłem na dach i do godziny modlitwy paliłem haszysz.

## Rozdział 20

Sam nie wiem, jak do tego doszło. Pewnego dnia obudziłem się i zobaczyłem przed sobą Nino.

– Śpioch się z ciebie zrobił, Ali Chanie – powiedziała i usiadła na brzegu mojej maty. – Poza tym chrapiesz, a to się nie godzi.

Podniosłem się i w ogóle nie byłem zdziwiony.

– Chrapanie jest od haszyszu – oznajmiłem chmurnie.

Nino kiwnęła głową.

– W takim razie przestaniesz palić haszysz.

– Dlaczego bijesz tego psa, nieszczęsna?

– Psa? Aha! Chwytam go lewą ręką za ogon i uderzam prawą po grzbiecie, aż zaczyna skomleć.

– A jak na niego wołasz?

– Wabi się Kilimandżaro – odpowiedziała Nino łagodnie.

Przetarłem oczy i nagle znowu zobaczyłem jasno to wszystko: Nacharariana, konia z Karabachu, oblaną światłem księżycy pełną drogę i Nino w siodle Zajda.

– Nino! – krzyknąłem i zerwałem się. – Skąd się tutaj wzięłaś?

– Arslan Aga opowiadał w mieście, że chcesz mnie zamordować. No to od razu tu przyjechałam. – Jej twarz zwróciła się ku mnie. Oczy miała pełne łez. – Tak do ciebie tęskniłam, Ali Chanie.

Zanurzyłem dłoń w jej włosach. Zacząłem ją całować, rozchyliła wargi i wilgotne ciepło jej ust mnie odurzyło. Położyłem ją na macie i jednym ruchem zerwałem przykrywający ją kolorowy strój. Jej skóra była miękka i pachnąca. Głaskałem ją czule. Nino gwałtownie oddychała. Patrzyła mi w oczy, a jej mała pierś drżała w mojej dłoni. Chwyciłem ją, a ona jęknęła w mocnych objęciach. Pod jej skórą widać było żebra, takie wąskie i delikatne. Położyłem twarz na jej piersiach.

– Nino – powiedziałem – Nino. – I nagle, jakby to słowo miało w sobie jakąś tajemniczą moc, znikło wszystko, co istnieje i co jest

widoczne, pozostały tylko wielkie, wilgotne gruzińskie oczy, w których wszystko się odbija: strach, radość, ciekawość i ten nagły, przeszywający ból.

Nie płakała, ale nagle chwyciła kołdrę i skryła się pod ciepłym puchem. Ukryła twarz na mojej piersi i każdy ruch jej szczupłego ciała był jak wołanie ziemi spragnionej miłosiernego deszczu. Ostrożnie ściągnąłem z niej kołdrę. Czas się zatrzymał.

Milczeliśmy, wyczerpani i szczęśliwi. Nagle Nino powiedziała:

– Dobrze, a teraz wracam do domu, bo widzę, że w ogóle mnie nie mordujesz.

– Sama przyjechałaś?

– Nie, Zajd Mustafa mnie przywiózł. Powiedział, że mnie tu przywiezie, ale że się ze mną rozprawi, jeśli cię rozczaruję. On jest na zewnątrz i ma rewolwer. Jeśli cię rozczarowałam, to go zawołaj.

Nie zawołałem go. Pocałowałem ją.

– Tylko po to przyjechałaś?

– Nie – odparła otwarcie.

– Opowiedz, Nino.

– Co?

– Dlaczego milczałaś wtedy, w siodle Zajda?

– Przez dumę.

– A dlaczego jesteś tu teraz?

– Też przez dumę.

Ująłem jej dłoń i bawiłem się jej różowymi palcami.

– A Nachararian?

Nino potarła nosem o moją pierś.

– Nachararian... – powiedziała przewlekłe. – Nie myśl, że on mnie uprowadził wbrew mojej woli. Wiedziałam, co robię, i uważałam, że postępuję właściwie. Tak jednak nie było. To ja byłam winna i to ja zasłużyłam na śmierć. Dlatego też milczałam i dlatego tu przyjechałam. No, teraz wiesz już wszystko.

Pocałowałem ciepłe wnętrza jej dłoni. Powiedziała prawdę, choć tamten już nie żył, a prawda była dla niej niebezpieczna. Wstała, rozejrzała się po pokoju i rzekła posepnie:

– Jadę do domu. Nie musisz się ze mną żenić. Wyjeżdżam do

Moskwy.

Podszedłem do drzwi i uchyliłem je. Ospowaty siedział ze skrzyżowanymi nogami i z rewolwerem w dłoni. Był przepasany swoim zielonym pasem.

– Zajdzie – zwróciłem się do niego – wezwij mułłę i jeszcze jednego świadka. Za godzinę się żenię.

– Nie będę wołał żadnego mułły, tylko przyprowadzę dwóch świadków i sam wam udzieli ślubu. Mam stosowne uprawnienia.

Zamknąłem drzwi. Nino siedziała w łóżku, czarne włosy spływały jej na ramiona. Śmiała się.

– Zastanów się, Ali Chanie, co robisz. Żenisz się z upadłą dziewczyną.

Położyłem się obok niej i nasze ciała mocno do siebie przywarły.

– Naprawdę chcesz się ze mną ożenić? – spytała Nino.

– Jeśli mnie zechcesz, ja jestem przecież *kanly*. Szukają mnie wrogowie.

– Wiem o tym. Ale tutaj nie przyjdą. Po prostu zostaniemy tutaj.

– Chcesz zostać tutaj, Nino? W tym górskim gnieździe bez domu, bez służących?

– Tak – odrzekła – chcę tu zostać, bo ty musisz tu zostać. Będę prowadziła dom, piekła chleb i będę dobrą żoną.

– Nie będziesz się nudziła?

– Nie – odpowiedziała po prostu. – Będziemy przecież spać razem.

Ktoś zapukał do drzwi. Ubrałem się, a Nino wskoczyła w mój szlafrok. Wszedł Zajd Mustafa w świeżo zawiązanym zielonym turbanie. Za nim dwóch świadków. Zajd usiadł na podłodze. Z pasa wyciągnął mosiężny pojemnik z atramentem i piórem. „Tylko na bożą chwałę” – przeczytałem napis na pojemniku. Rozpostarł kartę i położył ją na lewej dłoni. Zanurzył bambusowe pióro w atramencie i napisał ozdobnym pismem: „W imię miłościwego Boga, Boga najmiłosierniejszego”.

Potem zwrócił się do mnie:

– Jak się nazywasz, panie?

– Ali Chan, syn Safar Chana z rodu Szyrwanszyrów.

– Wyznanie?

- Muzułmanin, odłam szyicki według imama Dżafara.
- Czego sobie życzysz, panie?
- Obwieścić swoją wolę, że chcę wziąć sobie tę kobietę.
- Jak się nazywasz, pani?
- Księżniczka Nino Kipiani.
- Wyznanie?
- Prawosławne tradycji greckiej.
- Czego sobie życzysz, pani?
- Zostać żoną tego mężczyzny.
- Czy zamierza pani zachować swoją wiarę, czy przyjąć wiarę męża?

Nino przez chwilę zwlekała z odpowiedzią, ale potem podniosła głowę i rzekła dumnie i zdecydowanie:

- Zamierzam zachować swoją wiarę.

Zajd zapisywał. Papier przesuwał się na jego dłoni, pokrywając się pięknie zaokrąglonymi arabskimi literami. Kontrakt małżeński był gotowy.

- Podpiszcie – powiedział Zajd.
- Złożyłem pod nim swój podpis.
- Którym nazwiskiem mam podpisać? – spytała Nino.
- Nowym.

I Nino napisała pewną ręką: „Nino Hanum Szyrwanszyr”.

Potem przysła kolej na świadków, po czym Zajd Mustafa wyciągnął swoją imienną pieczęć i odcisnął ją na papierze. Pięknym kufickim pismem było tam napisane „Hafiz Zajd Mustafa Meshedi, niewolnik Pana świata”. Podał mi dokument.

Następnie objął mnie i powiedział po persku:

– Ja nie jestem dobrym człowiekiem, Ali Chanie. Ale Arslan Aga opowiedział mi, że bez Nino umrzesz w tych górach i popadniesz w pijaństwo, a to jest grzech. Nino poprosiła, żeby ją tu przywieźć. Jeśli jest prawdą to, co mówi, to ją kochaj. Jeśli nie jest prawdą, to jutro ją zabijemy.

- Już nie jest prawdą, Zajdzie, ale mimo to jej nie zabijemy.

Zajd popatrzył stropiony, rozejrzał się po pokoju, a potem się roześmiał.

Godzinę później fajka od haszyszu została uroczyście wyrzucona w przepaść.

To było całe wesele.

Życie nieoczekiwanie zaczęło znowu być piękne. Nawet bardzo piękne. Wieś uśmiechała się, kiedy przez nią szedłem, a ja uśmiechałem się do niej, bo byłem szczęśliwy. Wczesnym rankiem widziałem, jak Nino boso i z pustym glinianym dzbanem w ręce spieszyła do strumienia. Wracała, ostrożnie stawiając nagie stopy na kanciastych kamieniach. Dzban niosła na prawym ramieniu, podtrzymując go szczuplutką ręką. Tylko raz, na samym początku, potknęła się i dzban upadł jej na ziemię. Gorzko płakała nad tą swoją przewiną, ale kobiety z sąsiedztwa ją pocieszały. Podobnie jak wszystkie tutejsze kobiety, Nino codziennie przynosiła wodę. Szły razem gęsiego pod górę, a ja z daleka widziałem ich uważne spojrzenia skierowane na drogę i nagie stopy Nino. Nie patrzyła na mnie, ja również omijałem ją wzrokiem. Nino od samego początku zrozumiała prawo tych gór, żeby nigdy, pod żadnym pozorem nie okazywać miłości przy obcych ludziach. Przychodziła do ciemnej chaty, zamykała drzwi i stawiała dzban na podłodze. Podawała mi wodę, a z kąta przynosiła chleb, ser i miód. Jedliśmy dłońmi, jak wszyscy ludzie w aule, siedząc na podłodze, a Nino wkrótce opanowała trudną sztukę siedzenia ze skrzyżowanymi nogami. Po jedzeniu oblizywała palce, błyskając przy tym swoimi białymi, lśniącymi zębami.

– Według tutejszego zwyczaju – mówiła – powinnam ci teraz umyć stopy. Ale ponieważ jesteśmy sami, a to ja chodziłam do strumienia, to ty umyjesz stopy mnie.

Wkładałem do wody te drobne, delikatne cacka, które ona nazywała stopami, a ona pluskała nimi tak, że krople pryskały mi na twarz. Potem szliśmy na taras na dachu. Siadałem na poduszkach, Nino u moich stóp. Czasami nuciła jakąś pieśń, czasami milczała, zwrócona ku mnie swoją twarzą Madonny. Czułem się z tym bardzo dobrze, tak dobrze jak nigdy wcześniej. Najchętniej spędziłbym na tym dachu całe swoje życie, z samą tylko Nino, która

miała tak drobne stóпки i nosiła jaskrawoczerwone dagestańskie bufiaste spodnie. Nic w niej nie zdradzało, że nawykła do innego życia, myślenia i zachowania niż pozostałe kobiety w aule.

Nikt we wsi nie miał służącego, więc i ona nie chciała. Przygotowywała jedzenie, rozmawiała z kobietami z sąsiedztwa i potem powtarzała mi te ploteczki ze wsi. Ja jeździłem konno, polowałem i przywoziłem jej ustrzeloną zwierzynę, i jadłem te dziwne potrawy, które podpowiadała jej fantazja, a które jej smak natychmiast odrzucał.

Kiedyś pojechałem do Chunzach. Wróciłem obładowany dobrami cywilizacji: lampą naftową, lutnią, gramofonem i jedwabnym szalem... Na widok gramofonu oczy jej się rozpromieniły. Niestety, w całym Chunzach dostałem tylko dwie płyty: na jednej był taniec z gór, a na drugiej aria z *Aidy*. Puszczaliśmy je na zmianę, aż wreszcie nie odróżnialiśmy jednej od drugiej. Nocą siedziała w kucki pod kołdrą jak małe zwierzątko.

– Szczęśliwy jesteś, Ali Chanie?

– Bardzo. A ty? Nie chcesz do Baku?

– Nie – odparła poważnie. – Chcę pokazać, że też potrafię to, co potrafią wszystkie azjatyckie kobiety: że potrafię służyć swojemu mężowi.

Z Baku dochodziły skąpe wieści. Rodzice Nino zaklinali nas, żebyśmy przeprowadzili się do lepszego kraju, albo grozili, że nas przeklną. Raz przyjechał do nas ojciec Nino. Wpadł we wściekłość, kiedy zobaczył chatkę córki.

– Na miłość boską, wyjedźcie stąd natychmiast. Nino się rozchoruje w tej dziczy.

– Nigdy nie byłam zdrowsza niż teraz, ojczy – powiedziała Nino. – Nie możemy stąd wyjechać, nie chcę przecież zostać wdową.

– Ale są przecież neutralne kraje za granicą, do których żaden Nachararian nie trafi. Na przykład Hiszpania.

– Ależ, tato, jak się teraz dostać do Hiszpanii?

– Przez Szwecję.

– Ja przez Szwecję nie jadę – powiedziała Nino ze złością.

Książkę wyjechał i co miesiąc przysyłał bieliznę, ciasta i książki.



Nino zatrzymywała książki, całą resztę rozdawała. Odwiedził nas też mój ojciec. Nino przyjęła go z nieśmiałym uśmiechem. Tak uśmiechała się w szkole, kiedy miała rozwiązać równanie z kilkoma niewiadomymi. Po chwili równanie było rozwiązane.

– Gotujesz?

– Tak.

– Nosisz wodę?

– Tak.

– Jestem zmęczony po podróży. Czy możesz mi umyć stopy?

Nino przyniosła wodę i umyła mu stopy.

– Dziękuję – powiedział i sięgnął po torbę. Wyjął z niej długi sznur różowawych pereł i zawiesił je Nino na szyi. Następnie zjadł obiad i stwierdził: – Masz dobrą żonę, Ali Chanie, ale słabą kucharkę. Przyślę ci z Baku kucharza.

– Nie, nie, proszę! – zawołała Nino. – Ja chcę usługiwać swojemu mężowi!

Ojciec roześmiał się i przysłał jej z miasta dwa kolczyki z wielkimi brylantami.

W naszej wiosce panował spokój. Tylko jeden raz mułła Kazi przybiegł z wielką nowiną: na skraju wsi ujęto jakiegoś obcego, najpewniej Ormianina. Był uzbrojony. Zbiegła się cała wieś. Byłem gościem aułu – moja śmierć okryłaby wieczną hańbą i sam auł, i każdego mieszkańca z osobna. Wyszedłem, żeby zobaczyć tego człowieka. To był Ormianin, ale nikt nie wiedział, czy miał coś wspólnego z Nachararianami. Zeszli się starsi i najmądrzejsi z całej wsi, naradzili się i podjęli decyzję, by wychłostać nieznanego i przepędzić ze wsi. Jeśli był z rodu Nachararianów, to pójdzie i ostrzeże następnych. Jeśli nie, to Bóg rozpozna dobre intencje chłopów i im przebaczy.

Wieczorem, gdy zapłonęła lampa naftowa, Nino leżała obok mnie i wpatrywała się w ciemność. Snuła długie rozważania na różne tematy – a to, czy naprawdę trzeba dawać tyle czosnku do pieczenia baraniej, a to, czy poeta Rustaweli miał romans z królową Tamarą? I jeszcze, co trzeba zrobić, kiedy zacznie ją tu boleć ząb? A dlaczego wczoraj sąsiadka tak okropnie złoila miotłą skórze swojemu mężowi?

– Życie kryje tyle tajemnic – powiedziała zatroskana i zasnęła.

Nocą zbudziła się, uderzyła się o mój łokieć i wymamrotała bardzo dumnie i z wyższością: „Ja jestem Nino”, po czym spała dalej, okryta przeze mnie kołdrą.

Nino, pomyślałem, właściwie zasłużyłaś na coś lepszego niż życie w małej dagestańskiej wiosce.

Gdzieś tam na innej planecie szalała wojna, ale my nic o tym nie wiedzieliśmy. Góry były wypełnione baśniami z czasów Szamila. Nie docierały do nas relacje z frontu. Czasami przyjaciele przysyłali nam jakieś gazety, nigdy nie przeczytałem z nich ani linijki.

– Czy ty w ogóle jeszcze pamiętasz, że trwa wojna? – spytała kiedyś Nino.

– Wiesz, że niemal o tym zapomniałem? – odparłem ze śmiechem.

Nie, życie nie mogło być lepsze, nawet jeśli była to jedynie zabawa między przeszłością a przyszłością. Ali Chan Szyrwanszyr dostał przypadkiem taki prezent od Boga.

Wtedy przyszedł list. Przywiózł go jeździec na koniu spienionym od pędu. Nie był to list od ojca, nie pochodził też od Zajda. Na wierzchu widniał napis: „Arslan Aga do Alego Chana”.

– Czego on chce? – spytała zdumiona Nino.

Odezwał się jeździec:

– Idzie do pana dużo poczty. Arslan Aga dał mi dużo pieniędzy, żeby to z jego listu jako pierwszego zaczerpnął pan informacje.

Koniec z życiem w aule, pomyślałem i otworzyłem ten list.

Zacząłem czytać.

*W imię Boga. Witam Cię, Ali Chanie. Jak Ci się wiedzie, jak wiedzie się Twoim koniom, Twemu winu, Twoim owcom i ludziom, z którymi żyjesz? Mnie także dobrze się wiedzie, moje wino i moi ludzie też mają się dobrze. Do Twojej wiadomości: w naszym mieście dzieją się ważne rzeczy. Więźniowie wyszli na wolność i spacerują dziś ulicami miasta. A gdzie jest policja? – jakbym słyszał Twoje pytanie. Otóż zobacz – policja jest tam, gdzie dotychczas siedzieli więźniowie. W więzieniu nad morzem. A żołnierze? Nie ma już żołnierzy. Oczyma wyobraźni widzę, przyjacielu, jak kręcisz głową*

*i zastanawiasz się, dlaczego nasz gubernator na coś takiego pozwala. Dowiedz się więc, że nasz mądry gubernator wczoraj zbiegł. Zmęczyło go rządy takimi głupimi ludźmi. Pozostało po nim jedynie kilka par spodni i stara naszywka gubernatorska. Śmiejesz się, Ali Chanie, i myślisz, że kłamię. Zdziwisz się zatem, mój Drogi, ponieważ nie kłamię. Pytasz, dlaczego zatem car nie wyśle nowej policji i nowego gubernatora? Dowiedz się więc, że nie ma już żadnego cara. W ogóle nic już nie ma. Nie wiem jeszcze, jak się nazywa to, co jest teraz, ale wczoraj spraliśmy dyrektora szkoły i nikt nam w tym nie przeszkadzał. Jestem Twoim przyjacielem, Ali Chanie, i dlatego chcę, żebyś to ode mnie jako pierwszego się dowiedział o tym wszystkim, choć wiele osób w mieście pisze teraz do Ciebie. Dowiedz się też, że wszyscy z rodu Nachararianów wyjechali z miasta do domu i nie ma już żadnej policji. Pokój Tobie, Ali Chanie. Pozostaję Twoim przyjacielem i sługą!*

*Arslan Aga*

Podniosłem oczy. Nino zrobiła się nagle bardzo blada.

– Ali Chanie – powiedziała, a głos jej drżał – droga jest wolna! Jedziemy! Jedziemy, jedziemy!

Ogarnięta jakąś dziwną ekstazą powtarzała kilkakrotnie tylko to jedno słowo. Rzuciła mi się na szyję i szlochała. Z niecierpliwości przebierała gołymi stopami w piasku na podwórzu.

– Oczywiście, Nino, jedziemy.

Cieszyłem się i smuciłem jednocześnie. Góry pyszniły się surowymi żółtymi skałami. Chaty we wsi przypominały ule pszczół, a mała wieżyczka minaretu pięła się spiralnie do góry w niemym napomnieniu.

Życie w aule ostatecznie dobiegło końca.

## Rozdział 21

Na twarzach ludzi mieszały się szczęście i strach. Nad ulicami wisały w poprzek szkarłatne transparenty z bezsensownymi napisami. Przekupki stały na rogach ulic i żądały wolności dla amerykańskich Indian i afrykańskich Buszmenów. Front się cofał. Wielki księżę zniknął, a gromady obdartych żołnierzy włóczyły się po całym mieście. Nocą strzelano, w ciągu dnia tłum plądrował sklepy.

Nino pochyliła się nad atlasem.

– Szukam spokojnego i pokojowego kraju – powiedziała, a jej palec przesuwiał się po kolorowych liniach.

– Może Moskwa. Albo Petersburg – rzuciłem z drwiną.

Wzruszyła ramionami. Jej palce znalazły się nad Norwegią.

– To z pewnością pokojowy kraj – stwierdziłem – ale jak się tam dostać?

– Tam się nie można dostać – westchnęła Nino. – Ameryka?

– U-Booty – odparłem na to pogodnie.

– Indie, Hiszpania, Chiny, Japonia?

– Albo wojna, albo nie da się dojechać.

– Ali Chanie, jesteśmy w pułapce.

– No widzisz, sama do tego doszłaś, Nino. Nie ma sensu uciekać. Musimy się zastanowić, w jaki sposób doprowadzić do ładu nasze miasto, przynajmniej do czasu przyjścia Turków.

– Od czegoż mam bohatera za męża! – powiedziała Nino z wyrzutem. – Odczuwam niechęć do transparentów, apeli i przemówień. Jeśli nadal tak będzie, to ucieknę do twojego stryja do Persji.

– Nie będzie tak nadal – rzuciłem i wyszedłem z domu.

W sali islamskiego towarzystwa dobroczynności odbywało się zebranie. Nie byli obecni ci lepsi panowie, którzy niegdyś w domu mojego ojca troszczyli się o przyszłość swojego narodu. Pomieszczenie wypełniali dobrze umięśnieni mężczyźni. W drzwiach

natknąłem się na Iljasa Bega. Obaj z Mehmedem Hajdarem wrócili z frontu. Rezygnacja cara zwolniła ich z przysięgi złożonej tronowi, zjawili się więc w mieście pięknie opaleni, dumni i emanujący siłą. Wojna dobrze im zrobiła. Byli jak ludzie, którzy spojrzeli raz na tamten świat i już zawsze noszą ten obraz w sercach.

– Musimy działać, Ali Chanie – powiedział Iljas Beg. – Wróg stoi u wrót miasta.

– Tak, musimy się bronić.

– Nie, musimy atakować.

Podszedł do trybuny. Mówił głośno, tonem przywódcy:

– Muzułmanie! Jeszcze raz chcę wam przedstawić sytuację naszego miasta. Od początku rewolucji front pęka, a dezercy rosyjscy ze wszystkich partii stacjonują pod Baku, uzbrojeni i gotowi do rabowania. W mieście istnieje tylko jedna muzułmańska formacja wojskowa. To my, ochotnicy Dzikiej Dywizji. Nie dorównujemy Rosjanom pod względem liczebności ani amunicji. Drugą jednostką w naszym mieście jest Armeńska Federacja Rewolucyjna, dasznacy. Przywódca tej partii, Stepa Lalaj, i Andronik skontaktowali się z nami. Z ormiańskich mieszkańców miasta tworzą oni armię, która ma zostać przeniesiona do Karabachu i Armenii, żeby chronić te kraje. Przyzwoliliśmy na stworzenie tej armii oraz na jej wyjście do Armenii. Za to Ormianie stawiają razem z nami ultimatum Rosjanom. Żądamy, aby nie przeprowadzano już przez nasze miasto rosyjskich żołnierzy ani uchodźców. Jeśli Rosjanie odrzucą naszą ofertę, to zjednoczeni z Ormianami jesteśmy w stanie wymusić realizację naszych żądań środkami wojskowymi. Muzułmanie, wstępujcie do Dzikiej Dywizji, chwytajcie za broń. Wróg stoi u bram!

Przysłuchiwałem się, czuć w tym było walkę i krew. Od wielu dni na koszarowym dziedzińcu uczyłem się obchodzenia z karabinem maszynowym. Teraz ta nowa umiejętność miała mi się przydać. Mehmed Hajdar stał obok mnie i bawił się taśmą nabojołą. Nachyliłem się do niego:

– Przyjdźcie do mnie z Iljasem po zakończeniu zebrania. Będzie też Zajd Mustafa. Zastanowimy się nad sytuacją.

Kiwnął głową. Poszedłem do domu. Nino jako gospodyni

zatroszczyła się o herbatę. Niebawem nadeszli. Byli uzbrojeni, nawet Zajd miał sztylet za swoim zielonym pasem. Była w nas jakaś dziwna cisza. W przededniu walk miasto zdawało się przytłaczające i obce. Ludzie chodzili jeszcze ulicami, załatwiali swoje sprawy albo spacerowali, jednakże ich zajęcia miały w sobie coś nierzeczywistego, upiornego, jakby już przeczuwali bezsens codziennych działań. Bezsens, który wkrótce mieli poznać.

– Macie dość broni? – spytał Iljas Beg.

– Pięć karabinów, osiem rewolwerów, jeden karabin maszynowy i amunicję. Poza tym jest piwnica dla kobiet i dzieci.

Nino nagle uniosła głowę.

– Ja nie zejść do piwnicy – powiedziała zdecydowanie. – Też będę broniła swojego domu. – Jej głos brzmiał twardo i nieustępliwie.

– Nino – zaczął Mehmed Hajdar spokojnie – my będziemy strzelać, a ty będziesz opatrywać rany.

Wtedy Nino spuściła oczy i zaczęła mówić ze ściśniętym gardłem:

– O Boże, nasze ulice będą polem walki. Teatr kwaterą sztabu generalnego. Niedługo trudniej będzie przejść ulicą Mikołajewską, niż dawniej pojechać do Chin. Żeby dojść do liceum, trzeba będzie albo zmienić światopogląd, albo pokonać oddziały jednej strony. Już widzę, jak czołgacie się na brzuchach po ogrodzie gubernatora, a przy basenie, gdzie dawniej spotykałam się z Alim, będzie ustawiony pistolet maszynowy. Doprawdy, mieszkamy w dziwnym mieście.

– Nie dojdzie do żadnej walki – powiedział Iljas. – Rosjanie przyjmą nasze ultimatum.

Mehmed Hajdar roześmiał się ponuro.

– Zapomniałem wam opowiedzieć: idąc tu, spotkałem Asadullaha, który mówił, że Rosjanie to ultimatum odrzuca. Żądają, byśmy oddali całą broń. Ale ja swojej broni nie oddam.

– Dla nas i dla naszych ormiańskich sojuszników oznacza to walkę – powiedział Iljas.

Nino milczała. Twarz miała zwróconą w stronę okna. Zajd Mustafa poprawił sobie turban.

– Allahu, Allahu – westchnął – ja nie byłem na froncie. Nie jestem

tak mądry jak Ali Chan. Ale znam prawo. Niedobrze, kiedy muzułmanie są zdani w walce na wierność niewiernych. W ogóle jest niedobrze być zdanym na kogokolwiek. A kto przewodzi oddziałom Ormian? Stepa Lalaj! Znacnie go. W tysiąc dziewięćset piątym roku muzułmanie zabili mu rodziców. Nie sądzę, żeby o tym zapomniał. W ogóle nie sądzę, że Ormianie będą z nami walczyli przeciwko Rosjanom. A kim w ogóle są ci Rosjanie? Obdartusy, hołota, anarchiści i rabusie. Ich dowódcą jest Stepan Szaumian, to Ormianin. Armeński anarchista i armeński nacjonalista znacznie szybciej się dogadają niż muzułmański nacjonalista i nacjonalista armeński. To jest tajemnica krwi. To się dobrze nie skończy, jak Koran prawdziwy.

– Oprócz krwi jest jeszcze rozum. Jeśli zwyciężą Rosjanie, to ani Lalaj, ani Andronik nie wyjdą na tym dobrze.

Nagle Mehmed Hajdar się roześmiał.

– Wybaczcie, przyjaciele – rzekł – ja tylko sobie pomyślałem, jak wyjdą na tym Ormianie, jeśli to my wygramy. Jeśli Turcy zaleją ich kraj, to my nie będziemy przecież go bronić.

Iljas Beg był bardzo zły.

– Tak nie wolno ani myśleć, ani mówić. Kwestię ormiańską rozwiąże się bardzo prosto – bataliony, które wystawi Lalaj, wyjdą do Armenii. A z żołnierzami pójdą ich rodziny. W ciągu jednego roku nie pozostanie w naszym mieście ani jeden Ormianin. Będą mieli dla siebie swój kraj, a my swój dla siebie. Będziemy po prostu sąsiadującymi narodami.

– Słowa Zajda nie są bez racji – zwróciłem się do Iljasa Bega. – Zapominasz o tajemnicy krwi. Stepa Lalaj, któremu muzułmanie zabili rodziców, musiałby być ostatnim łotrem, żeby zapomnieć o powinności krwi.

– Albo politykiem, Ali, albo politykiem, który opanowuje zew swej krwi, żeby oszczędzać krew swojego ludu. Jeśli jest mądry, to będzie przy nas. We własnym interesie i w interesie swojego narodu.

Dyskutowaliśmy i spieraliśmy się do wieczora. Potem Nino oznajmiła:

– Czy jesteście politykami, czy ludźmi, to chciałabym was za

tydzień znowu tu widzieć. Całych i zdrowych. Bo w mieście trzeba będzie walczyć.

Nie mówiła już więcej.

Nocą leżała obok mnie i nie spała. Miała lekko otwarte usta i wilgotne wargi. Wpatrywała się w okno i nic nie mówiła. Objąłem ją, a ona zwróciła ku mnie twarz i spytała:

– Czy ty też będziesz walczył, Ali Chanie?

– Oczywiście, Nino.

– Tak... – powiedziała – oczywiście.

Chwyciła nagle moją twarz i przycisnęła do swojej piersi. Całowała mnie bez słowa, z szeroko otwartymi oczami. Ogarnęła ją wielka, pierwotna namiętność. Przepęlniona pożądaniem, strachem przed śmiercią i oddaniem przywarła do mnie milcząca i nienasycona. Jej twarz była jakby zanurzona w jakimś innym świecie, w świecie, do którego tylko ona miała dostęp. Nagle opadła w tył, trzymała moją głowę blisko swoich oczu i powiedziała ledwie dosłyszalnie:

– Dziecku dam na imię Ali.

A potem znowu zamilkła i patrzyła zamglonym wzrokiem w stronę okna.

Stary minaret wznosił się smukły i delikatny w bladym świetle księżyca. Cienie murów obronnych zrobiły się prawie czarne i wyglądały, jakby komuś czy czemuś groziły. Z oddali rozlegał się brzęk żelaza. Ktoś ostrzył sztylet; brzmiało to jak obietnica. Potem zadzwonił telefon. Podeszedłem do niego, zataczając się w ciemności. W słuchawce usłyszałem głos Iljasa Bega:

– Ormianie sprzymierzyli się z Rosjanami. Domagają się rozbrojenia muzułmanów – do jutra, do piętnastej. Oczywiście to odrzucamy. Ty będziesz obsługiwał karabin maszynowy na murze, po lewej stronie od Baszty Ciciszwilego. Przyślę ci jeszcze trzydziestu ludzi. Przygotuj wszystko do obrony tego odcinka i samej baszty.

Odłożyłem słuchawkę. Nino siedziała w łóżku i wpatrywała się we mnie nieruchomo. Wziąłem sztylet i sprawdziłem ostrość klingi.

– Co się dzieje, Ali?

– Wróg stoi pod murami, Nino.



Ubrałem się i zawołałem służących. Przeszli – silni, barczyści, niezdarni. Każdemu z nich dałem karabin. Potem poszedłem do ojca. Stał przed lustrem, a służący czyścił mu szczotką czerkieski surdut.

– Gdzie masz wyznaczony posterunek, Ali Chanie?

– Przy Baszcie Ciciszwilego.

– To dobrze. Ja będę pracował w sali towarzystwa dobroczynności, w sztabie. – Ojciec brzęknął szablą i podkreślił wąsa.

– Bądź dzielny, Ali. Nie możemy wpuścić wrogów za mury. Jeśli zajmą plac przed basztą, otwórz do nich ogień z karabinu maszynowego. Asadullah sprowadzi chłopów z okolicznych wiosek i przeprowadzi ulicą Mikołajewską, żeby zaatakować wroga od tyłu.

– Wetknął rewolwer i zmęczony zmrużył oczy. – O ósmej odpływa ostatni parowiec do Persji. Nino powinna koniecznie wyjechać. Jeśli Rosjanie zwyciężą, będą hańbić wszystkie kobiety.

Poszedłem do swojego pokoju. Nino rozmawiała przez telefon.

– Nie, mamó – usłyszałem – zostanę tutaj. Nie grozi mi przecież żadne niebezpieczeństwo. Dziękuję, papo, nie martw się, mamy wystarczająco dużo zapasów żywności. Tak, bardzo dziękuję. Ale teraz zostawcie mnie wreszcie w spokoju. Nie przyjdę, nie i jeszcze raz nie.

Brzmiało to jak krzyk. Odwiesiła słuchawkę.

– Masz rację, Nino – powiedziałem. – U twoich rodziców też nie byłoby bezpiecznie. O ósmej odpływa parowiec do Persji. Spakuj swoje rzeczy.

Twarz Nino zrobiła się czerwona.

– Chcesz mnie stąd odesłać, Ali Chanie?

Jeszcze nigdy nie widziałem jej tak spurpurowiałej.

– W Teheranie będziesz bezpieczna, Nino. Jeśli wróg zwycięży, pohańbi wszystkie kobiety.

Uniosła głowę i powiedziała zaczepnie:

– Mnie nikt nie zhańbi, nie mnie. Nie martw się, Ali.

– Jedź do Persji, Nino, jeszcze jest czas.

– Daj spokój – odparła zdecydowanie. – Ali, ja się bardzo boję. Boję się wrogów, walki, wszystkich tych okropności, które nas czekają. I mimo tego wszystkiego pozostanę tutaj. Nie mogę ci

pomóc, ale należą do ciebie. Muszę tu zostać i koniec.

I tak się stało. Ucałowałem jej oczy i byłem bardzo dumny. Była dobrą żoną, choć mi się sprzeciwiała. Wyszedłem z domu.

Świtało. W powietrzu wisiał pył. Wszedłem na mury. Moi służący leżeli z karabinami za kamiennymi blankami. Trzydziestu ludzi Iljasa Bega obserwowało czujnie pusty plac Dumy. Wąsaci, o ciemnych twarzach, leżeli ociężali, milczący i zawzięci. Wokół było bardzo cicho. Co jakiś czas wzdłuż muru przechodzili łącznicy, przynosząc krótkie meldunki. Gdzieś tam negocjowali jeszcze duchowni i starszyzna, próbując dokonać cudu pojednania.

Wzeszło słońce. Żar lał się z nieba i kumulował się w kamieniach. Spojrzałem na swój dom stojący naprzeciwko. Na dachu siedziała Nino. Twarz miała zwróconą do słońca. W południe przyszła pod mur, przyniosła jedzenie i picie i z ciekawością patrzyła na karabin maszynowy. Milczała, siedząc w kucki w cieniu, aż wysłałem ją do domu.

Była pierwsza po południu. Z minaretu Zajd Mustafa śpiewał modlitwę żałości i uroczyste. Potem przyszedł do nas, nieporadnie ciągnąc z tyłu karabin. Za pasem miał zatknięty Koran. Spojrzałem na plac Dumy za murami. Widziałem tylko kurz i kilka skulonych lekliwie postaci idących dokądś w pośpiechu. Jakaś kobieta w burce szła, pokrzykując i potykając się, za swoimi dziećmi, które bawiły się na placu.

Raz, dwa, trzy. Uderzenia ratuszowego zegara gromko przecięły ciszę. W tym samym czasie jakby uderzenia zegara w tajemniczy sposób otworzyły drzwi do jakiegoś innego świata, na skraju miasta rozległy się pierwsze strzały...

## Rozdział 22

Noc była bezksiężycowa. Żaglowa łódź sunęła po ciężkich falach Morza Kaspijskiego. Małe, gorzkie i słone bryzgi uderzały niekiedy o burtę. Czarny żagiel wyglądał nocą jak rozpostarte skrzydło wielkiego ptaka.

Leżałem na nasiąkniętym wilgocią dnie łodzi, otulony baranicą. Sterujący łodzią Tekin o szerokiej twarzy bez zarostu spoglądał obojętnie w gwiazdy. Uniosłem głowę i przeciągnąłem dłonią po baranicy.

– Zajd Mustafa?

Dziobaty pochylił się do mnie. Czerwone kamyczki różańca przesuwają się między jego palcami. Wyglądało to tak, jakby delikatna dłoń Zajda bawiła się kroplami krwi.

– Leż spokojnie, Ali Chanie, to ja – powiedział.

Zobaczyłem łzy w jego oczach i podniosłem się.

– Mehmed Hajdar nie żyje – mówiłem. – Widziałem jego ciało przy Mikołajewskiej. Miał obcięte uszy i nos.

– Od Baiłowa nadeszli Rosjanie i otoczyli promenadę. Ty wymiotłeś ludzi z placu Dumy.

– Tak – przypomniałem sobie – a potem przyszedł Asadullah i nakazał zaatakować. Z bagnietami i ze sztyletami ruszyliśmy naprzód. Śpiewałeś modlitwę *Ja sin*.

– A ty... ty piłeś krew wrogów. A wiesz, kto stał na rogu ulicy Aszum? Cały klan Nachararianów. Wszyscy zginęli.

– Zginęli – powtórzyłem. – Wystawiłem na dachu Domu Aszum osiem karabinów maszynowych. Kontrolowaliśmy całą okolicę...

Zajd Mustafa pocierał sobie czoło. Twarz miał jak posypaną popiołem.

– Przez cały dzień słyhać było terkot. Ktoś powiedział, że zginąłeś. Nino to usłyszała, ale milczała. Nie chciała zejść do piwnicy. Siedziała w pokoju i nic nie mówiła, ale karabiny

maszynowe terkotały nieustająco. Nagle zakryła twarz dłońmi i krzyknęła: „Nie chcę już, ja już nie chcę!”. Karabiny nadal robiły swoje, do ósmej wieczorem. Wtedy skończyła się amunicja. Wróg tego jednak nie wiedział i myślał, że to jakiś podstęp. Musa Nagi też zginął, Lalaj go udusił...

Milczałem. Tekin z pustyni czerwonego piasku wpatrywał się w gwiazdy. Jego kolorowy jedwabny kaftan lekko łopotał na wietrze.

– Słyszałem, że brałeś udział w walce wręcz przy Baszcie Ciciszwilego, ale sam tego nie widziałem. Byłem na drugim końcu murów – powiedział Zajd.

– Brałem udział w walce. Była tam jedna czarna skórzana kurtka, przebiłem ją sztyletem i zrobiła się czerwona. Aisza, moja kuzynka, też nie żyje.

Woda była gładka. W łodzi cuchnęło smołą. Łódź nie miała nazwy, tak samo jak wybrzeże pustyni czerwonego piasku. Zajd mówił cicho:

– My, z meczetów, wkładaliśmy ubrania zmarłych, potem chwytałyśmy sztylety i rzucaliśmy się na wroga. Prawie wszyscy zginęli. Mnie Bóg pozwolił przeżyć. Iljas też żyje, ukrywa się na wsi. Wasz dom został tak splądrowany! Nie zostało się nic, żaden dywan, żaden mebel ani naczynie! Tylko nagie ściany.

Zamknąłem oczy. Wszystko we mnie było jednym wielkim bólem. Widziałem wóz z zabitymi, a nocą na nasiąkniętym ropą wybrzeżu zatoki Bibi-Ejbat Nino z tobołkiem. Do brzegu przybiła łódź z człowiekiem z pustyni. Widać było światło latarni z wyspy Nargin. Miasto zniknęło w ciemności. Czarne wieże wiertnicze patrzyły jak groźni strażnicy...

A teraz leżałem otulony baranicą i tępy ból przenikał mi piersi. Pod małym daszkiem leżała Nino. Miała szczupłą i bardzo bladą twarz. Wziąłem jej zimną dłoń i czułem ciche drżenie jej palców.

Za nami, obok Tekina, siedział mój ojciec. Słyszałem wypowiedane przez nich strzępy zdań:

– A więc pan naprawdę uważa, że w oazie Czardzuj można

samowolnie zmieniać kolor oczu?

– Tak, Chanie. Na całym świecie jest tylko jedno miejsce, gdzie ludzie mogą to zrobić – oaza Czardżuj. Pewien święty człowiek przepowiadał...

– Nino – powiedziałem – mój ojciec rozmawia o cudach w oazie Czardżuj. Takim trzeba być, żeby móc znosić ten świat.

– Ja tak nie potrafię – odrzekła Nino – nie potrafię tak. Ali Chanie, kurz uliczny był czerwony od krwi.

Ukryła twarz w dłoniach i bezgłośnie płakała. Ramiona jej się trzęsły... Usiadłem obok niej i myślałem o placu przed wielkim murem, o Mehmedzie Hajdarze, który leżał przy Mikołajewskiej, i o czarnej skórzanej kurtce, która nagle zrobiła się czerwona.

Życie sprawiało ból.

Gdzieś w oddali rozbrzmiewał głos ojca:

– Na wyspie Czeleken podobno są węże?

– Tak, Chanie, niesamowicie długie i jadowite węże. Jednak żadne oko ludzkie ich nie widziało. Tylko pewien święty z oazy Merw opowiadał kiedyś...

Teraz już nie wytrzymałem. Podeszedłem do steru i powiedziałem:

– Ojcie, Azja umarła, nasi przyjaciele nie żyją, a my jesteśmy wygnańcami. Bóg się na nas gniewa, a ty mówisz o wężach na wyspie Czeleken.

Twarz ojca ani drgnęła. Oparł się o niewielki maszt i długo na mnie patrzył.

– Azja nie umarła, przesunęły się tylko jej granice. Na zawsze. Baku jest teraz w Europie. I to nie jest przypadek. W Baku nie było już Azjatów.

– Ojcie, broniłem naszej Azji karabinem maszynowym, bagnetem i sztyletem przez całe trzy dni.

– Jesteś dzielnym człowiekiem, Ali Chanie. Czymże jednak jest odwaga? Europejczycy też są odważni. Ale przecież ani ty, ani ci, którzy razem z tobą walczyli, nie jesteście już Azjatami. Ja nie odczuwam nienawiści do Europy. Europa jest mi obojętna. Ty jej nienawidzisz, bo sam nosisz w sobie jej część. Chodziłeś do rosyjskiej szkoły, znasz łacinę, masz żonę Europejkę. Czy ty jeszcze

jesteś Azjata? Gdybyś zwyciężył, to sam, chcąc nie chcąc, zaprowadzałbyś w Baku Europę. Obojętne, czy nowe drogi zbudujemy my, czy Rosjanie, obojętne, kto postawi nowe fabryki. Dłużej już nie dało się utrzymać tego stanu. Człowiek nie jest dobrym Azjata tylko dlatego, że kierowany żądzą krwi zabija mnóstwo wrogów. To daleko nie wszystko...

– To kiedy się jest dobrym Azjata?

– Ty jesteś już pół-Europejczykiem, Ali Chanie, dlatego tak pytasz. Nie ma sensu ci wyjaśniać, bo na ciebie działa tylko świat widzialny. Twoja twarz jest zwrócona ku ziemi. Dlatego tak boli cię porażka i dlatego okazujesz swój ból.

Ojciec umilkł. Patrzył przed siebie zamglonym wzrokiem. Jak wszyscy starsi ludzie w Baku i w Persji znał oprócz realnego świata także drugi świat, świat marzeń, w który mógł się wycofać i w którym nic nie mogło go dotknąć. Ja domyślałem się tego świata niemal niezziemskiego spokoju, w którym można było pochować przyjaciół i rozmawiać z Tekinem o cudach oazy Czardżuj. Stukałem do drzwi tego świata, ale nie miałem do niego przystępu. Nazbyt pętała mnie bolesna rzeczywistość.

Sam nie byłem już Azjata. Nikt mi tego nie wyrzucał, ale miałem wrażenie, że wszyscy to wiedzą. Stałem się obcy i tęskniłem do tego, żeby znowu znaleźć się w tym azjatyckim świecie marzeń jak u siebie w domu.

Stałem w łodzi i spoglądałem w czarne lustro wody. Mehmed Hajdar nie żyje, Aisza nie żyje, nasz dom splądrowano.

Małą żaglówką płynąłem do kraju szacha, do wielkiego spokoju Persji.

Nagle obok mnie stanęła Nino.

– Persja – powiedziała i spuściła oczy. – Co my będziemy tam robić?

– Odpoczywać.

– Ach, odpoczynek. Ja chcę spać, Ali Chanie, przez miesiąc albo przez rok. Spać w ogrodzie, gdzie są drzewa z zielonymi liśćmi. I żeby nikt nie strzelał.

– Jedziesz więc do właściwego kraju. Persja śpi od tysiąca lat

i tylko z rzadka ktoś tam strzela.

Poszliśmy pod pokład. Nino natychmiast usnęła. Ja jeszcze długo leżałem, nie zmrużywszy oka, i widziałem sylwetkę Zajda i krople krwi na jego palcach. Modlił się. On również znał ten ukryty drugi świat, który zaczyna się tam, gdzie kończy się świat widzialny.

Gdzieś za wschodzącym słońcem leżała Persja. Docierał do nas jej oddech, kiedy siedzieliśmy w kucki na pokładzie łodzi, jedliśmy suszone ryby i piliśmy wodę. Dziki człowiek z ludu Tekinów rozmawiał z moim ojcem i patrzył na mnie z taką obojętnością, jakbym był przedmiotem.

Wieczorem czwartego dnia na horyzoncie ukazał się żółty pasek. Przypominał chmurę i był Persją. Pasek stawał się coraz szerszy. Zobaczyłem lepianki i skromne zabudowania portu. Bandar-e Anzeli – port szacha. Przybiliśmy do gnijącego drewnianego pirsu. Podszedł do nas jakiś człowiek w surducie i wysokiej baraniej czapce. Na czole połyskiwał mu srebrny lew z uniesioną łapą i wschodzącym słońcem. Za nim wlekli się dwaj portowi policjanci, obdarci i bez butów. Mężczyzna spojrzał wielkimi okrągłymi oczami i powiedział:

– Jak dziecko wita pierwsze promienie słońca w dniu swoich narodzin, tak ja witam was, szlachetni goście. Macie dokumenty?

– Jesteśmy Szyrwanszyrowie – odparł mój ojciec.

– Czy wielki Lew Imperium, Asad es-Saltanah, dla którego otwarte są Diamentowe Wrota cesarza, ma to szczęście i w jego żyłach płynie ta sama krew?

– To mój brat.

Wysiedliśmy. Mężczyzna poszedł z nami. Koło magazynu rzekł:

– Asad es-Saltanah przeczuwał wasze przybycie. Maszyna, którą po was wysłał, jest silniejsza od tygrysa, szybsza od jelenia, piękniejsza od orła i bezpieczniejsza od zamku na skałach.

Wyszliśmy za róg. Na skraju ulicy dyszał stary, zajeżdżony ford z łatanymi oponami. Wsiedliśmy do niego. Szofer miał oczy jak kapitan transkontynentalnego parowca. Za ledwie pół godziny – i udało się wprowadzić tę maszynę w ruch. Ruszyliśmy przez Reszt do Teheranu.

## Rozdział 23

Bandar-e Anzeli, Reszt, ulice i wioski, otoczone podmuchami pustyni. Od czasu do czasu na horyzoncie pojawia się Abi-Jesid, diabelska woda, perska fatamorgana. Wielka droga do Resztu prowadzi wzdłuż koryta rzeki. Sama rzeka wyschła, jej dno jest popękane. W rzekach Persji nie ma wody, jedynie tu i tam zastoiny czy kałuże. Na skalistym brzegu wznoszą się rzucające olbrzymie cienie skały. Przypominają przedpotopowych gigantów – brzuchatych, zaspokojonych i sennych. W oddali rozbrzmiewają dzwonki karawany. Samochód zwalnia. Po stromym zboczu góry stąpają wielbłądy. Przed nimi, z kijem w rękę, przewodnik karawany. Za nim idą ludzie w czarnych ubraniach. Wielbłądy stąpają z wyteżoną siłą. Dzwonki na szyjach kołyszą się powoli. Z grzbietów po obu stronach zwisają podłużne ciemne worki. Materiały z Isfahanu? Wełna z Gilanu? Samochód stoi. Z grzbietów wielbłądów zwisają zwłoki. Sto, dwieście ciał zawiniętych w czarne płótno. Wielbłądy przechodzą tuż obok nas, a ich głowy przypominają gałęzie na wietrze. Przez pustynie i góry, przez biały żar słonych stepów, przez zielone oazy, koło wielkich jezior – przez całą drogę karawana dźwiga swój ciężar. Daleko na zachodzie, przy tureckiej granicy, wielbłądy przyklęką. Urzędnicy w czerwonych fezach będą macać zwłoki, a potem karawana pójdzie dalej, aż do kopuł świętego miasta Karbala. Zatrzyma się przy krypcie męczennika Husajna. Ostrożne ręce zanoszą ciała do grobu, by spoczęły w piaskach Karbali, do czasu, aż trąba archanioła obudzi je ze snu.

Kłaniamy się. Zasłaniamy rękami oczy.

– Pomódlcie się i za nas przy grobie świętego! – wołamy, a przewodnik odpowiada:

– Sami potrzebujemy modlitwy.

I karawana ciągnie dalej, cicha i zjawiskowa jak Abi-Jesid,



fatamorgana wielkiej pustyni...

Jedziemy ulicami Resztu. Drewno i glina przesłaniają horyzont. Tutaj czuje się minione tysiąclecia. Jednym spojrzeniem ogarnia się domy z gliny i wąskie uliczki. Ciasnota uliczek zdradza lęk przed przestrzenią. Wszystko jest jednobarwne, popiół i rozżarzony węgiel. Wszystko jest małe, może z poddania się losowi. Tylko tu i ówdzie z nagłą wynurzają się meczety.

Ludzie w okrągłych, przypominających dynie okryciach głowy, ogolone czaszki. Twarze jak maski.

Wszędzie kurz i brud. Nie żeby Pers lubił ten kurz albo brud – ale pozostawia rzeczy, jakimi są, ponieważ wie, że ostatecznie i tak wszystko przekształci się w proch. Odpoczywamy w małej herbaciarni. Pomieszczenie pachnie haszyszem. Krzywe spojrzenia muskają Nino. Na rogu ulicy stoi okutany w szmaty derwisz z rozrzuconymi włosami, otwartymi ustami i śliną na wargach; w dłoni trzyma pięknie zdobioną miedzianą miseczkę... Patrzy na wszystkich, ale nie widzi nikogo, jakby wsłuchiwał się w coś niewidzialnego i oczekiwał stamtąd jakiegoś znaku. Czuje się od niego ciężar nieznośnego milczenia. Nagle wyskakuje wysoko w górę, ciągle z otwartymi szeroko ustami, i woła:

– Widzę, że na zachodzie wschodzi słońce!

Zgromadzeni drgają.

W drzwiach pojawia się posłaniec gubernatora.

– Jego Ekscelencja wysłał straż ze względu na nagą kobietę.

Ma na myśli Nino, która ma odkrytą twarz. I ta twarz pozostaje nieporuszona, ponieważ Nino nie rozumie po persku. Noc spędzamy w domu gubernatora. Rankiem straż siodła swoje konie; będzie nam towarzyszyć do Teheranu. Ze względu na nagość Nino, jej niezastoniętą twarz, i ze względu na rabusiów buszujących po kraju.

Samochód powoli wlecze się przez pustynię. Kazwin. Ruiny. Szach Szapur gromadził tu wojska. Swój dwór mieli tutaj subtelni Safawidzi, artyści, mecenasi i apostołowie jednocześnie.

Jeszcze osiemdziesiąt, jeszcze siedemdziesiąt, jeszcze sześćdziesiąt kilometrów. Droga wiję się jak wąż. Kafelki na bramie Teheranu są kolorowe, a kolory łagodne i miękkie. Cztery baszty odcinają się od

bieli dalekiego Demawendu. Arabski łuk z mądrym napisem spogląda na mnie jak czarne oko jakiegoś demona. Żebracy z przerażającymi wrzodami, derwisze, wędrowcy w kolorowych łachmanach leżą w kurzu pod wielką bramą. Wyciągają ku nam ręce o smukłych, szlachetnych palcach. Śpiewają o wspaniałości cesarskiego miasta Teheran, a w ich głosach brzmią melancholia i smutek. Oni również przybyli kiedyś pełni nadziei do tego miasta wielu kopuł – a teraz leżą w kurzu, sami prochem i ruiną, i śpiewają melancholijne piosenki o tym mieście, które ich odrzuciło.

Mały samochód sunie przez gąszcz uliczek, przez Tupchane, czyli plac Armatni, przejeżdża obok Diamentowych Wrót cesarskiego pałacu, znowu poza murami, w kierunku podmiejskiej miejscowości Szimran.

Bramy pałacu w Szimran są szeroko otwarte. Wita nas silny zapach róż. Niebieskie kafle ścian są chłodne i przyjazne. Idziemy szybko przez ogród, przechodzimy obok fontanny. Ciemny pokój z zasłoniętymi oknami jest jak chłodny źródło. Oboje z Nino rzucamy się na miękkie poduszki i natychmiast zapadamy w długi, niekończący się sen.

Spaliśmy, budziliśmy się, drzemaliśmy, śniliśmy i spaliśmy dalej. Wspaniale było w tym chłodnym pokoju z zasłoniętymi oknami. Niezliczone poduszki, maty i narzuty pokrywały niskie sofy i podłogę. We śnie słyszeliśmy śpiew słowika. Cudownie było tak drzemać w tym wielkim, spokojnym domu, z dala od wszelkich niebezpieczeństw, z dala od zwietrzałych murów Baku. Od czasu do czasu Nino wzdychała, unosiła się w półśnie i kładła głowę na moim brzuchu. Ja zatapiałem twarz w miękkich poduszkach, które wydzielają słodkawy zapach perskiego haremu. Ogarnęło mnie nieskończone lenistwo. Leżałem godzinami i cierpiałem, bo swędziało mnie nos, a byłem zbyt leniwy, żeby wyciągnąć rękę i się podrapać. W końcu nos przestawał mnie swędzieć sam z siebie i zasypiałem znowu.

Nagle Nino się obudziła, uniosła się i powiedziała:

– Jestem głodna jak wilk, Ali Chanie.

Poszliśmy do ogrodu. Słońce chyliło się ku zachodowi. Fontannę otaczały różane krzewy. Cyprysy wznosiły się ku niebu. Paw z rozłożonym ogonem wpatrywał się w bezruchu w zachodzące słońce. W dali widniał górujący nad okolicą biały czubek wulkanu Demawend. Zaklaskałem w dłonie. W naszą stronę rzucił się eunuch o obrzmiałej twarzy. Z tyłu za nim toczyła się stara kobieta, obładowana dywanami i poduszkami. Usiedliśmy w cieniu cyprysu. Eunuch przyniósł wodę i miskę do mycia i na rozłożonym dywanie ustawił mnóstwo smakołyków kuchni perskiej.

– Lepiej jeść rękami, niż wsłuchiwać się w odgłosy karabinów maszynowych – powiedziała Nino i włożyła dłoń w dymiący ryż.

Eunuch zrobił przerażoną minę i odwrócił wzrok. Wy tłumaczyłem Nino, jak w Persji jada się ryż: trzema palcami prawej ręki. Roześmiała się pierwszy raz od czasu opuszczenia Baku, a mnie ogarnął wielki spokój. Pięknie było w cichym kraju szacha, w pałacu w Szimran, w kraju bogobojnych poetów i mędrców.

Nagle Nino spytała:

– A gdzie przebywają twój stryj i cały jego harem?

– Prawdopodobnie w miejskim pałacu. Jego cztery żony zapewne są razem z nim. A harem? Harem to przecież ten ogród i pokoje, które do niego prowadzą.

– Czyli jednak zostałam zamknięta w haremie. Wiedziałam, że to się stanie – roześmiała się Nino.

Przyszedł drugi eunuch, wysuszony starzec, i zapytał, czy może nam coś zaśpiewać... Podziękowaliśmy mu, nie, nie trzeba. Trzy dziewczyny zrolowały z powrotem dywan, stara kobieta zabrała resztki jedzenia, a mały chłopiec nakarmił pawia.

– Kim są ci wszyscy ludzie, Ali Chanie?

– To służba.

– O Boże, to ile oni tu mają tej służby?

Nie wiedziałem, więc zawołałem eunucha. Długo się namyślał, licząc zapewne, bo w milczeniu poruszał ustami. Okazało się, że haremem zajmuje się dwadzieścia osiem osób.

– To ile kobiet tu mieszka?

– Ile rozkażesz, chanie. W tej chwili tylko ta jedna, która siedzi

obok ciebie. Ale miejsca jest dosyć. Asad es-Saltanah jest ze swoimi żonami w mieście. To jest twój harem. – Ukucnął i ciągnął z godnością: – Ja się nazywam Jahja Kuli. Strzegę twojej czci, Chanie. Umiem czytać, pisać i liczyć... Znam się na wszystkich kwestiach zarządzania i jestem specjalistą od spraw kobiecych. Możesz mi zaufać. Ta kobieta jest, jak widzę, trochę dzika, ale stopniowo nauczę ją dobrych obyczajów. Powiedz mi, kiedy będzie miała swoje dni, to sobie zapiszę. Muszę to wiedzieć, żeby móc oceniać jej nastroje. Bo na pewno ma zmienne nastroje. Sam ją będę mył i golił. Widzę, że ona ma nawet włosy pod pachami. Naprawdę, można tylko ubolewać, jak bardzo w niektórych krajach zaniedbuje się wychowanie kobiet. Jutro ufarbuję jej na czerwono paznokcie, a przed snem obejrzę jej zęby.

– Mój Boże, a to po co?

– Kobiety z zepsutymi zębami mają nieładny zapach z ust. Muszę obejrzeć jej zęby i powąchać oddech.

– O czym on tak papla? – spytała Nino.

– Poleca się jako dentysta. Dość dziwny typ.

Poczułem się nieco zakłopotany i chyba było to słyszalne w moim głosie. Do eunucha powiedziałem:

– Widzę, Jahja Kuli, że jesteś doświadczonym człowiekiem, dobrze obeznanym w sprawach kultury... Tyle tylko, że moja żona spodziewa się dziecka i trzeba ją oszczędzać. Z tego powodu przesuniemy to wychowywanie na czas, kiedy dziecko przyjdzie na świat.

Mówiłem, czując, jak czerwienią mi się policzki. Nino rzeczywiście była w ciąży, a przecież mimo to kłamałem.

– Jesteś mądry, chanie – rzekł eunuch. – Ciężarne kobiety trudno cokolwiek pojmują. Na marginesie, istnieje pewien sposób, żeby to był chłopiec. Ale myślę, że na to mamy jeszcze kilka miesięcy – powiedział, patrząc na szczupłą sylwetkę Nino.

Na werandzie na zewnątrz szurały kapcie kilku osób. Eunuchowie i kobiety robili jakieś tajemnicze znaki. Jahja Kuli poszedł do nich, po czym wrócił z poważną twarzą.

– Chanie, najuczestszy Hafiz Zajd Mustafa Meshedi chce cię

powitać. Nigdy nie pozwoliłbym ci przeszkadzać pośród radości haremu, ale Zajd jest uczonym mężem z rodu Proroka.

Przy imieniu „Zajd” Nino uniosła głowę.

– Zajd Mustafa? – spytała. – Niech przyjdzie, napijemy się wspólnie herbaty.

Reputacja rodu Szyrwanszyrów nie ucierpiała jedynie dlatego, że eunuch nie rozumiał po rosyjsku. To byłoby niewyobrażalne – żona chana podejmuje obcego mężczyznę w haremie.

– Zajd nie może tu wejść, to przecież harem... – powiedziałem nieco zmieszany i zawstydzony.

– Aha, no tak. To takie śmieszne obyczaje. Dobrze, w takim razie przyjmiemy go na zewnątrz.

– Obawiam się, Nino... jak mam ci to powiedzieć... w Persji wszystko wygląda trochę inaczej. To znaczy... Zajd jest przecież mężczyzną.

Oczy Nino zrobiły się okrągłe ze zdumienia.

– Uważasz, że nie mogę się pokazać Zajdowi, temu Zajdowi, który zawiózł mnie do ciebie do Dagestanu?

– Obawiam się, Nino, że przynajmniej na razie...

– Dobrze – odparła z nagłym chłodem. – Ale teraz idź już.

Poszedłem przygnębiony. Usiadłem w wielkiej bibliotece i piłem herbatę z Zajdem. Mówił, że ma zamiar pojechać do swego sławnego stryja do Meszhedu i zatrzymać się tam, dopóki Baku nie zostanie wyswobodzone z rąk niewiernych. Przyznałem, że to dobra myśl. Zajd był uprzejmym człowiekiem, nie pytał o Nino, nawet nie wymienił jej imienia. Nagle otworzyły się drzwi.

– Dobry wieczór, Zajdzie.

Nino mówiła głosem spokojnym, choć nieco zduszonym. Mustafa zerwał się z miejsca, na jego ospowatej twarzy pojawiło się coś w rodzaju strachu. Nino usiadła na macie.

– Herbaty, Zajdzie?

Na zewnątrz szurały w obie strony liczne kapcie, sfrustrowane zapewne tą sytuacją. Honor rodu Szyrwanszyrów został nieodwracalnie pogrzebany, a Zajd potrzebował trochę czasu, by się otrząsnąć z przerażenia.

Uśmiech Nino mówił: „Nie bałam się karabinów maszynowych, to i waszych eunuchów się nie przestraszę”.

W ten sposób spędziliśmy wspólnie czas do późnego wieczora. Zajd był bowiem człowiekiem taktownym.

Przed pójściem spać zbliżył się pokornie eunuch.

– Panie, ukarż mnie, nie powinienem był spuścić jej z oczu. Któż jednak mógł przewidzieć, że ona jest taka dzika. Taka dzika! To ja zawiniłem.

Jego obrzmiąłą twarz przepęłniała skrucha.

## Rozdział 24

Zdumiewające! Kiedy na nasączonym ropą brzegu Bibi-Ejbat umilkły ostatnie wystrzały, myślałem, że już nigdy nie będę szczęśliwy. Cztery tygodnie w pachnących ogrodach Szimranu wystarczyły, bym odzyskał pokój. Byłem jak ktoś, kto odnalazł na nowo swoje miejsce na ziemi, swoją ojczyznę. Wdychając chłodne powietrze Szimranu, żyłem jak roślina.

Z rzadka tylko jeździłem do miasta. Odwiedzałem przyjaciół i krewnych i w towarzystwie służącego snułem się po ciemnym labiryncie teherańskiego bazaru. Wąskie ścieżki, stragany jak namioty, a wszystko to pod parasolem niesamowitego glinianego zadaszania. Szperam w różach, orzechach, dywanach, szalach, jedwabiach i biżuterii. Odkrywam dzbany ze złotymi wzorami, prastarą misterną robotę, safianowe poduszki i oryginalne, rzadko spotykane perfumy. Ciężkie srebrne monety płyną do kieszeni perskiego sprzedawcy. Moi służący są obładowani wszelkimi wspaniałościami Orientu. Wszystko dla Nino – żeby ją nieco rozweselić w tym ogrodzie, żeby jej mała twarzyczka w ogrodzie różanym nie była tak przestraszona.

Służący uginają się pod ciężarem tego wszystkiego, a ja idę dalej. W którymś zakamarku znajduję Korany w safianowej skórze i malowane miniatury: dziewczyna pod cyprysem, a obok książę o oczach jak migdały; król na polowaniu, włócznia i uciekająca sarna. I znowu brzękają srebrne tomany. Nieco dalej przy niskim stoliku siedzą w kucki dwaj kupcy. Jeden wyciąga z obszernej torby jednego tomana i podaje drugiemu. Ten bada go, uważnie oglądając, próbuje zębami, waży na małej wadze, po czym wsuwa do równie obszernej sakwy. Ile razy musi sięgnąć teraz do swojej torby, by za niego zapłacić i wyrównać rachunki! Setki? Tysiące? Może dziesiątki tysięcy... Jego gesty są pełne godności. *Tidżaret!* Handel! Sam Prorok był kupcem.

Bazar wije się jak kręte ścieżki labiryntu. Obok dwóch kupców w budzie kuca mędrzec, przerzucający karty książki. Twarz starca przypomina porośnięty mchem napis skalny, delikatne, długie palce zdradzają wyrozumiałość i pobłażliwość. Z pożółkłych i lekko zbutwiałych kart foliału unosi się zapach róży Szirazu, dźwięk irańskiego słowika, wesoły śpiew, wizja migdałowych oczu i długich rzęs. Wypielegnowana dłoń ostrożnie przewraca karty starej książki.

Szepty, wrzaski, krzyki. Targuję się o subtelne kolory starego kermańskiego dywanu. Nino lubi łagodne linie jak te w przedstawionym tu ogrodzie. Ktoś sprzedaje wodę różaną i olejek różany. W jednej kropli olejku zawiera się zapach tysięcy róż, jak tysiące ludzi w wąskim labiryncie teherańskiego bazaru. Widzę Nino pochylającą się nad miseczką olejku różanego.

Służący stoją zmęczeni obok mnie.

– Zanieście to wszystko natychmiast do Szimranu, ja przyjdę później.

Służący nikną w ludzkim gąszczu. Jeszcze kilka kroków i schylony przechodzę przez niskie drzwi perskiej herbaciarni. Jest tam pełno ludzi, pośrodku mężczyzna z rudą brodą. Z półprzymkniętymi powiekami recytuje miłosny wiersz Hafiza. Słuchacze wzdychają ze słodkiej rozkoszy. Potem ten człowiek czyta z rosyjskiej gazety:

– W Ameryce wynaleziono maszynę, która wypowiedziane słowo czyni słyszalnym na całym świecie. Jego Cesarska Mość, król królów, którego blask przyćmiewa słońce, którego ręka sięga Marsa, a tron przewyższa świat, sułtan Ahmad Szah, podejmuje w swoim pałacu Bagh-e Szah rezydenta panującego obecnie w Anglii monarchy. W Hiszpanii przyszło na świat dziecko z trzema głowami i czterema nogami. Mieszkańcy interpretują to jako zły omen.

Słuchający mlaskają z podziwu językami. Rudowłosa składa gazetę. Znowu rozbrzmiewa piosenka. Tym razem o rycerzu Rustamie i jego synu Sohrabie. Właściwie jej nie słucham. Wpatruję się w złotą, dymiącą herbatę. I myślę, że nie wszystko jest tak, jak być powinno.

Jestem w Persji, mieszkam w pałacu i jestem zadowolony. Nino mieszka w tym samym pałacu i jest całkowicie niezadowolona.



W Dagestanie bez najmniejszego problemu znosiła wszelkie niedostatki i niedogodności, a tutaj odmawia przestrzegania podstawowych zasad perskiej etykiety. Chce chodzić ze mną ulicami, chociaż zakazują tego policyjne przepisy. Mężczyźni i kobiety nie mogą ani wspólnie przyjmować gości, ani razem wychodzić. Prosi mnie, żebym jej pokazał miasto, i denerwuje się na mnie, kiedy chcę jej to wyperswadować.

– Bardzo chętnie pokazałbym ci miasto, Nino, ale nie wolno mi pokazywać temu miastu ciebie.

Patrzy na mnie z wyrzutem tymi swoimi wielkimi, ciemnymi oczami i nie rozumie. Jak mam ją przekonać, że żonie chana naprawdę nie godzi się spacerować po mieście z niezastłoniętą twarzą. Kupuję jej najdroższe materiały.

– Popatrz, Nino, jakie piękne. Jak dobrze chronią twarz przed słońcem i kurzem. Sam chętnie zasłoniłbym sobie twarz.

Nino uśmiecha się smutno i odkłada je na bok.

– Zasłanianie twarzy jest niegodne kobiety, Ali Chanie. Nie mogłabym zachować o sobie dobrego zdania, gdybym się tak ubrała.

Pokazuję jej zarządzenie policyjne. Drze je na kawałki, a ja zamawiam zakryty powóz ze szlifowanymi szybkami.

I w tym powozie jeździłem z nią po mieście. Na placu Armatnim zobaczyła mojego ojca i chciała się z nim przywitać. To było koszmarnie; później wykupiłem połowę bazaru, żeby ją przeprosić...

Siedzę sam i wpatruję się w herbatę.

Nino usycha z nudy, której nie jestem w stanie rozproszyć. Chce spotykać się z kobietami z europejskiego grona. Ale to się nie godzi – żona chana nie może widywać się z kobietami z krajów niewiernych. Tak bardzo będą jej współczuć, że musi znosić mieszkanie w haremie, że naprawdę nie da rady dłużej tego wytrzymać.

Niedawno wybrała się w odwiedziny do moich kuzynek i ciotek. Wróciła do domu cała roztrzęsiona.

– Ali, one chciały wiedzieć, ile razy w ciągu dnia zaszczycasz mnie swoją miłością. Mówią, że przez cały czas jesteś przy mnie. Wiedzą to od swoich mężów. Nie potrafią sobie też wyobrazić, że możemy

zajmować się także innymi rzeczami. Dały mi środek przeciwko demonom i poleciły amulet, który ma mnie chronić przed rywalką. Twoja ciotka Hanum spytała, czy bycie jedyną żoną tak młodego mężczyzny nie jest nazbyt męczące, a wszystkie chciały wiedzieć, jak to robię, że nigdy nie chodzisz do młodych chłopców. Twoja kuzynka Suata chciała koniecznie się dowiedzieć, czy naprawdę nie miałeś nigdy żadnej brudnej choroby. Uważały, że to godne pozazdroszczenia. Ali, czuję się uwalana błotem...

Pocieszałem ją, jak umiałem, ale ona siedziała w kącie jak przestraszone dziecko, trwożnie rozglądając się wokół, i długo nie mogła się uspokoić.

Herbata zupełnie wystygła. Siedzę w herbaciarni, żeby ludzie widzieli, że nie cały czas spędzam w haremie. Nie wypada być ciągle przy żonie. Moi kuzyni już się z tego podśmiewają. Kobiecie należą się tylko określone godziny, pozostałe są dla mężczyzny. Ja jestem jednak dla Nino jedyną rozrywką – jej gazetą, teatrem, kawiarnią, gronem znajomych i mężem w jednej osobie. Dlatego nie mogę jej pozostawiać samej, dlatego kupuję jej tyle rzeczy na bazarze. Tego wieczoru u stryja odbędzie się wielkie przyjęcie na cześć mojego ojca, na którym pojawi się sam syn cesarza. Nino musi pozostać w domu sama, w towarzystwie eunucha, który chce ją wychowywać.

Opuszczam bazar i jadę do Szimranu. W dużej, wyścielonej dywanami sali Nino siedzi przed górą kolczyków, bransolet, jedwabnych szali i buteleczek z perfumami. Całuje mnie cicho i czule, a mnie nagle ogarnia rozpacz. Wchodzi eunuch ze słodyczami i z dezaprobatą patrzy na te prezenty. Kobiety nie należy tak rozpieszczać.

Życie Persa rozpoczyna się w nocy. Nocą ludzie się ożywiają, myśli przychodzą łatwiej, słowa są swobodniejsze. Dzień jest trudniejszy – obciążają go upał, kurz i brud. Nocą budzi się *teszachuet* – niezwykła perska elegancja, którą lubię i podziwiam, a która jest tak całkiem odmienna od świata Baku, Dagestanu czy Gruzji. Była ósma wieczorem, gdy przed naszym domem zatrzymały się piękne powozy, jeden dla mnie, drugi dla ojca. Tak nakazuje etykieta.

Przed każdym powozem trzech peszmedów – heroldów i biegaczy z osadzonymi na długich uchwytach latarniami, których jaskrawe światło padało na ich pełne namaszczenia twarze. W młodości wycinano im śledzionę, a jedynym ich zajęciem w życiu było bieganie przed powozem i wołanie patetycznym tonem: „Uwaaaga!”.

Droga była zupełnie pusta; biegacze mimo to wykrzykiwali regularnie swoje „Uwaaaga!”, bo to także należało do etykiety. Jechaliśmy wąskimi uliczkami, wzdłuż niekończących się glinianych murów, za którymi kryły się koszary albo chaty, pałace albo urzędy. Na ulice wyglądały tylko szare gliniane mury oddzielające życie Persów od niepowołanych spojrzeń.

Sklepione kopuły bazarowych straganów przypominają w świetle księżycy niezliczone balony, trzymane jakąś niewidzialną dłonią. Zatrzymaliśmy się przed szerokim murem, w którym osadzone były kute mosiężne wrota. Wrota się otworzyły i wjechaliśmy na dziedziniec pałacu.

Kiedy odwiedzałem ten dom sam, przy bramie stał jeden stary służący w zniszczonym surducie. Dzisiaj na fasadzie pałacu wisały girlandy i lampiony, a ośmiu ludzi gięło się w ukłonach, gdy powozy zatrzymywały się przy progu.

Wielki dziedziniec podzielony był niskim murem na dwie części. Po drugiej stronie mieścił się harem. Szemrała tam fontanna i śpiewał słowik. W części dla mężczyzn znajdował się zwykły prostokątny basen ze złotymi rybkami.

Wysiedliśmy. Stryj stanął na progu. Drobnią dłonią zasłonił twarz. Pokłonił się nisko i poprowadził nas w głąb domu. Wielka sala ze złożonymi kolumnami i z rzeźbionymi drewnianymi ścianami była pełna ludzi. Widziałem czarne baranie czapki, turbany i szerokie, cienkie szaty z ciemnobrązowego materiału. Pośrodku siedział starszy człowiek o wyraziście orlim nosie, siwych włosach i mocno zarysowanych brwiach – Jego Cesarska Wysokość książę. Kiedy weszliśmy, wszyscy się podnieśli. Przywitaliśmy się najpierw z księciem, następnie ze wszystkimi pozostałymi. Usiedliśmy na miękkich poduszkach, a obecni poszli za naszym przykładem.

Siedzieliśmy tak minutę albo dwie. Potem wszyscy znowu wstaliśmy i pokłoniliśmy się sobie ponownie. Wreszcie usiedliśmy ostatecznie i pograżyliśmy się w dostojnym milczeniu. Służący przynieśli niebieskawe filiżanki z aromatyczną herbatą. Kosze z owocami wędrowały z rąk do rąk, a Jego Cesarska Wysokość przerwał milczenie słowami:

– Odbywałem dalekie podróże i znam wiele krajów. Nigdzie nie ma ogórków ani brzoskwiń dorównujących smakiem tym z Persji.

Obrał ogórek, posypał go solą i jadł powoli i ze smutkiem w oczach.

– Wasza Wysokość ma rację – rzekł mój stryj. – Ja byłem w Europie i ciągle się dziwiłem, jak małe i brzydkie są owoce niewiernych.

– Zawsze kiedy wracam do Persji, oddycham z ulgą – zaczął człowiek, który reprezentował perskie cesarstwo na jednym z dworów europejskich. – Nie ma takiej rzeczy, której my, Persowie, moglibyśmy zazdrościć światu. Właściwie istnieją tylko Persowie i barbarzyńcy.

– Można by doliczyć tylko niektórych Hindusów – rzekł książę. – Kiedy przed laty byłem w Indiach, widziałem godnych uwagi ludzi, którzy osiągnęli niemal nasz poziom kultury. Łatwo się tu jednak pomylić. Pewien dystyngowany Hinduś, którego przez długi czas uważałem za chodzącą doskonałość, okazał się jednak barbarzyńcą. Byłem u niego zaproszony do stołu i – wyobraźcie sobie – on jadł zewnętrzne liście sałaty!

Obecni byli zbulwersowani. Jakiś muła w ciężkim turbanie i z zapadniętymi policzkami powiedział cichym i zmęczonym głosem:

– Różnica między Persami a nie-Persami polega na tym, że tylko my potrafimy docenić piękno.

– To prawda – zgodził się mój stryj. – Dla mnie więcej znaczy piękny wiersz niż hałaśliwa fabryka. Wybaczam herezję Abu Saidowi, ponieważ jako pierwszy wprowadził do literatury rubajjaty, najpiękniejszą naszą formę wiersza. – Odchrząknął i zaczął śpiewnie recytować:

*Te medressé we minaré wirán neschúd  
In kár kalendári bismán neschúd  
Ta imán kafr we káft imán neschúd  
Ek bendé hakikatá musulmán neschúd.*

Jak długo meczet i medresa istnieć będą na Ziemi,  
Tak długo człowiek będzie szukał prawdy na Ziemi.  
Jak długo wiara i niewiara nie staną się jednym na Ziemi,  
Tak długo mądry człowiek nie będzie muzułmaninem na Ziemi.

– Okropne! – rzekł mułła. – Okropne. Ale to brzmienie! –  
I powtórzył z upodobaniem: – *Ek bendé hakikatá musulmán neschúd.*

Wstał, wziął mały srebrny dzbanek na wodę z długą, wąską szyjką  
i zataczając się lekko, wyszedł z pokoju. Po chwili wrócił i postawił  
naczynie na podłodze. Podnieśliśmy się i głośno mu gratulowaliśmy,  
gdyż jego ciało pozbyło się w tym czasie nadmiaru płynów.

– Czy to prawda, Wasza Wysokość, że Wosug ed-Dowle, nasz  
premier, chce podpisać nowy traktat z Anglią?

Księżę się uśmiechnął.

– O to musi pan zapytać Asada es-Saltanaha. Chociaż to  
w zasadzie w ogóle nie jest tajemnicą.

– Tak – powiedział stryj – to bardzo dobry traktat, ponieważ  
dzięki niemu wszyscy barbarzyńcy będą naszymi niewolnikami.

– Dlaczego?

– No cóż, Anglicy kochają pracę, a my kochamy piękno. Oni lubią  
walkę, my wolimy spokój, dzięki temu się dogadaliśmy. Nie musimy  
już się troszczyć o bezpieczeństwo naszych granic, bo to Anglia  
przejmie ochronę granic Iranu, zbuduje drogi, wzniesie gmachy,  
i jeszcze nam za to zapłaci. Ponieważ Anglia wie, ile kultura całego  
świata zawdzięcza Persji.

Młody człowiek obok stryja to był mój kuzyn, Bahram Chan  
Szyrwanszyr. Uniósł głowę i powiedział:

– Jak pan sądzi, czy Anglia chroni nas ze względu na naszą  
kulturę, czy ze względu na naszą ropę?

– I nasza kultura, i ropa mają w świecie poczesne miejsce

i wymagają ochrony – odparł stryj obojętnie. – Ale przecież my sami nie możemy być żołnierzami!?

– Dlaczego nie? – Tym razem to ja zadałem pytanie. – Ja na przykład walczyłem za swój naród i nietrudno mi sobie wyobrazić, że mógłbym robić to w dalszym ciągu.

Asad es-Saltanah popatrzył na mnie z dezaprobatą, a księżę odstawił filiżankę z herbatą.

– Nie wiedziałem, że wśród Szyrwanszyrów są żołnierze – powiedział arogancko.

– Ależ, Wasza Wysokość! On był właściwie oficerem!

– To przecież to samo. Oficer! – powtórzył drwiąco i ułożył usta w dzióbek.

Umilkłem. Zupełnie zapomniałem, że w oczach szlachetnie urodzonych Persów bycie żołnierzem oznacza przynależność do niegodnego stanu.

Innego zdania zdawał się jedynie kuzyn Bahram Chan. Był jeszcze młody. Muszir ed-Dowle, dystyngowany dostojnik siedzący obok księcia, wyjaśnił mu drobiazgowo, że Iran, nad którym swoją opiekę roztacza Bóg, nie potrzebuje już miecza, żeby błyszczeć w świecie. Iran w przeszłości dowiódł dzielności i odwagi swoich synów.

– W skarbcu króla królów – zakończył – jest globus ze złota. Na nim różnymi szlachetnymi kamieniami zaznaczono wszystkie kraje świata. Jednakże tylko powierzchnia Iranu pokryta jest najczystszyimi diamentami. To więcej niż symbol – to szczerą prawdą.

Pomyślałem o obcych żołnierzach okupujących ten kraj i o obdartych policjantach w porcie Anzeli. Tu była Azja, która składała broń przed Europą w obawie, że sama się zeuropeizuje. Księżę pogardzał rzemiosłem żołnierskim, a przecież był następcą tego szacha, pod którym mój przodek zwycięsko wkraczał do Tyflisu. Wtedy Iran potrafił jeszcze nosić broń, nie tracąc przy tym twarzy. Czasy się zmieniły. Iran podupadał jak w epoce oddanych sztuce Safawidów. Księżciu miłszy był wiersz niż karabin maszynowy, może też dlatego, że lepiej się znał na poezji. Księżę był stary, stryj również. Iran umierał, ale umierał z wdziękiem.

Przyszedł mi do głowy wiersz Omara, budowniczego namiotów:

*Jest wielka szachownica z nocy i dni, i lat,  
Na której los niepewnym przeznaczeniem gra.  
Stawia ludzi na polach, potem szach i mat  
I kładzie tam każdego, gdzie ów wcześniej stał.*

Nie zauważyłem, że w zamyśleniu wypowiedziałem ten wiersz na głos. Twarz księcia się rozjaśniła.

– Żołnierzem był pan zapewne tylko przez przypadek? – zapytał łaskawie. – Jest pan przecież wykształconym człowiekiem. Gdyby miał pan wolny wybór, to naprawdę wybrałby pan zawód żołnierza?

Pokłoniłem się.

– Co bym wybrał, Wasza Wysokość? Tylko cztery rzeczy: usta jak rubiny, dźwięki gitary, mądre nauki i czerwone wino.

Sławny wiersz Dakikiego zapewnił mi przychylność wszystkich zgromadzonych. Nawet muła o zapadniętych policzkach uśmiechał się życzliwie.

Było już koło północy, gdy otworzyły się drzwi do sali jadalnej. Weszliśmy. Na dywanach rozłożono nieskończenie długi obrus. W kątach stali bez ruchu służący z lampionami. Na obrusie leżały duże białe i płaskie chleby. Pośrodku wznosiła się ogromna mosiężna misa z pilawem. Obrus pokrywało mnóstwo różnej wielkości misek i miseczek. Zajęliśmy miejsca i jedliśmy różne potrawy. Każdy brał to, co mu odpowiadało, i w takiej kolejności, jaką uznał za właściwą. Jedliśmy szybko, jak nakazuje dobry obyczaj, gdyż jedzenie to jedyna rzecz, którą Pers robi szybko. Pośrodku sali dymiła góra ryżu. Muła odmówił krótką modlitwę.

Obok mnie siedział mój kuzyn Bahram Chan. Jadł niewiele i z ciekawością na mnie popatrywał.

– Podoba ci się w Persji?

– Tak, bardzo.

– Jak długo chcesz tu pozostać?

– Do czasu, gdy Turcy zdobędą Baku.

– Zazdroszczę ci, Ali Chanie. – W jego głosie brzmiał podziw. Zwinął jeden chlebek pita i wypełnił go gorącym ryżem. – Siedziałeś z karabinem maszynowym i widziałeś łzy w oczach swoich wrogów. Miecz Iranu zardzewiał. Ubóstwiamy wiersze, które Ferdousi napisał tysiąc lat temu, i potrafimy odróżniać wersy Dakikiego od Rudakiego, ale nikt z nas nie wie, w jaki sposób buduje się drogę dla samochodów albo jak się dowodzi pułkiem.

– Drogę dla samochodów – powtórzyłem, przypominając sobie oblaną światłem księżyca drogę wśród arbuzów. Właściwie to dobrze, że nikt w Azji nie potrafił budować dróg dla samochodów. Inaczej koń z Karabachu w życiu nie dogoniłby europejskiego samochodu. – Do czego są ci potrzebne drogi dla samochodów, Bahram Chanie?

– Żeby móc przewozić żołnierzy samochodami ciężarowymi. Chociaż ministrowie uważają, że w ogóle nie potrzebujemy żołnierzy, to nieprawda. Potrzebujemy ich! Potrzebujemy broni maszynowej, szkół, szpitali, uporządkowanego systemu podatkowego, nowych ustaw i ludzi takich jak ty. Akurat najmniej potrzebne są nam stare wiersze, przy których nostalgicznym brzmieniu Iran upada. Ale istnieją też inne pieśni. Znasz ten wiersz poety Aszrafa mieszkającego w Gilanie? – Nachylił się ku mnie i zaczął cicho recytować:

*Cierpienie i troski opadły naszą ojczyznę.  
Wstań więc i pójdź za trumną Iranu.  
Młodość zginęła w Persji żałobnym orszaku,  
Krew zabarwiła księżyc, pola, wzgórza i doliny.*

– Paskudne rymy, powiedziałały księżę. Uraziłbyś głęboko jego zmysł artystyczny.

– Jest jeszcze piękniejszy wiersz – powiedział Bahram zadziornie – a jego autorem jest Mirza Aga Chan. Posłuchaj tylko:

*Niech Iran nigdy nie doczeka chwili,*



*Gdy wróg niewierny nad nim zapanuje.  
Irańska narzeczona nie jest dla Rosjanina  
Ani dla angielskiego lorda jej nieziemskie piękno.*

– Niezłe – przyznałem i uśmiechnąłem się, bo młoda Persja różniła się od starej głównie złymi wierszami. – Powiedz jednak, Bahram Chanie, co ty właściwie chcesz uzyskać?

Kuzyn siedział sztywno na jasnoczerwonym dywanie i mówił:

– Byłeś na placu Maidani Sipeh? Stoi tam ze sto zardzewiałych armat, a wyloty ich luf skierowane są na cztery strony świata. Czy wiesz, że w całej Persji nie ma ani jednej armaty oprócz tych przykurzonych zabytków odziedziczonych po wymierającym plemieniu? Ani żadnego zamku, żadnego okrętu wojennego i tak na dobrą sprawę również ani jednego żołnierza poza rosyjskimi kozakami, angielskimi strzelcami i czterystoma grubymi bahadurami ze straży pałacowej? Popatrz tylko na stryja albo na księcia czy na tych wszystkich dostojników ze wspaniałymi tytułami. Mętny wzrok i bezsilne ręce, starzy i zardzewiali jak armaty na tym placu. Oni już długo nie pożyją – i dobrze, najwyższy czas, by odeszli. Zbyt długo nasz los leżał w zmęczonych rękach książąt i poetów. Persja jest jak wyciągnięta dłoń starego żebraka. A ja chciałbym, żeby ta wysuszona dłoń stała się zaciśniętą pięścią młodzieńca. Pozostań tu, Ali Chanie. Nauczyłem się pewnych rzeczy od ciebie. Wiem, że jeszcze niedawno siedziałeś z karabinem maszynowym i broniłeś starych murów Baku, że nocą przy świetle księżycy poderżnąłeś gardło jednemu z nieprzyjaciół. Tutaj jest do obrony więcej niż tylko stare mury. Będziesz też miał niejednego karabin maszynowy. To lepsze niż siedzenie w haremie czy myszkowanie w rozmaitościach bazaru.

Milczałem, zatopiony w myślach. Teheran! Najstarsze miasto świata. Babilończycy nazywali je Roga Rej – królewskim miastem. Pył starych legend, wyblakłe złoto rozpadających się pałaców, piękne kolumny Diamentowych Wrót, wyblakłe linie starych dywanów i ciche rytmy mądrych rubajjatów – wszystko to miałem przed oczami, w przeszłości, teraźniejszości i przyszłości!

– Bahram Chanie – powiedziałem – jeśli osiągniesz swój cel i zbudujesz już te asfaltowe drogi i zamki, a najgorszych poetów wprowadzisz do szkolnych lektur, to co się wtedy stanie z duszą Azji? Gdzie będzie wtedy dusza Azji?

– Dusza Azji? – Uśmiechnął się. – Na końcu placu Armatniego zbudujemy wielki budynek i tam umieścimy duszę Azji: flagi z meczetów, manuskrypty poetów, malarstwo miniaturowe i chłopców do rozrywek, bo oni też są częścią azjatyckiej duszy. A na fasadzie pięknym kufickim pismem napiszemy słowo „Muzeum”. Asad es-Saltanah może być strażnikiem tego muzeum, a Jego Cesarska Wysokość dyrektorem. Pomożesz nam wznieść ten piękny gmach?

– Chcę się nad tym zastanowić, Bahram Chanie.

Jedzenie dobiegało końca. Goście siedzieli na sali w luźnych grupach. Podniosłem się i wyszedłem na zewnątrz, na otwartą werandę. Powietrze było rześkie. Z ogrodu płynął zapach irańskich róż. Usiadłem. Po palcach dłoni spływał mi różaniec, a ja patrzyłem w noc. Po drugiej stronie glinianych sklepień bazaru był Szimran. Tam, wśród dywanów i jedwabnych poduszek, leżała moja Nino. Prawdopodobnie spała z lekko rozchylonymi ustami i zapuchniętymi od płaczu powiekami. Ogarnął mnie głęboki smutek. Żadne skarby bazaru nie były w stanie przywrócić radości jej oczom.

Persja... Mam tutaj zostać? Między eunuchami i książętami, derwiszami i błaznami? Budować asfaltowe drogi, tworzyć waleczne armie i pomagać we wprowadzaniu Europy w coraz głębsze zakątki Azji?

I nagle poczułem, że nic, nic na świecie, nie jest mi droższe niż uśmiech w oczach Nino. Kiedy te oczy ostatnio się śmiały? Kiedyś w Baku, przy zwietrzałym murze. Ogarnęła mnie przemożna tęsknota: widziałem pokryte kurzem mury i słońce zachodzące gdzieś za wyspą Nargin, słyszałem szakale wyjące do księżycy przy Bramie Szarego Wilka. Piasek pustyni pokrywał stopy koło Baku. Tłusta, nasączona ropą ziemia ciągnęła się wzdłuż wybrzeża, przy Baszcie Dziewiczej targowali się handlarze, a ulicą Mikołajewską szło się do liceum królowej Tamary. Pod drzewami na dziedzińcu

liceum stała Nino z zeszytem w ręku i wielkimi, zdziwionymi oczami. Nagle zanikł zapach perskich róż. Całym sobą wzywałem rodzinną ziemię, jak dziecko wzywa matkę, ale gdzieś w środku przebijało się we mnie tępe podejrzenie, że tej rodzinnej ziemi już nie ma. Wyczuwałem czyste pustynne powietrze Baku i lekki zapach morza, piasku i ropy. Nie mógłbym nigdy opuścić tego miasta, w którym mi Bóg pozwolił przyjść na świat. Byłem przywiązany do tych starych murów jak pies łańcuchem do budy. Spojrzałem w niebo. Perskie gwiazdy były wielkie i odległe jak kamienie szlachetne w koronie szacha. Jeszcze nigdy nie doświadczyłem tak wyraźnie jak teraz uczucia, że jestem inny. Że stanowią część Baku i tych starych murów, w których cieniu rozbłyskiwały roześmiane oczy Nino.

Bahram Chan dotknął mojego ramienia.

– Śniesz na jawie, Ali Chanie? Zastanowiłeś się nad moimi słowami? Chcesz razem z nami budować dom nowego Iranu?

– Zazdroszczę ci, kuzynie – odrzekłem – bo tylko wysiedleniec wie, czym jest ojczyzna, rodzinna ziemia. Nie mogę budować Iranu, nie mojego kraju. Mój sztylet wyostrzyłem na murach Baku.

Popatrzył na mnie ze smutkiem.

– Madżnun – powiedział po arabsku, a to znaczy zarówno zakochany, jak i szalony.

Był mojej krwi i odgadł moją tajemnicę. Wstałem. W wielkiej sali dostojnicy kłaniali się wychodzącemu księciu. Widziałem jego chudą dłoń z długimi, wyschniętymi palcami i paznokciami pomalowanymi na czerwono. Nie, nie po to byłem na tym świecie, żeby w przestronnym muzeum z pietyzmem pielęgnować pamięć wersów Ferdousiego, miłosnych westchnień Hafiza czy przepełnionych mądrością aforyzmów Sadiego z Szirazu.

Poszedłem do sali i pochyliłem się nad dłonią księcia. Jego oczy były smutne i nieobecne, wypełniało je przeczucie nadciągającej zguby. Potem pojechałem do Szimranu i po drodze myślałem o placu z pordzewiałymi armatami, o zmęczonych oczach księcia, o pokornej ciszy Nino i o zagadce upadku, od którego nie ma ucieczki.

## Rozdział 25

Kolory na mapie były jaskrawe i mieszały się ze sobą. Nazwy miejscowości, gór i rzek zachodziły na siebie i były mało czytelne. Mapa leżała rozpostarta na niskiej sofie, a ja siedziałem nad nią z kolorowymi chorągiewkami w dłoni. Obok siebie miałem jeszcze rozłożoną gazetę, na której szpaltach nazwy wydrukowano tak samo jak na kolorowej mapie. Pochylałem się nad obiema, próbując jakoś połączyć nieczytelność mapy z oczywistymi błędami gazety. Ustawiałem zielone flagi w małym kręgu, obok którego widniał napis „Jelizawetpol (Gandza)”. Pięć ostatnich liter przykrywało już góry prowincji Zonguldak. Zgodnie z informacjami podawanymi przez gazetę Fath Ali Chan z miasta Choj ogłosił w Gandzy wolną Republikę Azerbejdżanu. Rząd zielonych flag na wschód od Gandzy pokazywał ustawienie armii, którą Enwer wysłał, by oswobodziła nasz kraj. Z prawej strony do miasta Agdasz zbliżały się pułki Nuriego Paszy, z lewej Mursal Pasza zajmował równiny Ilisu, a pośrodku walczyły bataliony ochotników. Teraz mapa była wyraźna i czytelna. Turecki pierścień powoli zaciskał się wokół rosyjskiego Baku.

Jeszcze kilka przesunięć zielonych flag na mapie i czerwone flagi wroga skupią się jedne na drugich na niewielkiej przestrzeni z napisem Baku.

Eunuch Jahja Kuli stał za mną i w napięciu śledził tę dziwną grę, w którą grałem sam ze sobą. Przesuwanie małych flag na kolorowym papierze przypominało mu może sztukę zaklinalnia potężnego czarownika. Być może uważał, że muszę jedynie poustawić zielone flagi na czerwonym kawałku wokół Baku, żeby siły nadprzyrodzone wyrwały moje miasto z rąk niewiernych. Nie chciał mi przeszkadzać w tym tajemniczym dziele, więc możliwie najbardziej monotonnym tonem składał mi obowiązkowe sprawozdanie:

– O chanie, kiedy chciałem jej pomalować paznokcie czerwoną henną, wyróciła miseczkę i podrapała mnie, chociaż wziąłem najdroższą hennę, jakiej można do tego używać. Wczesnym rankiem zaprowadziłem ją do okna, bardzo delikatnie wziąłem ją za głowę i chciałem, żeby otworzyła usta. O chanie, moim obowiązkiem jest przecież obejrzenie jej zębów. Ona się jednak wyrwała, uniosła prawą rękę i uderzyła mnie w policzek. Nie bolało mnie jakoś bardzo, ale mnie zhańbiło. Wybacz swemu niewolnikowi, chanie, ale nie mam odwagi usunąć owłosienia z jej ciała. To bardzo dziwna kobieta. Nie nosi żadnego amuletu i nie zażywa środków, by chronić swoje dziecko. Nie bądź na mnie zły, chanie, jeśli to będzie dziewczynka, bądź zły na Nino Hanum. Ona musi być opętana przez złego ducha, bo się trzęsie, kiedy jej dotykam. Znam pewną starą kobietę przy meczecie Abdul-Asim, która umie wypędzać złe duchy. Może dobrze by było ją tu sprowadzić. Pomyśl, chanie, ona myje twarz lodowato zimną wodą, czym niszczy sobie skórę. Zęby szoruje twardymi szczoteczkami, tak że dźgała jej krwawią, zamiast jak wszyscy ludzie czyścić je prawym palcem wskazującym, wcześniej zanurzonym w pachnącej maści. Takie pomysły może mieć tylko pod wpływem złego ducha.

Słuchałem jednym uchem, o czym mówił. Niemal codziennie zjawiał się w moim pokoju i składał podobne relacje. Jego oczy wyrażały autentyczną troskę, ponieważ był człowiekiem świadomym swoich obowiązków i czuł się odpowiedzialny za moje przyszłe dziecko. Nino prowadziła z nim przebiegłą, ale nieustępliwą walkę. Rzuciła za nim poduszki, spacerowała z odsłoniętą twarzą po murach wokół domu, wyrzucała przez okno jego amulety i pokrywała ściany swoich pokoi zdjęciami wszystkich swych gruzińskich krewnych. Opowiadał mi o tym zasepiony i przestraszony, a wieczorem Nino siadała na szerokim niskim łożu, na którym spaliśmy, i snuła plany starć z eunuchem na następny dzień.

– Jak myślisz, Ali Chanie – mówiła, z namysłem pocierając palcami brodę – czy oblać go nocą wodą z cienkiego szlauchu, czy raczej w ciągu dnia cisnąć za nim kotem? Nie, już wiem, co zrobię.

Będę się codziennie gimnastykować przy fontannie, a on będzie musiał robić to samo, bo jest za tłusty. Albo będę go tak długo łaskotać, aż umrze. Słyszałam, że od łaskotek można umrzeć, a on ma takie łaskotki, że hej.

Snuła mroczne plany zemsty, póki nie zasnęła, a następnego ranka eunuch meldował mi przerażony:

– Ali Chanie, Nino Hanum stoi przy basenie i wykonuje rękami i nogami jakieś dziwaczne ruchy. Ja się boję, panie. Pochyla ciało do przodu i wygina do tyłu, jakby w ogóle nie miała kości. Może oddaje w ten sposób cześć nieznanemu bóstwu. I jeszcze chce, żebym naśladował jej ruchy, ale ja jestem pobożnym muzułmaninem, chanie, i rzucam się w kurzu na ziemię jedynie przed Allahem. Bardzo się obawiam o jej kości i o zbawienie swojej duszy.

Nie było sensu wyrzucać eunucha, bo na jego miejsce przyszedłby inny. W Persji bez eunuchów trudno wyobrazić sobie codzienność. Nikt inny nie może nadzorować kobiet zatrudnionych w domu, nikt inny nie potrafi liczyć, pilnować złota i kontrolować wydatków, tylko eunuch – istota nieprzekupna i pozbawiona pragnień.

Dlatego milczałem i spoglądałem tylko na zieloną linię flag otaczających Baku... Eunuch zakasłał służbowo.

– Czy mam wezwać tutaj tę starą kobietę z meczetu?

– Po co, Jahja Kuli?

– Żeby wypędziła złe duchy z ciała Nino Hanum.

Westchnąłem, bo mądra kobieta z meczetu Abdul-Asim nie sprosta przecież duchowi Europy.

– To nie jest konieczne, Jahja Kuli. Znam się na zaklinaniu duchów i przy okazji się tym zajmę. Teraz jednak cała moja czarodziejska moc skupia się na tych małych zielonych flagach.

W oczach eunucha pojawiły się strach i ciekawość.

– Czy twoja ojczyzna będzie wolna, kiedy te zielone flagi zepchną czerwone? Wtedy będzie wolna, tak, chanie?

– Właśnie tak, Jahja Kuli.

– A nie możesz od razu postawić zielonych flag tam, gdzie trzeba?

– Nie mogę, Jahja Kuli, mojej mocy na to nie wystarczy.

Popatrzył na mnie z troską.

– Powinieneś prosić Boga, żeby dał ci taką moc. W następnym tygodniu rozpoczyna się miesiąc muharram, a jeśli będziesz błagał Boga w miesiącu muharram, to on ci da taką siłę.

Złożyłem mapę. Byłem zmęczony, wszystko mi się plątało i do tego ogarnął mnie smutek. Na dłuższą metę niemiło byłoby słuchać tej paplaniny eunucha. Nino nie było w domu. Jej rodzice przyjechali do Teheranu i spędzała długie godziny w niewielkiej wynajętej willi, w której tutaj mieszkali. Potajemnie spotykała się tam z innymi Europejczykami. Wiedziałem o tym, ale milczałem, bo bardzo mi było jej szkoda. Eunuch stał w bezruchu w oczekiwaniu na moje rozkazy. Pomyślałem o Zajdzie Mustafie. Mój przyjaciel przybył na krótko z Meshedu do Teheranu, ale widywałem go rzadko, bo spędzał całe dni w meczetach, przy grobach świętych i na uczonych rozmowach z obdartymi derwiszami.

– Jahja Kuli – rzekłem w końcu – pojedź do Zajda Mustafy, on mieszka obok meczetu Sepahsalar. Poproś go, by wyświadczył mi ten honor i zaszczycił mnie swymi odwiedzinami.

Eunuch poszedł, a ja zostałem sam. Istotnie nie w mojej mocy pozostawało przestawienie wszystkich zielonych flag do samego Baku. Gdzieś tam w stepach mojej ojczyzny walczyły bataliony Turków, wśród których były też oddziały ochotników z nową flagą Azerbejdżanu. Znałem tę flagę, znałem liczbę oddziałów i bitwy, w których brali udział. W szeregach ochotników walczył Iljas Beg. Tęskniłem za polem bitwy z jego porannym tchnieniem świeżej rosy. Dla mnie jednak droga na front była zamknięta. Granic pilnowały wojska rosyjskie i angielskie. Szeroki most przez rzekę Araks, łączący Iran z terenem działań wojennych, był teraz zamknięty i odgradzony drutem kolczastym oraz wypełniony stanowiskami broni maszynowej i żołnierzami. Iran zaszył się w swoim bezpiecznym spokoju niczym ślimak w domku. Na zakazany teren, gdzie walczone, strzelano i niewiele czasu poświęcano poezji, nie mogła się przedostać żadna żywa istota: ani człowiek, ani nawet mysz czy mucha. Przybywało tu natomiast wielu uchodźców z Baku, wśród których był też Arslan Aga – gadatliwe dziecko o niespokojnych ruchach. Włóczył się po herbaciarniach i pisał

artykuły, w których porównywał zwycięstwa Turków do wypraw Aleksandra Macedońskiego. Jeden z tych artykułów został zakazany, gdyż w tym ubóstwieniu Aleksandra cenzor podejrzewał ukrytą obrazę Persji, niegdyś przez niego pokonanej. Od tamtej pory Arslan uważał się za męczennika cierpiącego z powodu swoich poglądów. Odwiedzał mnie i opowiadał mi ze szczegółami o bohaterskich czynach, jakich miałem dokonać w obronie Baku. W jego wyobraźni wrogowie maszerowali hordami przed lufami mojej broni wyłącznie w tym celu, żebym mógł ich rozstrzelać. On sam spędził czas walk w piwnicy jakiejś drukarni, układając patriotyczne wezwania, z których nikt nie zrobił użytku. Odczytywał mi je i prosił, żebym mu opisał uczucia bohatera podczas bezpośredniego starcia. Zatkąłem mu usta słodyczami i wyprowadziłem na zewnątrz. Pozostały po nim zapach farby drukarskiej i gruby czysty zeszyt, w którym miałem spisać swoje odczucia bohatera z czasu walki. Popatrzyłem na białe karty i pomyślałem o smutnych i nieobecnych spojrzaniach Nino, o swoim skomplikowanym życiu – i chwyciłem za pióro. Nie żeby spisywać przeżycia bohatera w czasie walki, lecz żeby naszkicować drogę, która doprowadziła nas, Nino i mnie, do wonnych ogrodów Szimranu i która zabrała uśmiech jej oczom.

Siedziałem i pisałem ostrym perskim bambusowym piórem. Uporządkowałem luźne notatki, które zacząłem robić jeszcze w szkole, i zobaczyłem całą przeszłość. Zajmowałem się tym aż do chwili, gdy Zajd Mustafa wszedł do pokoju i dotknął mojego ramienia.

– Wiesz, Zajdzie – rzekłem – moje życie się pogmatwało. Mam odciętą drogę na front, Nino przestała się śmiać, a ja zamiast krwi przelewam atrament. Powiedz, co powinienem zrobić?

Przyjaciel patrzył na mnie spokojnie i przenikliwie. Ubrany w czarne szaty, miał wymizerowaną twarz. Jego wychudzone ciało zdawało się garbić pod ciężarem jakiejś tajemnicy. Usiadł i zaczął mówić:

– Samymi rękami niczego nie osiągniesz, Ali Chanie, ale człowiek to przecież coś więcej niż tylko ręce. Spójrz na moje szaty, a zrozumiesz, co mam na myśli. Władza nad ludźmi leży w świecie



Niewidzialnego. Dotknij tajemnicy, a ta władza stanie się także twoim udziałem.

– Nie rozumiem cię, Mustafo. Moja dusza cierpi i szukam drogi wyjścia w ciemności.

– Jesteś zwrócony ku sprawom ziemskim, Ali Chanie, a zapominasz o Niewidzialnym, który nimi kieruje. W sześćset osiemdziesiątym roku, roku ucieczki, pod Karbalą zginął prześladowany przez wrogów wiary Husajn, wnuk Proroka. Był zbawicielem i depozytariuszem tajemnicy. Jego krwią Wszechmocny znaczy wschody i zachody słońca. Nad nami, nad wspólnotą szyitów, panuje dwunastu imamów: pierwszym był Husajn, a ostatnim jest imam dnia ostatniego, Niewidzialny, który jeszcze dzisiaj z ukrycia steruje szyickim ludem. W jego działaniu widoczny, chociaż nieuchwytny, jest ten ukryty imam. Widzę go we wschodzie słońca, w cudzie zasiewu, we wzburzeniu morza. Słyszę jego głos w szczękę broni maszynowej, w westchnieniu kobiety i w powiewie wiatru. A Niewidzialny nakazuje: przeznaczeniem szyitów jest żałoba! Żałoba po krwi Husajna, rozlanej na piaskach pustyni pod Karbalą. Jeden miesiąc w roku poświęcony jest żałobie – to miesiąc muharram. Kto cierpi, ten płacze w miesiącu żałoby. Dziesiątego dnia muharram wypełnia się przeznaczenie szyitów, ponieważ jest to dzień śmierci męczennika... Cierpienie, jakie wziął na siebie Husajn, to cierpienie trzeba złożyć na barki bogobojnych. Kto przyjmie na siebie jakąś część tego cierpienia, ten będzie miał też udział w części łaski. Dlatego bogobojny biczuje się i umartwia w miesiącu muharram, a w bólu samobiczowania objawia się zagubionemu droga łaski i chęć zbawienia. To jest tajemnica miesiąca muharram.

– Zajdzie – powiedziałem zmęczony i rozdrażniony – spytałem cię, w jaki sposób mogę przywrócić swojemu domowi radość, bo ogarnia mnie dziwny lęk, a ty opowiadasz mi mądrości z lekcji religii. Czy mam odwiedzać wszystkie meczety i bić się żelaznymi łańcuchami po ramionach? Jestem pobożny i wypełniam przykazania wiary. Wierzę w tajemnicę Niewidzialnego, ale nie sądzę, że droga do mojego szczęścia prowadzi przez misterium świętego Husajna.

– Ja wierzę, Ali Chanie. Pytałeś mnie o drogę i ja ci tę drogę wskazałem. Nie znam żadnej innej. Iljas Beg przelewa krew na froncie pod Gandżą, a ty nie możesz jechać na front, dlatego poświęć swoją krew Niewidzialnemu, który domaga się tego od ciebie dziesiątego dnia muharram. Nie mów, że ta święta ofiara nie ma sensu, bo w świecie cierpienia wszystko ma sens. Walcz o ojczyznę w miesiącu muharram, jak Iljas walczy o nią pod Gandżą.

Milczałem. Na dziedziniec wjechał powóz ze szlifowanymi szybkami, spoza których niewyraźnie majaczyła twarz Nino. Otworzyły się drzwi do ogrodu haremu i Zajdowi Mustafie zaczęło się nagle bardzo spieszyć.

– Przyjdź jutro do meczetu Sepahsalar, to jeszcze porozmawiamy.

## Rozdział 26

Leżeliśmy na posłaniu i mieliśmy między sobą planszę i pionki z kości słoniowej do gry w nardy. Od kiedy nauczyłem Nino grać w tę perską grę, grywaliśmy w nią regularnie – o srebrne monety, o kolczyki, całusy czy imiona naszych przyszłych dzieci. Nino przegrała, zapłaciła należność i grała dalej. Oczy jej błyszczały z napięcia, a palce dotykały pionków, jakby to były drogocenne klejnoty.

– Chcesz mnie doszczętnie zrujnować, Ali – powiedziała z westchnieniem, przesuwając w moją stronę sześć srebrnych tomanów, które właśnie wygrałem.

Odsunęła planszę, ułożyła głowę na moich kolanach, w zamyśleniu spoglądała w sufit i marzyła. To był piękny dzień – Nino całą wypełniała radość z dokonanej zemsty. A było tak.

Od wczesnego ranka w domu rozlegało się stękanie i jęczenie. Jej wróg Jahja Kuli przyszedł z napuchniętym policzkiem i wykrzywioną bólem twarzą.

– Ząb – jęknął z taką miną, jakby miał za chwilę popełnić samobójstwo.

W oczach Nino zapłonęła iskra triumfu i zainteresowania. Podprowadziła go do okna, zajrzała mu do ust i zmarszczyła czoło, a potem zatroskana pokręciła głową. Wzięła mocną nić szpagatową i owinęła nią bolący ząb eunucha. Drugi koniec nici przywiązała do klamki otwartych drzwi.

– No – powiedziała, podbiegła do drzwi i z całą siłą je zatrzęsnęła.

Rozległ się przeraźliwy krzyk – eunuch runął na podłogę i wpatrywał się w ząb kołyszący się u eleganckiej klamki.

– Powiedz mu, Ali, że to wszystko przez mycie zębów wskazującym palcem prawej ręki.

Przetłumaczyłem jej słowa, a Jahja Kuli zabrał swój ząb. Żądza zemsty, którą płonęła Nino, w dalszym ciągu nie była jednak

zaspokojona.

– Powiedz mu, Ali, że jeszcze długo nie będzie zdrowy. Musi położyć się do łóżka i przez sześć godzin robić sobie okłady na policzki, a później co najmniej przez tydzień nie wolno mu jeść słodczy.

Jahja Kuli przytaknął i odszedł – uwolniony od bólu i wstrząśnięty jednocześnie.

– Wstydzilibyś się tak odbierać biedakowi jedyną radość – rzekłem do niej.

– Ma to, na co zasłużył – odpowiedziała nieczule i przyniosła planszę do nardów. Ale ponieważ przegrała, sprawiedliwość w jakiejś mierze została przywrócona.

Teraz wpatrywała się w sufit, palcami gładząc mi brodę.

– Kiedy zdobędą Baku, Ali Chanie?

– Prawdopodobnie za dwa tygodnie.

– Czternaście dni – westchnęła. – Tęsknię za Baku i za wejściem Turków, wiesz, tak się wszystko pozmieniało. Ty się tutaj bardzo dobrze czujesz, ale ja codziennie jestem tu hańbiona.

– Czemu zaraz hańbiona?

– Cały świat traktuje mnie jak bardzo drogi i kruchy przedmiot. Nie wiem, ile jestem warta, ale nie jestem ani krucha, ani nie jestem przedmiotem. Przypomnij sobie Dagestan! Tam było zupełnie inaczej. Nie, mnie się tutaj nie podoba. Jeśli Baku nie zostanie w najbliższym czasie oswobodzone, to musimy pojechać gdzie indziej. Nie wiem nic o poetach, z których ten kraj jest taki dumny, ale wiem, że w święto Husajna ludzie rozdrapują sobie skórę, uderzają się sztyletami po głowie i biczą sobie ramiona i plecy żelaznymi łańcuchami. Wielu Europejczyków opuszcza miasto, żeby nie patrzeć na to widowisko. To wszystko napełnia mnie odrazą. Czuję się tu wydana na samowolę, która w każdej chwili może mi zagrozić.

Jej delikatna twarzyczka patrzyła w górę, na mnie. Oczy miała głębokie i ciemne jak nigdy dotąd. Żrenice były rozszerzone, a spojrzenie łagodne i skierowane do środka. Oczy Nino zdradzały, że jest w ciąży.

– Boisz się, Nino?  
– Czego? – W jej głosie brzmiało autentyczne zdumienie.  
– Niektóre kobiety bardzo się tego boją.  
– Nie – powiedziała poważnie – nie boję się. Boję się myszy, krokodyli, egzaminów i eunuchów. Ale tego nie. Gdybym się tego bała, musiałabym bać się także kataru w zimie.

Ucałowałem jej chłodne powieki. Podniosła się i odgarnęła włosy.

– Jadę teraz do swoich rodziców, Ali.

Kiwnąłem głową, choć doskonale wiedziałem, że w małej willi Kipianich panują całkiem odmienne zwyczaje niż w haremie. Księżę podejmował tam gruzińskich przyjaciół i europejskich dyplomatów. Nino piła herbatę, jadła angielskie ciasteczka i rozmawiała z konsulem holenderskim o Rubensie i o kwestii kobiecej na Wschodzie.

Poszła, a ja zobaczyłem, jak powóz ze szlifowanymi szybkami wyjeżdża przez bramę. Byłem sam; myślałem o zielonych flagach i tych kilku calach kolorowego papieru, które dzieliły mnie od ojczyzny. W pokoju panował półmrok, a z poduszek na szerokim niskim łożu ciągle unosił się lekki zapach perfum Nino. Osunąłem się na podłogę i sięgnąłem po różaniec. Na ścianie pokoju królował srebrny lew z mieczem w lewej łapie. Popatrzyłem na niego. Srebrny miecz lśnił z daleka, a mnie ogarnęło naraz uczucie całkowitej bezsilności. Wstyd było tak siedzieć w bezpiecznym cieniu srebrnego lwa, gdy w stepach pod Gandżą wykrwawiali się moi pobratymcy. Ja również byłem tutaj przedmiotem. Drogim, strzeżonym i pielęgnowanym przedmiotem. Szyrwanszyrem, który w przyszłości miał uzyskać wysoki tytuł na dworze i wyszukany klasycznym językiem wyrażać wysublimowane uczucia. Tymczasem ludzie z mojego miasta wykrwawiają się tam na równinie pod Gandżą. Wpadłem w poczucie głębokiej beznadziei. Srebrny lew ironicznie spogląda ze ściany. Most graniczny na Araksie jest zamknięty, nie ma też żadnej drogi wiodącej z Iranu do duszy Nino.

Dłubiąc w połączeniach różańca, zerwałem nić i żółte kuleczki potoczyły się po podłodze.

W oddali rozbrzmiały przytłumione dźwięki tamburynu; groziły

i przyzywały jednocześnie, jak przestroga Niewidzialnego. Podszedłem do okna. Ulica była pełna kurzu unoszącego się w nagrzanym powietrzu. Słońce stało prawie prostopadle nad Szimranem. Odgłos kotłów zbliżał się, ich rytmowi towarzyszyły po tysiącokroć powtarzane wołania:

– *Szach-ssé... Wah-ssé...*

Zza rogu wyłoniła się procesja. Nad idącymi czyjeś silne ręce trzymały ogromne flagi przetykane ciężkim złotem. Na jednej z nich wielkimi złotymi literami wypisane było imię Alego, przyjaciela Allaha na Ziemi. Na czarnej powierzchni drugiej flagi odcisnięto szerokie linie lewej dłoni Fatimy, córki Proroka. Na trzeciej, literami, które zdawały się zakrywać niebo, wypisane było tylko jedno słowo: Husajn, imię wnuka Proroka, męczennika i zbawcy.

Tłum powoli kroczył ulicą. Na przedzie szli w czarnych żałobnych strojach pobożni pokutnicy z odsłoniętymi ramionami i ciężkimi łańcuchami w dłoniach. Unosili ręce w takt kotłów i łańcuchy spadały na zaczerwienione i krwawiące ramiona. Za nimi podążali szerokim półkolem – dwa kroki do przodu i jeden do tyłu – barczyści mężczyźni. Wołali silnymi, ochrypłymi głosami: *Szach-ssé... Wah-ssé...* Przy każdym okrzyku zaciśniętymi pięściami uderzali się w owłosione piersi. Po nich, ze zwieszonymi głowami, szli potomkowie Proroka w zielonych pasach swego stanu. Za nimi, w białej szacie śmierci – męczennicy muharram. Z ogolonymi głowami, z długimi sztyletami w rękach. Twarze posępne, zamknięte, jakby zanurzone w innym świecie. *Szach-ssé... Wah-ssé...* Sztylety połyskiwały i ze świstem opadały na ogolone czaszki. Szaty męczenników pokrywała krew. Jeden z nich się zatoczył, więc podbiegli do niego przyjaciele i wynieśli go z tłumu. Na jego ustach widniał błogi uśmiech.

Stałem przy oknie. Ogarnęło mnie jakieś nieznanne dotychczas uczucie. Wołanie przenikało ostrzegawczo moją duszę, całego mnie przepelniało pragnienie poświęcenia się. W ulicznym kurzu widziałem krople krwi, a tamburyn brzmiał zachęcająco i wyzwalająco jednocześnie. To była ona, tajemnica Niewidzialnego, wrota cierpienia, które prowadzą do łaski zbawienia. Zacisnąłem

usta, pochwyciłem mocniej dłonią parapet. Obok mnie przesuwiała się flaga Husajna. Zobaczyłem dłoń Fatimy i wszystko widzialne wokół mnie przestało istnieć. Jeszcze raz usłyszałem głuchy odgłos bębna, równoczesność dzikich okrzyków była już częścią mnie, a teraz nagle ja sam stałem się częścią tego tłumu. Szedłem w kręgu barczystych mężczyzn, uderzając zaciśniętymi pięściami w odsłonięte piersi. Później domyśliłem się wokół siebie ciemnego chłodu meczetu i usłyszałem żalosne nawoływanie imama. Ktoś włożył mi do ręki ciężki łańcuch i poczułem palący ból ramion. Mijały godziny. Miałem przed sobą duży plac, a z mojego gardła dobywał się dziki i pełen uniesienia okrzyk: *Szach-ssé... Wah-ssé...* Przede mną stanął derwisz o dziwacznej twarzy. Spod rozciągniętej skóry prześwitywały mu żebra. Oczy rozmodlonych ludzi pozostawały nieruchome. Śpiewali, a przez plac kroczył koń z pokrwawionym kropierzem – koń młodzieńca Husajna. Derwisz z dziwaczną twarzą krzyknął wysoko i przeciągle. Jego miedziana miseczka pofrunęła na bok, a on rzucił się pod kopyta konia. Zachwiałem się i zatoczyłem. Zaciśnięte pięści łomotały o nagą pierś. *Szach-ssé... Wah-ssé...* Tłum szalał z upojnej radości. Obok mnie przenoszono człowieka w poplamionej krwią białej szacie. Z oddali nadciągnęło morze płonących pochodni i porwało mnie ze sobą. Siedziałem na dziedzińcu jakiegoś meczetu, a ludzie wokół nosili wysokie, okrągłe czapki i mieli łyżki w oczach. Ktoś śpiewał pieśń o młodzieńcu Husajnie, ale zaniósł się w nagłym bólu. Podniosłem się. Tłum płynął z powrotem. Noc była chłodna. Przechodziliśmy obok budynków rządowych i widzieliśmy czarne flagi na masztach. Niekończące się rzędy pochodni przypominały rzekę, w której odbijają się gwiazdy. Zamaskowane postacie wyglądały na rogach ulic. Przy bramach konsulatów stały patrole z postawionymi na sztorc bagnetami. Dachy domów wypełnione były ludźmi. Przez plac Armatni, wzdłuż rzędów rozmodlonych ludzi, ciągnęła karawana wielbłądów. Modlący się wydawali żalosne okrzyki, kobiety rzucały się na ziemię i w bladym świetle księżyca widać było ich ciała skręcające się w drgawkach. W lektykach niesionych przez wielbłądy siedziała rodzina świętego młodzieńca.

Za nimi, na czarnym rumaku, z twarzą skrytą za saraceńską przyłbicą, jechał straszny kalif Jazid, morderca świętego Husajna. Przez plac leciały kamienie i ocierały się o przyłbicę kalifa. Koń ruszył szybciej i kalif skrył się na dziedzińcu hali szacha Nasera ad-Dina. Jutro miało się tam rozpocząć misterium pasyjne młodzieńca Husajna. Na Diamentowych Wrotach pałacu cesarskiego również wisały czarne flagi opuszczone do połowy masztu. Ubrani w żałobne stroje bahadurów stojący na warcie mieli spuszczone głowy. Cesarz był nieobecny, przebywał w swoim letnim pałacu w Bagh-e Szah. Tłum rozlał się po ulicy Ala ed-Dowle i nagle zostałem sam na pustym i pogrążonym w ciemności placu Armatnim. Wyloty luf zardzewiałych dział spoglądały na mnie obojętnie. Ciało mnie bolało, jakbym dostał tysiąc różeg. Dotknąłem ramion i poczułem grubą skorupę krwi. Zakręciło mi się w głowie. Przeszedłem przez plac i zbliżyłem się do pustej dorożki. Dorożkarz popatrzył na mnie pełen zrozumienia i współczucia.

– Weź trochę odchodów gołębi i zmieszaj je z olejem, a potem posmaruj tym rany. To ci pomoże – powiedział ze znawstwem.

Zmęczony oparłem się o poduszki.

– Do Szimran – zawołałem. – Do domu Szyrwanszyrów! Dorożkarz strzelił z bicia. Jechał wyboistymi ulicami, od czasu do czasu odwracając się do mnie.

– Musisz być bardzo pobożnym człowiekiem – powiedział z podziwem. – Pomódl się także i za mnie, bo ja nie mam czasu i muszę pracować. Nazywam się Sorhab Jussuf.

Po twarzy Nino płynęły łzy. Siedziała na łóżku, złożyła bezradnie ręce i płakała, nie zakrywając twarzy. Kąciki ust opadały jej w dół, usta miała otwarte, a między policzkami i nosem porobiły jej się głębokie bruzdy. Zanosila się od płaczu i szloch wstrząsał całym jej ciałem. Nie mówiła ani słowa. Jasne łzy kapały jej z rzes, spadały na policzki i spływały po bezbronnej twarzy. Stałem przed nią, poruszony jej głębokim cierpieniem. Nino siedziała w bezruchu, nie ocierała łez, a jej usta drżały jak jesienne listki na wietrze. Ująłem jej ręce. Były zimne, bez życia i obce. Pocałowałem jej mokre oczy,



a ona spojrzała na mnie nierozumiejąco i nieobecnie.

– Nino! – zawołałem. – Nino, co ty? Co się stało?

Uniosła rękę do ust, jakby chciała je zamknąć. Kiedy ją opuściła, na grzbiecie dłoni widać było wyraźnie ślady zębów.

– Nienawidzę cię, Ali Chanie. – W jej głosie słychać było głębokie przerażenie.

– Nino, ty jesteś chora!

– Nie, ja cię nienawidzę.

Zagryzła dolną wargę i patrzyła oczami chorego i zranionego dziecka. Z odrazą spojrzała na moje podarte ubranie i odkryte, czerwone od razów ramiona.

– O co ci chodzi, Nino?

– Nienawidzę cię.

Umościła się w kącie kanapy, podciągnęła wysoko kolana i oparła na nich brodę. Łzy jak na zawołanie przestały jej płynąć. Spojrzała na mnie smutnymi, cichymi i obcymi oczami.

– Co ja takiego zrobiłem, Nino?

– Pokazałeś mi swoją prawdziwą duszę, Ali Chanie. – Mówiła bezbarwnym głosem, cicho i jak we śnie. – Byłam u rodziców. Piliśmy herbatę i konsul holenderski zaprosił nas do siebie. Jego dom znajduje się przy placu Armatnim. Chciał nam pokazać barbarzyńskie święto Wschodu, więc staliśmy przy oknie, a rzeka fanatyków przepływała obok nas. Słyszałam tamburyn, widziałam te dzikie twarze i było mi niedobrze. „Orgia biczowników”, powiedział konsul i zamknął okno, bo od ulicy cuchnęło potem i brudem. Nagle usłyszeliśmy dzikie krzyki. Wyjrzeliśmy na zewnątrz i zobaczyliśmy pokancerowanego derwisza, który rzucił się pod końskie kopyta. A potem... potem konsul wyciągnął rękę i powiedział zdumiony: „Czy to nie jest...?”. Nie dokończył zdania, ale ja popatrzyłam we wskazanym kierunku i zobaczyłam muzułmanina, który w poszarpanym ubraniu walił się w piersi i biczował sobie łańcuchem ramiona. Tym muzułmaninem byłeś ty, Ali! Ogarnął mnie bezgraniczny wstyd, że jestem twoją żoną, żoną fanatycznego dzikusa. Śledziłam każdy twój ruch i czułam na sobie pełne współczucia spojrzenia konsula. Później chyba piliśmy herbatę

albo jedliśmy, ale ja już niczego nie pamiętam. Z trudem utrzymywałam równowagę, bo nagle zobaczyłam dzielącą nas przepaść. Ali Chanie, młodzieniec Husajn zniweczył nasze szczęście. Widzę cię teraz takiego dzikiego wśród innych zabobonnych dzikusów i już nigdy nie będę umiała zobaczyć cię inaczej.

Umilkła. I siedziała tak, złamana i cierpiąca, ponieważ ja chciałem znaleźć swoje miejsce na ziemi i pokój u Niewidzialnego.

– I co teraz będzie, Nino?

– Nie wiem. Nie możemy już być szczęśliwi. Chcę stąd wyjechać, dokądkolwiek, gdzie będę ci mogła patrzeć w oczy, nie widząc tego opętanego fanatyzmem człowieka z placu Armatniego. Pozwól mi wyjechać, Ali Chanie.

– Dokąd, Nino?

– Nie wiem, nie wiem. – Dotknęła palcami moich poranionych ramion i zapytała z rozpaczą: – Dlaczego ty to zrobiłeś?!

– Ze względu na ciebie, Nino, ale ty tego nie zrozumiesz.

– Nie – potwierdziła ponuro. – Chcę stąd wyjechać. Jestem zmęczona, Ali Chanie. Azja jest odrażająca.

– Kochasz mnie?

– Tak – odpowiedziała zrozpaczona i opuściła ręce na kolana.

Wziąłem ją w objęcia i zaniósłem do sypialni. Rozebrałem ją, a ona wypowiadała bezładne słowa pełna gorączkowego strachu.

– Nino – powiedziałem – jeszcze kilka tygodni i wrócimy do domu, do Baku.

Zmęczona kiwnęła głową i zamknęła oczy. Trzymała moją dłoń i we śnie tuliła ją do swojego boku. Długo tak siedziałem, czując pod ręką jej bijące serce. Potem sam się rozebrałem i położyłem przy niej. Ciało Nino było gorące, spała jak dziecko na lewym boku, z podciągniętymi do góry kolanami i głową schowaną pod kołdrą.

Obudziła się wcześniej, przeskoczyła przeze mnie i poszła do sąsiedniego pokoju. Długo się myła, pluskała wodą i nie pozwalała mi wejść do środka...

Kiedy wreszcie wyszła, wyraźnie unikała moich spojrzeń. W dłoni trzymała miseczkę z maścią. Wcierala mi ją z poczuciem winy.

– Powinieneś był mnie zbić, Ali – odezwała się jak grzeczna

dziewczynka.

– Nie mogłem, przez cały dzień biłem siebie i byłem wyczerpany.

Odłożyła maść, a eunuch przyniósł herbatę. Wypiła ją pospiesznie i patrzyła zażenowana na ogród. Wreszcie spojrzała mi pewnie w oczy i rzekła:

– To nie ma najmniejszego sensu, Ali. Nienawidzę cię i będę cię nienawidzić, jak długo pozostaniemy w Persji. Nie potrafię tego zmienić.

Wstaliśmy, poszliśmy do ogrodu i siedzieliśmy w milczeniu przy fontannie. Paw przechadzał się koło nas z dumą, a powóz mojego ojca jechał z terkotem po dziedzińcu męskiej części domostwa. Nagle Nino przechyliła na bok głowę i powiedziała lękliwie:

– Ale pograć mogę nawet z mężczyzną, którego nienawidzę.

Przyniosłem planszę do nardów i graliśmy ponuro, nie wiedząc, co robić... Potem położyliśmy się płasko na ziemi, pochylając głowy nad wodą w fontannie, i patrzyliśmy na swoje odbicia. Nino włożyła rękę do wody i nasze twarze zniekształciły się w jej poruszonym zwierciadle.

– Nie bądź smutny, Ali Chanie. Ja nie nienawidzę ciebie. Nienawidzę tego obcego kraju i tych obcych ludzi. To minie, gdy tylko znajdziemy się w domu i gdy... – Zbliżyła twarz do samej powierzchni wody, wytrzymała tak przez chwilę, po czym uniosła głowę, a po policzkach spływały jej ku brodzie krople wody. – To zapewne będzie chłopiec, ale do tego jeszcze siedem miesięcy – dodała i wyglądała na trochę dumną i zamyśloną.

Osuszyłem jej twarz i ucałowałem chłodne policzki. Uśmiechnęła się.

Nasz los zależał teraz od pułków maszerujących przez rozgrzaną słońcem równinę Azerbejdżanu w kierunku starego miasta Baku, otoczonego wieżami wiertniczymi i oddziałami wroga.

W oddali znów rozbrzmiały kotły świętego Husajna. Chwyciłem dłoń Nino, zabrałem ją do domu i zamknąłem okno. Przyniosłem gramofon, najmocniejsze igły i nastawiłem płytę z arią o Złotym Cielcu z *Fausta* Gounoda. Była to najgłośniejsza muzyka, jaką miałem – potężny bas Mefistofelesa zagłuszał dudniące odgłosy

bębnów i prastare wołanie: *Szach-ssé... Wah-ssé...*, a Nino tuliła się trwożnie w moich ramionach.

## Rozdział 27

W pierwszych dniach perskiej wiosny armia Enwera zajęła Baku. Wieść ta obiegła bazy, herbaciarnie i ministerstwa. Ostatni obrońcy miasta, wygłodzeni i oddzieleni od swoich, przybywali do portów Persji i Turkiestanu. Opowiadali o czerwonej fladze z białym półksiężycem, łopoczącej zwycięsko nad starą cytadelą. Arslan Aga publikował w teherańskich gazetach fantastyczne opowieści o wejściu Turków, a Asad es-Saltanah zabronił gazet, ponieważ nienawidził Turków i uważał, że robi tym uprzejmość Anglikom. Mój ojciec pojechał do premiera, a ten z pewnym ociąganiem zgodził się na przywrócenie połączeń morskich między Baku a Persją. Wyruszyliśmy do Anzeli, a parowiec „Naser ad-Din” zabrał grupę wypędzonych, którzy wracali do oswobodzonej ojczyzny.

W Baku przy pirsie stali krzepcy żołnierze w wysokich baranich czapkach. Iljas Beg salutował sztyletem, a turecki pułkownik przemawiał, starając się dopasować swoją miękką wymowę ze Sztambułu do surowego brzmienia naszego dialektu. Wprowadziliśmy się do swojego splądrowanego i rozrabowanego domu, a Nino na dni i tygodnie przeobraziła się w gospodynię i panią domu. Omawiała wszystko z cieślami, szukała mebli w sklepach meblowych i z zatroskaną twarzą obliczała długość i szerokość naszego pokoju. Prowadziła tajemnicze narady z architektami i pewnego dnia dom wypełnił się odgłosami robotników i zapachem farby, drewna i zaprawy murarskiej.

W środku całego tego domowego chaosu znajdowała się Nino, rozpromieniona i świadoma odpowiedzialności, miała bowiem wolną rękę w wyborze mebli, stylów i tapet.

Wieczorem relacjonowała zawstydzona i szczęśliwa:

– Nie miej za złe swojej Nino, Ali Chanie. Zamówiłam łóżka, takie prawdziwe łóżka, nie te niskie otomany, jakie mieliśmy dotychczas. Tapety będą jasne, a dywany położymy na podłodze. Pokój

dziecięcy pomalujemy na biało. Wszystko musi być inne niż w perskim haremie.

Zarzuciła mi ręce na szyję i pocierała twarzą o mój policzek, ponieważ miała nieczyste sumienie. Potem odwróciła głowę w bok i wąskim językiem próbowała dotknąć czubka nosa. Tak robiła zawsze przed trudnymi zadaniami życiowymi, przed egzaminami, wizytami u lekarzy albo przed pogrzebami. Przypomniałem sobie święto Husajna i nie protestowałem, choć niełatwo mi było na myśl, że będę musiał stąpać po dywanach i siedzieć przy europejskich stołach. Pozostał mi tylko płaski dach z widokiem na pustynię. Nino nie zaproponowała jego przebudowy.

Dom wypełniły wapno, kurz i hałas. Siedziałem z ojcem na dachu, przechylałem głowę na bok i podobnie jak Nino starałem się dotknąć językiem czubka nosa. W oczach miałem poczucie winy. W oczach ojca widziałem drwinę.

– Nie ma rady, Ali Chanie. Gospodarstwo domowe to sprawa kobieca. Nino dobrze się zachowywała w Persji, chociaż nie było jej tam łatwo. Teraz twoja kolej. Nie zapominaj, co ci powiedziałem – Baku to teraz już Europa. Na zawsze! Chłodny mrok zamkniętych pokoi i czerwone dywany na ścianach będą teraz tylko w Persji.

– A ty, ojcze?

– Ja też będę w Persji. Pojadę tam, gdy tylko powitam na świecie wasze dziecko. Zamieszkam w Szimranie w naszym domu i będę czekał, kiedy i tam dotrą białe tapety i europejskie łóżka.

– Ja muszę pozostać tutaj, ojcze.

Przytaknął z powagą.

– Wiem. Kochasz to miasto, a Nino kocha Europę. Mnie jednak przeszkadza nowa flaga, wrzawa tego nowego państwa i poczucie niewiary i bezbożności, które unosi się nad naszym miastem.

Spokojnie spoglądał przed siebie i nagle wydał mi się bardzo podobny do Asada es-Saltanaha.

– Jestem już starym człowiekiem, Ali Chanie. Nowe budzi mój sprzeciw. Ty musisz tu pozostać, jesteś młody i odważny, a Azerbejdżan będzie cię potrzebował.

W zmierzchu wędrowałem ulicami swojego miasta. Na rogach

stały patrole tureckie, żołnierze byli wyprostowani jak struny i wytrwali. Ich spojrzenia nie wyrażały żadnych myśli. Rozmawiałem z oficerami, którzy opowiadali o meczetach Stambułu i o letnich wieczorach Tatlisu. Na dawnym budynku gubernatorstwa powiewała flaga nowego państwa, a w szkole umieszczono parlament. Zdawało się, że miasto zanurzyło się w życiu przypominającym bal maskowy. Adwokat Fath Ali Chan został premierem i wydawał ustawy, zarządzenia i rozkazy. Mirza Asadullah, brat tamtego Asadullaha, który chciał zabić wszystkich Rosjan w mieście, został ministrem spraw zagranicznych i zawierał układy z krajami sąsiednimi. Mnie także porwało niezwykle poczucie niezawisłości i samodzielności państwa i obudziło we mnie miłość do nowego godła, do mundurów, urzędów i praw. Pierwszy raz w swoim kraju naprawdę byłem w domu. Rosjanie przemykali teraz trwożnie obok mnie, a dawni nauczyciele z gimnazjum kłaniali mi się z głębokim uszanowaniem.

Wieczorem w klubie grano miejscowe melodie, można było siedzieć w czapkach na głowach, a Iljas Beg i ja wspólnie podejmowaliśmy oficerów tureckich, przybywających z frontu i wyjeżdżających na front. Opowiadali o oblężeniu Bagdadu i o wyprawie przez pustynię Synaj. Znali piaskowe wydmy Trypolitanii, brudne drogi Galicji i nawałnice śnieżne w górach Armenii. Pili szampana, nie bacząc na nakazy Proroka, mówili o Enwerze i o przyszłym imperium Turanu, które powinno zjednoczyć wszystkich ludzi pochodzenia tureckiego. Słuchałem ich uważnie i w pełnym oddania zdumieniu, gdyż to wszystko brzmiało tak nieprawdopodobnie i tak mgliście jak jakiś piękny i niezapomniany sen. W ciągu dnia na ulicach rozbrzmiewała muzyka wojskowa. Pasza na koniu, z piersią pokrytą gwiazdami, jechał wzdłuż frontu i oddawał honory fladze. Przepełniały nas duma i wdzięczność, zapomnieliśmy o wszelkich różnicach między sunnitami a szyitami i byliśmy gotowi całować żylastą rękę paszy i umierać za osmańskiego kalifa. Tylko Zajd Mustafa trzymał się na uboczu, a na twarzy miał wypisaną nienawiść i pogardę. Między gwiazdami a półksiężycami pokrywającymi pierś paszy wypatrzył

bułgarski krzyż wojskowy i miał pretensję z powodu symbolu obcej wiary na piersi muzułmanina.

Po paradzie usiedliśmy z Iljasem i Zajdem na promenadzie. Jesienne liście spadały z drzew, a moi przyjaciele kłócili się zapalczywie o zasady, na jakich ma funkcjonować nowe państwo. Po swoich wyprawach i walkach pod Gandzą, po rozmowach z młodotureckimi oficerami i w ogóle wskutek swoich wojennych doświadczeń Iljas Beg powziął głębokie przekonanie, że tylko jak najszybsze reformy europeizujące nasz kraj mogą nas ochronić przed rosyjską inwazją.

– Można budować umocnienia, przeprowadzać reformy, wytyczać i budować drogi, a przy tym pozostać dobrym muzułmaninem! – wołał patetycznie.

Zajd zmarszczył czoło i popatrzył zmęczonymi oczami.

– Idź krok dalej, Iljasie – stwierdził chłodno. – Powiedz, że wolno pić wino, jeść wieprzowinę i być przy tym dobrym muzułmaninem. Bo Europejczycy już dawno odkryli, że wino jest zdrowe, a wieprzowe mięso bardzo pożywne. Oczywiście można mimo to być dobrym muzułmaninem, tylko archanioł na progu raju nie będzie chciał w to uwierzyć.

Iljas się roześmiał.

– Między edukacją i rozwojem a jedzeniem wieprzowiny jest wielka różnica.

– Ale nie między jedzeniem wieprzowiny a piciem wina. Oficerowie tureccy publicznie piją wino i noszą na piersiach krzyże.

– A czy można być dobrym muzułmaninem i sypiać na europejskich łóżkach albo jeść nożem i widelcem? – spytałem Zajda.

Uśmiechnął się niemal z czułością.

– Ty zawsze pozostaniesz dobrym muzułmaninem. Widziałem cię w święto muharram.

Milczałem. Iljas Beg poprawił wojskową czapkę.

– Czy to prawda, że będziesz miał teraz europejski dom, z nowoczesnymi meblami i jasnymi tapetami? – spytał.

– Tak, to prawda.

– To dobrze – powiedział zdecydowanie. – Jesteśmy teraz stolicą.



Do naszego kraju będą przyjeżdżać ambasadorowie obcych państw. Potrzebujemy domów, w których moglibyśmy ich podejmować. Potrzebujemy też dam, które potrafiłyby rozmawiać z damami dyplomatów. Masz odpowiednią żonę, Ali Chanie, a teraz będziesz miał jeszcze odpowiedni dom. Powinieneś pracować w ministerstwie spraw zagranicznych.

Zaśmiałem się.

– Oceniasz mnie, moją żonę i mój dom, jakbyśmy byli końmi mającymi startować w wyścigach międzynarodowego porozumienia. Uważasz, że przebudowuję swój dom jedynie pod kątem naszych interesów międzynarodowych.

– Tak właściwie powinno być – powiedział Iljas twardo, a ja nagle poczułem, że on ma rację, że wszystko powinno teraz służyć temu nowemu państwu, które miało wyrosnąć na tej nieurodzajnej, palonej i nagrzewanej słońcem ziemi Azerbejdżanu.

Poszedłem do domu. Gdy Nino dowiedziała się, że nie mam nic przeciwko parkietom na podłodze i obrazom olejnym na ścianach, zaczęła się cieszyć jak dziecko i śmiać z zadowoleniem jak dawniej w lesie, przy źródle Pechachpür.

W tamtym czasie często wyjeżdżałem konno na pustynię. Oglądałem krwawe zachody słońca i zagrzebywałem się na całe godziny w miękkim piasku. Obok mnie przeciągały tureckie oddziały. Od niedawna oficerowie mieli dziwnie zmieszane i napięte twarze. Hałas czyniony przy budowie własnego państwa przytłumił dla nas odległe odgłosy działań wojny światowej. Gdzieś tam, daleko, daleko stąd, bułgarskie pułki umknęły przed naporem wroga.

– Przełom. Front przerwany – mówili Turcy i nie pili już wina.

Napływały skąpe informacje, które działały jak nagłe uderzenia pioruna. W dalekim porcie Mudros z pancernika „Agamemnon” zszedł przygarbiony mężczyzna – Rauf Bej, minister marynarki wojennej imperium osmańskiego, upoważniony przez kalifa do podpisania rozejmu. Pochylił się nad stołem, napisał swoje nazwisko na kartce, a oczy paszy rządzącego naszym miastem wypełniły się łzami.

Na ulicach Baku jeszcze raz rozbrzmiała pieśń o imperium Turanu, z tym że teraz przypominała raczej marsz żałobny. W rękawiczkach z glansowanej skóry, wyprostowany w siodle jak struna, pasza jechał wzdłuż swoich oddziałów. Twarze Turków były nieruchome i nieprzeniknione. Flagę świętego imperium osmańskiego zwinięto, bębny dudniły, a pasza uniósł rękę w skórzanej rękawiczce do czoła. Kolumny wychodziły z miasta, pozostawiając po sobie bajeczny obraz meczetów Sztambułu, chłodnych pałaców nad Bosforem i chudego mężczyzny, który był kalifem i nosił na barkach płaszcz Proroka.

Kiedy kilka dni później zza wyspy Nargin wyłoniły się pierwsze okręty z angielskimi wojskami okupacyjnymi, stałem właśnie na promenadzie przy plaży. Generał miał niebieskie oczy, krótkie wąsy i szerokie, silne ręce. Miasto zalali Nowozelandczycy, Kanadyjczycy i Australijczycy. Union Jack łopotał obok flagi naszego kraju, a Fath Ali Chan zadzwonił do mnie i poprosił, żebym przyszedł do jego ministerstwa.

Poszedłem. Siedział w głębokim fotelu i patrzył na mnie swoim ognistym spojrzeniem.

– Ali Chanie, dlaczego pan jeszcze nie jest w służbie państwowej?

Sam nie wiedziałem czemu. Popatrzyłem na grube aktówki na jego biurku i od razu zaczęły mnie męczyć wyrzuty sumienia.

– Jestem do dyspozycji, Fath Ali Chanie, wszystko zrobię dla naszego państwa.

– Słyszę, że ma pan małą zdolność do języków obcych. Jak szybko jest się pan w stanie nauczyć angielskiego?

Uśmiechnąłem się zażenowany.

– Nie muszę się uczyć angielskiego, bo już od dawna go znam.

Milczał. Dużą głowę odchylił na oparcie fotela.

– Jak się wie Nino? – spytał nagle, a mnie zdumiało, że premier mojego kraju pozostawia na boku wszelkie nakazy obyczajności i wypytuje o moją żonę.

– Dziękuję, ekscelencjo, moja żona ma się dobrze.

– Czy ona też zna angielski?

– Tak.

Znowu zamilkł, skubiąc tylko swoje szerokie wąsy.

– Wiem, czego pan chce, Fath Ali Chanie. Mój dom będzie gotowy w ciągu tygodnia. W szafie Nino wiszą dziesiątki wieczorowych sukien. Mówimy po angielsku, a rachunki za szampana też sam zapłacę.

Pod wąsem przebiegł przelotny uśmiezek.

– Przepraszam, Ali Chanie, nie chciałem pana obrazić. – Jego oczy złagodniały. – Potrzebujemy takich ludzi jak wy. Naszemu krajowi brakuje ludzi, którzy by mieli europejskie żony, nosili stare tutejsze nazwiska, mówili po angielsku i posiadali domy. Ja na przykład nigdy nie miałem pieniędzy, żeby uczyć się angielskiego, nie mówiąc już o posiadaniu domu czy europejskiej żony.

Wyglądał na zmęczonego. Wziął do ręki pióro.

– Od dzisiaj będzie pan attaché w departamencie Europy Zachodniej. Niech się pan zgłosi do ministra spraw zagranicznych Asadullaha, on panu wytłumaczy, na czym będzie polegała pańska praca. I jeszcze... jeszcze... Ale proszę się nie denerwować... Czy pana dom mógłby być gotowy w ciągu pięciu dni? Sam się wstydzę, że muszę kierować do pana taką prośbę...

– Oczywiście, ekscelencjo – odpowiedziałem zdecydowanie. Miałem przy tym wrażenie, jakbym się złośliwie wypierał starego, wiernego i kochanego przyjaciela.

Poszedłem do domu. Nino miała palce pobrudzone farbą i oblepione gliną. Stała na drabinie i wbijała w ścianę gwóźdź, na którym miał zawisnąć jakiś obraz. Byłaby bardzo zdziwiona, gdybym jej oznajmił, że służy w tej chwili naszemu nowemu państwu. Nie powiedziałem tego, tylko ucałowałem jej brudne paluszki i zgodziłem się na lodówkę do przechowywania zagranicznych win.

## Rozdział 28

„Czy ma pani ciotkę? – Nie, nie mam ciotki, ale mój służący złamał sobie prawą nogę”. „Czy lubi pani podróże? – Tak, lubię podróże, ale wieczorami staram się jeść tylko owoce”.

Zdania z ćwiczeń gramatycznych były tak beznadziejnie głupie! Nino zamknęła książkę.

– Myślę, że angielski to znamy wystarczająco dobrze, żeby przetrwać tę walkę, ale czy ty już kiedyś próbowałaś whisky?

– Nino, mówisz jak autor tych nieszczęsnych ćwiczeń do gramatyki! – zawołałem przerażony.

– Zrozumiałe ogłupienie wywołane przez źle pojętą służbę ojczyźnie, Ali. Kto przychodzi dziś wieczorem? – Jej głos brzmiał pozornie obojętnie.

Wymieniłem nazwiska angielskich urzędników i oficerów, którzy chcieli zaszczyścić dzisiaj nasz dom. Nino spoglądała przed siebie z wyraźną, choć cichą dumą. Dobrze wiedziała, że żaden minister Azerbejdżanu i żaden generał nie miał tego co jej mąż – zadbanej żony o zachodnich manierach, znającej angielski i wywodzącej się z książęcej rodziny. Usuwała niewidoczne pyłki ze swojej sukni wieczorowej i spoglądała w lustro, sprawdzając, jak wygląda.

– Próbowałam tej whisky – powiedziała ponuro. – Jest gorzka w smaku i wyjątkowo obrzydliwa. Pewnie to dlatego miesza się ją z wodą sodową.

Objąłem ją, a ona popatrzyła na mnie z wdzięcznością.

– Prowadzimy dziwne życie, Ali Chanie. Raz zamykasz mnie w haremie, innym razem mam stanowić świadectwo kulturalnego poziomu naszego kraju.

Zeszliśmy na dół, do sali, w której miało się odbyć przyjęcie. Służący, z wcześniej zapewne wystudiowanymi minami, stali pod ścianami, na których wszędzie wisały obrazy, głównie pejzaże i zwierzęta. W rogach pomieszczenia stały miękkie fotele klubowe,

na stołach było mnóstwo kwiatów.

Nino zanurzyła twarz w płatkach róż.

– Pamiętasz, Ali, jak ci kiedyś służyłam, nosząc wodę z doliny do aułu?

– I która służba bardziej ci się podoba?

Nino miała rozmarzone oczy i nie odpowiedziała. Rozległ się dzwonek u drzwi i jej usta drgnęły nerwowo. Byli to jednak tylko jej rodzice i Iljas Beg w pełnej gali. Przeszedł się przez pomieszczenia dla gości i zachwycony pokiwał głową.

– Ja też powinienem się ożenić, Ali Chanie. Może Nino ma jakieś kuzynki?

Staliśmy z Nino przy drzwiach i ściskaliśmy silne angielskie dłonie. Oficerowie byli rośli i mieli czerwonawe twarze. Kobiety nosiły rękawiczki, miały niebieskie oczy i uśmiechały się łaskawie i z ciekawością. Może oczekiwały, że spotkają tu eunuchów i tancerki wykonujące taniec brzucha, z którymi będą musiały rozmawiać. Zamiast tego zobaczyły dobrze ułożoną służbę, która serwowała potrawy z lewej strony, a na ścianach wisiały obrazy z widokami zielonych łąk i koni wyścigowych. Nino zaparł dech w piersi widok pewnego angielskiego podporucznika, który poprosił o pełny kieliszek whisky, a potem opróżnił go, ignorując oferowaną wodę sodową. W pomieszczeniu rozbrzmiewały urywki rozmów, poziomem nieodbiegające od zdań z ćwiczeń gramatycznych.

– Od dawna jest pani mężatką, pani Szyrwanszyr?

– Prawie dwa lata...

– Tak, podróż poślubną odbyliśmy do Persji...

– Mój mąż chętnie jeździ konno... Nie, nie gra w polo...

– Podoba się pani nasze miasto? Bardzo mnie to cieszy...

– Ależ na miłość boską, my nie jesteśmy dzikusami! Wieloletstwo to od dawna już przeszłość w Azerbejdżanie. A eunuchów znam jedynie z powieści.

Nino spojrzała w moją stronę, a jej różowe nozdrza drżały od tłumionego śmiechu. Żona jakiegoś majora zapytała ją nawet, czy była już kiedyś w operze.

– Tak – odpowiedziała łagodnie. – Czytać i pisać też potrafię.

I podała majorowej półmisek z kanapeczkami.

Młodzi Anglicy, urzędnicy i oficerowie, kłaniali się Nino, ich dłonie dotykały jej delikatnych palców, a spojrzenia prześlizgiwały się po odkrytych ramionach mojej żony.

Udawałem, że tego nie widzę, patrzyłem w inną stronę. W kącie stał Asadullah i z całym spokojem palił papierosa. On sam nigdy nie wystawiłby swojej żony na spojrzenia tak wielu obcych mężczyzn. Ale Nino była Gruzinką, chrześcijanką, i była jakby do tego stworzona, by obcy patrzyli na jej ręce, oczy i nagie ramiona.

Ogarnęły mnie wstyd i wściekłość. Moich uszu dobiegały fragmenty rozmów i dźwięczały bezwstydnie i pospolicie. Spuściłem oczy, Nino stała w drugim końcu sali, otoczona obcymi.

– Dziękuję – powiedziała nagle ochryłym głosem. – To bardzo miłe z pana strony.

Uniosłem głowę i zobaczyłem jej zaczerwienioną i przestraszoną twarzączkę. Przeszła przez salę i stanęła przede mną. Dotknęła dłonią mojego rękawa, jakby szukała schronienia.

– Ali Chanie, czujesz się teraz tak jak ja podczas odwiedzin u twoich ciotek i kuzynek w Teheranie. Co mam robić z tyloma mężczyznami? Nie chcę, żeby tyle osób na mnie patrzyło. – Potem odwróciła się i ujęła rękę majorowej. Usłyszałem, jak mówi: – Naprawdę musi pani kiedyś pójść do tutejszego teatru. Akurat teraz tłumaczymy na nasz język Szekspira, w następnym tygodniu odbędzie się premiera *Hamleta*.

Otarłem pot z czoła i pomyślałem o surowych zasadach gościnności. Stare powiedzenie mówiło: „Kiedy do twojego pokoju wchodzi gość, niosąc w ręku odciętą głowę twojego jedynego syna, to także musisz go przyjąć, ugościć i traktować jak gościa”.

Mądra zasada. Niekiedy jednak trudno być jej posłusznym.

Nalewałem whisky i koniak do licznych kieliszków. Oficerowie palili cygara, ale nikt nie kładł nóg na stole, choć tego akurat się spodziewałem.

– Ma pan wspaniały dom, Ali Chanie, i fascynującą żonę. – Młody

oficer przedłużał moją mękę.

Zdziwiłby się prawdopodobnie, gdyby się dowiedział, że nie wymierzyłem mu policzka tylko przez wzgląd na politykę. Niewierny pies ważył się publicznie chwalić urodę mojej żony! Ręka mi drżała, gdy nalewałem mu koniaku, i kilka kropli uroniłem.

W kącie siedział starszy urzędnik z siwymi wąsami i białym kołnierzem smokingu. Podałem mu pieczywo. Miał podłużne żółte zęby i krótkie palce.

– Prowadzi pan bardzo europejski dom, Ali Chanie – powiedział czystym perskim.

– Żyję tak, jak się zwyczajnie żyje w naszym kraju.

Popatrzył na mnie badawczo.

– Wygląda na to, że między Persją a Azerbejdżanem istnieje ogromna przepaść kulturowa.

– Tak, to prawda. Wyprzedzamy Persję o stulecia. Proszę pamiętać, że posiadamy ogromny przemysł i sieć kolei żelaznej. Niestety, rząd rosyjski tłumił nasz rozwój. Mamy zbyt mało lekarzy i nauczycieli. Słyszę, że rząd zamierza wysłać do krajów Europy Zachodniej wielu zdolnych młodych ludzi, żeby nadrobić zaniedbania z czasu, kiedy znajdowaliśmy się pod rosyjskim jarzmem.

Mówiłem jeszcze chwilę w tym duchu, a potem chciałem mu nalać whisky, ale on nie pił.

– Przez dwadzieścia lat byłem konsulem w Persji – powiedział. – Przykro patrzeć, jak zanikają prawdziwe formy kultury orientalnej, jak dzisiejsi ludzie Wschodu starają się dogonić naszą cywilizację i lekceważą obyczaje przodków. Ale może mają rację. Styl ich życia jest w końcu ich prywatną sprawą. W każdym razie przyznaję, że wasz kraj jest tak samo dojrzały do niezależności jak na przykład republiki Ameryki Środkowej. Myślę, że nasz rząd wkrótce uzna państwową niepodległość Azerbejdżanu.

Byłem osłem, ale cel tego wieczoru został osiągnięty. W drugim końcu sali stał, zasłonięty przez rodziców Nino i przez Iljasa Bega, minister spraw zagranicznych, Asadullah. Poszedłem w jego stronę.

– Co mówił ten stary? – spytał gorączkowo Asadullah.

– Powiedział, że jestem osłem, ale że Anglia wkrótce uzna naszą niepodległość.

Mirza Asadullah odetchnął z ulgą.

– Wcale nie jest pan osłem, Ali Chanie.

– Dziękuję, panie ministrze, ja jednak myślę, że jestem.

Uścisnął mi rękę i pożegnał się z gośćmi. Kiedy przy wyjściu całował rękę Nino, usłyszałem, jak szeptała coś do niego z tajemniczym uśmiechem. A on ze zrozumieniem kiwnął głową.

Goście poszli koło północy. W sali cuchnęło cygarami i alkoholem. Wyczerpani i zadowoleni wchodziliśmy schodami na górę. W sypialni ogarnęło nas osobliwe rozbawienie. Nino odstawiła do kąta buty na obcasie, wskoczyła na łóżko i podskakiwała na stojąco, a sprężyny materaca wyrzucały ją w górę. Stroiła miny, marszcząc nos i wypychając do przodu dolną wargę, tak że upodabniała się do małej rozbrykanej małpki. Wydymała policzki, po czym uderzała w nie z całej siły palcami wskazującymi, co powodowało, że powietrze wylatywało z dźwiękiem podobnym do wystrzału.

– Jak ci się podobam jako zbawicielka kraju? – zawołała. Potem zeskoczyła z łóżka, pobiegła do lustra i patrzyła na siebie z podziwem: – Nino Hanum Szyrwanszyr, azerbejdżańska Joanna d’Arc. Fascynuje żony majorów i twierdzi, że nigdy nie widziała eunucha.

Śmiała się i klaskała w swoje drobne dłonie. Miała na sobie jasną wieczorową suknię z głębokim wycięciem na plecach. Okrągłe kolczyki zwisały z jej delikatnych płatków uszu, a sznury pereł na szyi połyskiwały blado w świetle lampy. Miała szczupłe dziewczęce ręce, ciemne włosy opadały jej na kark. Stała przed lustrem i była porywająca w tej swojej niezwyklej nowoczesnej urodzie.

Podszedłem do niej i zobaczyłem w niej europejską księżniczkę o radosnych i zadowolonych oczach. Objąłem ją i miałem wrażenie, że robię to pierwszy raz w życiu. Miała miękką i pachnącą skórę, a zęby połyskiwały za wargami jak białe kamyczki. Usiedliśmy pierwszy raz na brzegu łóżka, a ja trzymałem w ramionach europejską kobietę. Jej długie, delikatne i wywinięte rzęsy dotykały mojego policzka. Zamrugła czule i było tak pięknie jak nigdy



wcześniej. Wziąłem w dłonie jej brodę i z dołu patrzyłem na owal jej twarzy, widziałem wilgotne, spragnione usta i tęskne oczy z półprzymkniętymi powiekami. Głaskałem ją po karku, a jej mała główka opadła bez sił w moje ręce. Twarz Nino wyrażała tęsknotę i oddanie. Zapomniałem o wieczorowej sukni i europejskim łóżku z przyjemnie chłodną pościelą. Przypomniałem sobie, jak wyglądała w dagestańskim aule, na wpół odziana, na wąskiej macie glinianej podłogi. Silnie objąłem ją za ramiona i nagle leżeliśmy w ubraniu na dywanie z Kermanu, obok dumy naszej sypialni – wytwornego europejskiego łóżka. Patrzyłem na twarz Nino na tle subtelnego dywanu i na to, jak jej brwi ściągały się w bolesnym pożądaniu. Słyszałem jej oddech, czułem twardą krągłość jej szczupłych ud i zapomniałem o starym Angliku, o młodych oficerach i o przyszłości naszej republiki.

Później leżeliśmy obok siebie i po prostu patrzyliśmy w sufit.

– Sukienka jest już na nic – stwierdziła Nino i zabrzmiało to jak przyznanie się do wielkiego szczęścia.

Potem, kiedy siedzieliśmy na dywanie, Nino kołysała moją głowę i zastanawiała się:

– Co by na to powiedziała pani majorowa?! Powiedziałyby: „Czyż Ali Chan nie wie, do czego służą łóżka?” – Podniosła się całkiem i nacisnęła swoją małą stópką na moje kolano: – Czy pan attaché zechciałby się rozebrać i zająć miejsce w małżeńskim łożu, jak nakazują zwyczaje panujące w dyplomatycznym świecie? Któż słyszał na świecie o dyplomatach tarzających się po dywanie?

Podniosłem się, śpiący już i ledwie kojarzący, zrzuciłem ubrania i zasnąłem między dwoma prześcieradłami u boku Nino.

Mijały dni i tygodnie. Przychodzili goście, pili whisky i chwalili nasz dom. Nino czarowała swoją gruzińską gościnnością i prezentowała w pełnej krasie właściwą sobie pogodną naturę człowieka lubiącego towarzystwo. Tańczyła z młodymi podporucznikami i rozmawiała ze starszymi kapitanami o artretyzmie. Angielskim damom opowiadała historie z czasów królowej Tamary i pozwalała im trwać w przekonaniu, że ta wielka władczyni rządziła również

Azerbejdżanem. Ja siedziałem w ministerstwie, sam w wielkim pokoju, sporządzałem szkice not dyplomatycznych, czytałem sprawozdania naszych zagranicznych przedstawicieli i popatrywałem na morze. Nino odbierała mnie z pracy, kobieca i pogodna, jak zawsze pełna niewymuszonego wdzięku. Zawarła zaskakującą przyjaźń z ministrem spraw zagranicznych, Asadullahem. Gościła go, kiedy do nas przychodził, a niekiedy nakrywałem ich oboje na jakichś tajemniczych szeptach w najodleglejszych zakątkach naszego domu.

– Czego ty chcesz od Mirzy? – spytałem, a ona uśmiechnęła się i wyjaśniła, że ma ambicję zostania pierwszym kobiecym szefem protokołu dyplomatycznego.

Na moim stole piętrzyły się listy, sprawozdania i memoranda. Budowa nowego państwa postępowała i pięknie tak było przygotowywać pisma na papierze opatrzonym u góry naszym nowym godłem.

Było krótko przed południem, kiedy kurier przyniósł mi gazety. Rozłożyłem nasz dziennik rządowy i na trzeciej stronie zauważyłem swoje nazwisko, a pod nim informację, że „Ali Chan Szyrwanszyr, attaché w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, został przydzielony w tym samym charakterze do naszej ambasady w Paryżu”. Po tym następowało dłuższe zdanie wychwalające moje wyjątkowe zalety i zdradzające autorstwo Arslana Agi.

Zerwałem się z miejsca i pospieszyłem do gabinetu ministra. Zamaszyście otworzyłem drzwi i zawołałem:

– Panie ministrze, co to ma znaczyć?

– Ach, to – uśmiechnął się. – To niespodzianka, przyjacielu. Obiecałem to pańskiej żonie. Razem z Nino będziecie w Paryżu na właściwym miejscu.

Rzuciłem gazetę w kąt i porwała mnie okropna wściekłość.

– Nie – zawołałem – nie ma takiego prawa, które by mnie zmusiło do opuszczenia ojczyzny na wiele lat!

Patrzył na mnie zdumiony.

– Czego pan chce, Ali Chanie? Te zagraniczne posady są najlepszym kąskiem w naszej służbie, a pan nadzwyczajnie się do

tego nadaje.

– Ale ja nie chcę jechać do Paryża i odejdę ze służby, jeśli zechce mnie pan do tego zmusić. Nienawidzę obcego świata, obcych ulic, ludzi i zwyczajów. Ale pan tego nigdy nie zrozumie!

– Nie – odpowiedział uprzejmie – ale jeśli się pan upiera, może pan także pozostać tutaj.

Poszedłem spiesznie do domu. Wbiegłem schodami na górę, nie mogąc złapać tchu.

– Nino – powiedziałem – ja nie mogę, ja po prostu nie mogę.

Była bardzo blada, a ręce jej drżały.

– Dlaczego nie, Ali Chanie?

– Nino, zrozum mnie właściwie. Kocham płaski dach nad swoją głową, pustynię i morze. Kocham to miasto, stary mur i meczety w wąskich uliczkach, a z dala od Wschodu uduszę się jak ryba bez wody.

Na chwilę zamknęła oczy.

– Szkoda – powiedziała bezbarwnie, a mnie serce się krajało na dźwięk tego słowa.

Usiadłem i chwyciłem jej rękę.

– W Paryżu byłbym tak samo nieszczęśliwy jak ty w Persji. Czułbym się tam wydany na obcą samowolę. Przypomnij sobie harem w Szimranie. Europę byłoby mi znosić tak samo trudno jak tobie Azję. Pozostańmy w Baku, gdzie Europa i Azja niepostrzeżenie się zlewają. Nie mogę jechać do Paryża. Tam nie ma meczetów, nie ma starego muru ani Zajda Mustafy. Ja się muszę od czasu do czasu krzepić azjatycką duszą, żeby móc znosić tylu obcych, którzy do nas przybywają. W Paryżu zacząłbym cię nienawidzić, tak samo jak ty nienawidziłaś mnie po święcie muharram. Nie od razu, ale kiedyś, po jakimś karnawale czy balu, zacząłbym cię nagle nienawidzić ze względu na ten obcy świat, do którego mnie zmuszasz. Dlatego pozostanę tutaj, niezależnie od tego, co się ma zdarzyć. Urodziłem się w tym kraju i tutaj chcę umrzeć.

Ona przez cały czas milczała, a kiedy skończyłem, pochyliła się do mnie i głaskała mnie po włosach.

– Wybacz swojej Nino, Ali. Byłam bardzo głupia. Nie wiem, czemu

myślałam, że tobie łatwiej się zmienić niż mnie. Pozostaniemy tutaj i nie będziemy już mówić o Paryżu. Ty będziesz miał swoje azjatyckie miasto, a ja swój europejski dom. – Pocałowała mnie czule, a oczy jej lśniły.

– Czy trudno jest być moją żoną, Nino?

– Nie, Ali Chanie, trzeba tylko mądrości. Trzeba być mądrą kobietą.

Jej palce błądziły po mojej twarzy. Moja Nino była silną kobietą. Wiedziałem, że zniweczyłem najpiękniejsze marzenie w jej życiu.

Wziąłem ją na kolana.

– Nino, kiedy dziecko będzie już na świecie, pojedziemy do Paryża, Londynu, Berlina czy Rzymu. Mamy jeszcze zaległą podróż poślubną. Przez całe długie lato pozostaniemy, gdzie tylko będziesz chciała. I co roku możemy jeździć do Europy, ja przecież nie jestem jakimś tyranem. Mieszkać i żyć chciałbym jednak w kraju, do którego należę, bo jestem dzieckiem naszej pustyni, naszych piasków i naszego słońca.

– Tak – powiedziała – nawet bardzo dobrym dzieckiem. Zapomnijmy więc o Europie. Ale twoje dziecko, które teraz noszę, nie będzie dzieckiem pustyni ani dzieckiem piasku, tylko po prostu dzieckiem Alego i Nino. Zgoda?

– Dobrze – odparłem.

Wiedziałem, co to oznacza. Właśnie zgodziłem się być ojcem Europejczyka.

## Rozdział 29

– Urodziłeś się w wielkich i ciężkich bólach, Ali Chanie. Wtedy jeszcze nie wzywaliśmy do naszych kobiet europejskich lekarzy. – Ojciec siedział przede mną na dachu naszego domu i mówił cichym, nostalgicznym głosem: – Kiedy bóle stały się zbyt silne, daliśmy twojej matce zmielony pył turkusowy i diamentowy. Niewiele to jednak pomogło. Pępowinę położyliśmy na wschodniej ścianie pokoju obok miecza i Koranu, żebyś był pobożny i odważny. Później nosiłeś ją jako amulet na szyi i byłeś zawsze zdrowy. Kiedy miałeś trzy lata, zgubiłeś tę pępowinę i po tym zacząłeś chorować. Początkowo próbowaliśmy odwrócić choroby, stawiając w twoim pokoju słodycze i wino. Wpuściliśmy do pokoju ufarbowanego koguta, ale choroba i wtedy nie odpuściła. W końcu przyszedł mądry człowiek z gór i przyprowadził krowę. Zabiliśmy to zwierzę, a mądry człowiek rozciął jej brzuch i wyjął trzewia, a ciebie włożył do tego brzucha. Kiedy po trzech godzinach cię wyjął, miałeś zupełnie czerwoną skórę. Od tamtej pory byłeś zdrowy.

Z domu dochodził długi, przytłumiony krzyk. Siedziałem prosto i w bezruchu, cały zamieniony w słuch. Krzyk się powtórzył, rozciągnięty i żałosny.

– Teraz cię przeklina – powiedział ojciec spokojnie. – Każda kobieta przeklina męża w godzinach porodu. Dawniej kobieta musiała po porodzie zabić barana i pokropić jego krwią łóżka męża i dziecka, żeby odwrócić nieszczęście, jakiego im życzyła w bolesnych chwilach porodu.

– Jak długo to może trwać, ojczu?

– Pięć, sześć, może nawet dziesięć godzin. Ona ma wąskie biodra.

Zamilkł. Może myślał o swojej własnej żonie, która była moją matką i która zmarła w położu. Nagle wstał.

– Chodź – powiedział i podeszliśmy obaj do czerwonych dywaników do modlitwy leżących pośrodku dachu.

Górne końce dywanów skierowane były w kierunku Mekki, w stronę świętej Kaby. Zdjęliśmy buty, stanęliśmy na dywanach i złożyliśmy ręce, przykrywając wewnętrzną częścią prawej dłoni grzbiet dłoni lewej.

– To wszystko, co możemy zrobić, ale to więcej niż cała mądrość lekarzy. – Pochylił się naprzód i wypowiadał arabskie słowa modlitwy: – *Bismi llahi rrahmani rahim*. W Imię Boga Miłosiernego i Litościwego!...

Poszedłem za jego przykładem. Ukląknę na dywanie, a czołem dotknąłem ziemi.

– *Alhamdu lillahi rabi-l-alamin, arrahmani rahim, maliki jaumi din*. Chwała Bogu, Panu światów, Miłosiernemu i Litościwemu, Królowi Dnia Sądu... – Siedziałem na dywanie z twarzą zakrytą dłońmi. Krzyki Nino dochodziły do moich uszu, ale już mną nie wstrząsały, a usta same wypowiadały wersety Koranu: – *Ijjaka na budu waijjaka nastain*. Oto Ciebie czcimy i Ciebie prosimy o pomoc...

Położyłem ręce na kolanach. Było bardzo cicho i słyszałem szept ojca:

– *Ihdina sirata-Imustaquim sirata lladina anammta alaihim*. Prowadź nas drogą prostą, drogą tych, których obdarzyłeś dobrodziejstwami...

Czerwone linie dywanu modlitewnego rozmyły mi się przed oczami, ponieważ położyłem na nim twarz.

– *Gaira Imagdumi alaihim wala ddalin*. ...nie zaś tych, na których jesteś zagniewany, i nie tych, którzy błędzą...

I tak leżeliśmy w pyle przed obliczem Pana. Wciąż na nowo powtarzaliśmy słowa modlitwy, które Bóg dał niegdyś w Mekce Prorokowi w obcym języku arabskich nomadów. Krzyki Nino umilkły. Siedziałem ze skrzyżowanymi nogami na dywanie z różańcem w rękach, szepcząc trzydzieści trzy imiona Pana.

Ktoś dotknął mego ramienia. Podniosłem głowę, zobaczyłem roześmianą twarz i usłyszałem jakieś niezrozumiałe słowa. Wstałem. Czuję na sobie spojrzenie ojca i powoli zszedłem na dół.

Okna w pokoju Nino były zasłonięte. Zbliżyłem się do łóżka. Nino miała oczy pełne łez i zapadnięte policzki. Uśmiechała się cicho

i nagle powiedziała po tatarsku, językiem naszego ludu, którym ledwie się posługiwała:

– To dziewczynka, Ali Chanie, wspaniała dziewczynka! Jestem taka szczęśliwa!

Chwyciłem jej chłodne dłonie, a ona przymknęła oczy.

– Nie pozwól jej zasnąć, Ali, ona musi jeszcze jakiś czas być przytomna – zalecił ktoś za moimi plecami.

Gładziłem jej wyschnięte usta, a ona patrzyła na mnie – już spokojna i bardzo osłabiona. Kobieta w czarnym fartuchu zbliżyła się do łóżka. Podała mi zawiniątko i wtedy zobaczyłem pomarszczoną laleczkę z malutkimi paluszkami i dużymi oczami. Laleczka płakała, ściągając twarzyczkę.

– Jaka ona piękna – powiedziała Nino zachwycona i rozłożyła palce, naśladując Laleczkę.

Uniosłem rękę i ostrożnie dotknąłem zawiniątka, ale Laleczka nagle umilkła, bo zasnęła z poważną i zmarszczoną twarzyczką.

– Nazwiemy ją Tamara, na cześć patronki mojego liceum – szepnęła Nino, a ja przytaknąłem, bo Tamara to piękne imię, używane zarówno przez chrześcijan, jak i przez muzułmanów.

Ktoś mnie wyprowadził z pokoju. Czuję na sobie zaciekawione spojrzenia. Ojciec wziął mnie za rękę. Wyszliśmy na dziedziniec.

– Pojedziemy konno na pustynię – powiedział. – Nino będzie mogła wkrótce zasnąć.

Wsiedliśmy na konie i pognaliśmy dzikim galopem przez piaszczyste żółte wydmy. Ojciec coś mówił, ale ja z największym trudem zrozumiałem tylko, że próbował mnie pocieszać. Nie wiedziałem dlaczego, gdyż byłem bardzo dumny, że mam taką pomarszczoną śpiącą córkę o zamyślonej twarzy i oczach, które niczego nie wyrażają.

Dni mijały jak kuleczki na sznurze różańca. Nino trzymała Laleczkę przy piersi. Nocą śpiewała jej cicho gruzińskie piosenki i potrząsała w zamyśleniu głową, patrząc na małą, pomarszczoną wersję samej siebie. Wobec mnie była okropna i zarozumiała jak nigdy wcześniej – cóż, byłem tylko mężczyzną, człowiekiem niezdolnym rodić,

karmić i obchodzić się z pieluszkami. Siedziałem w ministerstwie, grzebałem w aktach, a ona łaskawie dzwoniła do mnie i opowiadała o niezwykłych wydarzeniach i wiekopomnych czynach.

– Ali Chanie, Laleczka się uśmiecha i wyciąga rączki w stronę słońca.

– To bardzo mądra Laleczka, Ali Chanie! Pokazałam jej szklaną kulę, a ona wodzi za nią oczami!

– Słuchaj, Ali Chanie, Laleczka rysuje sobie na brzuszku linie. Wydaje się, że jest bardzo zdolna.

Podczas gdy nasza Laleczka rysowała sobie linie na brzuszku i wodziła spojrzeniem za szklaną kulą, w dalekiej Europie dorośli bawili się swoimi zabawkami: granicami, armiami i państwami. Codziennie czytałem o tym w ministerstwie i patrzyłem na mapę, na której kreślono wątpliwe granice przyszłego świata. Tajemniczy ludzie o nazwiskach trudnych do wymówienia siedzieli w Wersalu i decydowali o przyszłości Wschodu. Tylko jeden jedyny generał z Ankary poważił się na rozpaczliwy sprzeciw wobec zwycięzców. Nasz kraj, Azerbejdżan, został uznany przez państwa europejskie za kraj niezawisły. Musiałem włożyć sporo wysiłku w wytłumaczenie zachwyconemu tym faktem Iljasowi Begowi, że w związku z tym bezpowrotnie wyjadą z naszej suwerennej republiki pułki angielskie.

– Nareszcie jesteśmy naprawdę, nieodwołalnie wolni! – Puszył się z dumy. – Nie będzie już nikogo obcego na naszej ziemi!

– Popatrz tutaj, Iljasie. – Podprowadziłem go do mapy. – Naszym naturalnym wsparciem były Turcja i Persja, które teraz nic już nie znaczą. Zawisliśmy w próżni, a z północy napiera na nas sto sześćdziesiąt milionów Rosjan, spragnionych naszej ropy. Jak długo są tu Anglicy, żaden Rosjanin, wszystko jedno, biały czy czerwony, nie odważy się przekroczyć granicy. Kiedy Anglicy się wycofają, to do obrony granic pozostaniemy ty i ja i tych parę pułków, które zdoła wystawić nasz mały kraj.

– No co ty. – Iljas zbagatelizował moje słowa, potrząsając głową. – Mamy przecież dyplomatów, którzy zadbają o podpisanie układów o przyjaźni z Rosjanami. Armia ma co innego do zrobienia. Tutaj – pokazał na południe, na granicę z Armenią – po drugiej stronie są



niepokoje i powstania. Generał Mechmandar, minister wojny, wydał już stosowne rozkazy.

Trudno go było przekonać, że dyplomacja wtedy dopiero ma sens, gdy stoi za nią prawdziwe wsparcie militarne.

Pułki angielskie wyjechały, ulice odświętnie przystrojono flagami, nasze wojska pomaszerowały ku granicy z Armenią, a pod Jalamą, na przejściu granicznym między Rosją a Azerbejdżanem, pozostał jeden patrol graniczny i kilku urzędników. W ministerstwie zaczęliśmy przygotowywać projekty umów zarówno z białymi, jak i z czerwonymi Rosjanami. Mój ojciec wrócił do Persji. Oboje z Nino odprowadziliśmy go do pirsu. Patrzył na nas smutno i nie pytał, czy chcemy pójść w jego ślady.

– Co będziesz robił w Persji, ojczyźnie?

– Prawdopodobnie się ożenię – odpowiedział beznamiętnie i zamyślony ucałował nas uroczyście. – Będę was od czasu do czasu odwiedzał, a gdyby ten kraj miał nie przetrwać... no cóż, mam jeszcze jakieś dobra w Mazandaranie.

Wszedł po trapie na pokład i długo nam machał – nam, ale i potężnej Baszcie Dziewiczej, miastu i pustyni, które szybko zniknęły mu z oczu.

W mieście panował upał, w ministerstwie okna były do połowy zasłonięte. Przybyli wysłannicy rosyjscy, którzy mieli wypisane na twarzach znudzenie i przebiegłość. Obojętnie i w pośpiechu podpisali nieskończenie długi układ, podzielony na paragrafy, akapity i przypisy.

Nasze ulice pokryły kurz i piasek, gorący wiatr kręcił strzępami papieru, a rodzice Nino wyjechali na lato do Gruzji. Pod Jalamą nadal był jeden patrol i kilku urzędników. – Panie ministrze, po drugiej stronie granicy koło Jalamy stoi trzydzieści tysięcy Rosjan – zwróciłem się do Asadullaha.

– Wiem – odrzekł posepnie. – Nasz komendant miasta sądzi, że to manewry.

– A jeśli to nie manewry?

Popatrzył na mnie poirytowany.

– Naszym zadaniem jest zawierać układy. Wszystko inne pozostaje

w ręku Boga.

Przeszedłem ulicami miasta. Widziałem kilku dzielnych gwardzistów z bagnetami na broni, którzy pilnowali gmachu parlamentu. W parlamencie rosyjscy robotnicy grozili strajkiem, jeśli rząd nie zapewni dopływu ropy do Rosji.

Mężczyźni wypełniali kawiarnie, czytali gazety i grali w nardy. Dzieci tarzały się w gorącym kurzu. Miasto zalewał słoneczny żar, a z wieży minaretu rozległo się wołanie:

– Wstańcie do modlitwy! Wstańcie do modlitwy! Modlitwa jest lepsza niż sen!

Ja nie spałem. Leżałem na dywanie z zamkniętymi oczami i wyobrażałem sobie przejście graniczne pod Jalamą zagrożone przez trzydzieści tysięcy Rosjan.

– Nino – rzekłem – jest tak upalnie, a Laleczka nie jest przyzwyczajona do słońca... Ty też kochasz drzewa, cień i wodę. Nie chciałabyś pojechać na lato do rodziców, do Gruzji?

– Nie – odparła. – Nie chcę.

Milczałem, a Nino w namyśle zmarszczyła czoło.

– Ale powinniśmy wyjechać razem, Ali, w mieście jest bardzo gorąco. Masz przecież dobra koło Gandży, dom z ogrodem i winnicami. Pojedźmy tam – ty czujesz się tam jak w domu, a Laleczka będzie miała cień.

Tak rzeczywiście było. Wyjechaliśmy. Wagony pociągu błyszczały, ozdobione naszym nowym azerbejdzańskim godłem.

Od dworca do miasta Gandża wiodła szeroka, pylista i długa droga. Kościoły i meczety otoczone były niskimi domami. Wyschnięte koryto rzeki oddzielało dzielnicę muzułmańską od ormiańskiej, a ja pokazałem Nino kamień, pod którym przed stu laty rosyjskie kule dosięgły mojego przodka Ibrahima. W naszym majątku ociężałe bawoły leżały leniwie i w bezruchu, do połowy zanurzone w zimnej wodzie. Pachniało mlekiem, winogrona były wielkie jak krowie oczy. Chłopi mieli włosy wygolone na środku głowy, a po obu stronach twarzy opadały im długie, zaczesywane do przodu kosmyki. Mały domek z drewnianą werandą otaczały drzewa, a Laleczka śmiała się na widok koni, psów i kur.

Urządziliśmy się w domu i na kilka tygodni zapomniałem o ministerstwie, traktatach i przejściu granicznym pod Jalamą. Leżeliśmy w trawie, Nino żuła gorzkie źdźbła, a jej twarz, opalona słońcem, była pogodna i spokojna jak niebo nad Gandżą. Miała dwadzieścia lat i jak na wyobrażenia Orientu ciągle jeszcze była zbyt szczupła.

– Ali Chanie, ta Laleczka należy tylko do mnie. Następny może będzie chłopiec, jego będziesz miał ty. – A potem snuła szczegółowe plany dotyczące przyszłości Laleczki, w których pojawiały się tenis, Oksford, anglistyka i romanistyka – wszystko według europejskich wzorów.

Milczałem, bo Laleczka była jeszcze bardzo mała, a w pobliżu Jalamy stało trzydzieści tysięcy Rosjan. Bawiliśmy się w trawie i jadaliliśmy na szerokich dywanach w cieniu drzew. Nino pływała w małej rzeczulce, nieco powyżej miejsca, gdzie wylegiwały się bawoły. Przychodzili do nas chłopcy w małych, okrągłych czapczkach, kłaniali się swojemu chanowi i przynosili kosze z brzoskwiniami, jabłkami i winogronami. Nie czytaliśmy gazet i nie otrzymywaliśmy listów, a świat kończył się dla nas na granicy naszego majątku. Było niemal tak pięknie jak w aule w Dagestanie.

Pewnego późnego popołudnia siedzieliśmy w pokoju i nagle usłyszeliśmy z oddali głuchy tętent końskich kopyt. Wyszedłem na werandę i zobaczyłem, że jakaś szczupła postać w czerkieskim surducie zsiada z konia.

– Iljas Beg! – wykrzyknąłem zdumiony i wyciągnąłem ku niemu rękę.

Nie odpowiedział podobnym gestem. Stał w cieniu naftowej lampy z szarą twarzą i zapadniętymi policzkami.

– W Baku są Rosjanie – rzucił spiesznie.

Kiwnąłem głową, jakbym od dawna to wiedział. Nino stała za mną i zdołała tylko zawołać cicho:

– Jak to się stało, mój Boże?

– Nocą przyjechały pociągi z Jalamy, opanowane przez żołnierzy rosyjskich. Otoczyli miasto i parlament się poddał. Wszyscy ministrowie, którzy nie zdołali uciec, zostali uwięzieni, parlament

rozwiązano. Robotnicy rosyjscy opowiedzieli się po stronie swoich rodaków. W Baku nie było żołnierzy, a wojska stały na straconych pozycjach na granicy z Armenią. Zbieram ochotników.

Odwróciłem się. Nino zniknęła w domu, a służący zaprzęgali konie do powozu. Pakowała rzeczy, cicho rozmawiając z Laleczką w języku swoich przodków. Potem ruszyliśmy przez pola, Iljas jechał obok nas. W oddali jaśniały światła Gandży i przez chwilę poczułem się tak, jakby stopiły się we mnie przeszłość i przyszłość. Widziałem Iljasa Bega ze sztyletem za pasem, bladego i poważnego, i Nino, opanowaną i dumną jak kiedyś na polu arbuźów pod Mardakianem.

Nocą dotarliśmy do Gandży. Ulice były pełne ludzi, twarze mieli podniecone i napięte. Na moście odgradzającym od siebie Ormian i muzułmanów stali żołnierze z bronią gotową do strzału. Pochodnie oświetlały flagę Azerbejdżanu na balkonie budynku rządowego.

## Rozdział 30

Siedzę na murze wielkiego meczetu w Gandży. Przede mną stoi talerz zupy, a zmęczeni żołnierze leżą na dziedzińcu. Od rzeki słyhać szcęk broni maszynowej. Jej złowrogie szczenie wpada na dziedziniec meczetu, a życie Republiki Azerbejdżanu za kilka dni dobiegnie końca.

Siedzę na wielkim dziedzińcu na uboczu. Przed sobą mam zeszyt, który wypełniam pospiesznymi zapiskami, które jeszcze raz przywołują i mają utrwalić przeszłość.

Jak to było wtedy, osiem dni temu, w małym hotelowym pokoju w Gandży?

– Ty jesteś szalony – powiedział Iljas Beg.

Była trzecia w nocy i Nino spała w pokoju obok.

– Jesteś szalony – powtórzył i zaczął nerwowo chodzić po pokoju.

Siedziałem przy stole. Zdanie Iljasa Bega było mi najzupełniej obojętne, była to wręcz najmniej dla mnie istotna rzecz na ziemi. Cicho i jak we śnie powiedziałem:

– Pozostanę tutaj. Dołączą do mnie partyzanci i będziemy walczyć. Nie będę uciekał ze swojego kraju.

Iljas Beg stał i patrzył na mnie uparcie i smutno.

– Ali Chanie, razem chodziliśmy do szkoły i tłucliśmy się z Rosjanami na długich pauzach. Jechałem za tobą, kiedy ścigałeś samochód Nacharariana. W swoim siodle zawiozłem do domu Nino, a potem wspólnie walczyliśmy przy Baszcie Ciciszwilego. Teraz musisz uciekać: ze względu na Nino, na siebie, na kraj, który będzie cię może jeszcze raz potrzebował.

– Ty tu zostaniesz, Iljasie, i ja też zostanę.

– Ja zostanę, bo jestem sam na świecie, bo potrafię prowadzić żołnierzy i mam za sobą doświadczenie dwóch wypraw, i tym doświadczeniem mogę służyć krajowi. Ty jedź do Persji, Ali Chanie.

– Nie mogę jechać do Persji, nie mogę też wyjechać do Europy.

Podszedłem do okna. W dole płonęły pochodnie i szczekało żelazo.

– Ali Chanie, nasza republika nie przetrwa nawet tygodnia.

Obojętnie kiwnąłem głową. Niedaleko okna przechodzili ludzie, a ja widziałem, że w rękach mają broń.

Usłyszałem kroki w pokoju obok. W drzwiach stanęła Nino, miała zaspane oczy.

– Nino, ostatni pociąg do Tyflisu odjeżdża za dwie godziny – powiedziałem.

– Tak, Ali, pojedziemy.

– Nie, ty pojedziesz z małą, ja dojadę później. Muszę jeszcze tu pozostać. Ale ty musisz wyjechać. Teraz nie jest tu tak, jak dawniej było w Baku. Wszystko jest inaczej i nie możesz tu pozostać. Teraz masz przy sobie dziecko, Nino.

Mówiłem, a na zewnątrz płonęły pochodnie. Iljas Beg stał w rogu pokoju ze spuszczoną głową.

Oczy Nino w jednej chwili wróciły do rzeczywistości. Podeszła powoli do okna i wyjrzała. Popatrzyła na Iljasa, ale on unikał jej spojrzeń. Wyszła na środek pokoju, przechyliła głowę na bok.

– Laleczka pojedzie, a ty nie chcesz jechać z nami?

– Nie mogę, Nino.

– Twój przodek poległ na moście w Gandzy. Wiem, miałam to na maturze z historii.

Nino usiadła na podłodze i nagle krzyknęła jak ranione zwierzę na progu śmierci. Oczy miała suche, jej ciało drżało. Krzyczała, a Iljas wybiegł z pokoju.

– Ja przecież do was dojadę, Nino. Dojadę na pewno, za kilka dni.

Krzyczała, a na dole ludzie śpiewali dziką pieśń o umierającej republice. Nagle Nino umilkła i tylko patrzyła przed siebie znieruchomiałymi oczami. Potem się podniosła. Wziąłem walizki i zawiniątko z Laleczką. Zeszliśmy w milczeniu na dół, gdzie w powozie czekał na nas Iljas Beg. Tłocznymi ulicami jechaliśmy na dworzec.

– Trzy, cztery dni, Nino – mówił Iljas. – Tylko trzy lub cztery dni i Ali Chan będzie z wami.

– Wiem. – Kiwnęła głową Nino. – Najpierw zatrzymamy się w Tyflisie, a potem pojedziemy do Paryża. Będziemy mieli dom z ogrodem, a następne dziecko będzie chłopcem.

– Tak, Nino, właśnie tak będzie.

Mój głos brzmiał pogodnie i niezawodnie. Uścisnęła moją dłoń i patrzyła w dal.

Szyny przypominały długie węże, a pociąg wyłonił się z ciemności jak złowrogi potwór. Nino pocałowała mnie przelotnie.

– Żegnaj, Ali Chanie. Za trzy dni się widzimy.

– Oczywiście, Nino, a potem jedziemy do Paryża.

Uśmiechnęła się, a jej oczy stały się miękkie jak aksamit. Pozostałem na peronie, niezdolny, by się ruszyć, wrośnięty w twardy asfalt. To Iljas odprowadził ją do przedziału. Wyjrzała przez okno, była cicha i zagubiona jak mały wystraszony ptak. Gdy pociąg odjeżdżał, machała mi na pożegnanie, a Iljas wyskoczył z wagonu.

Pojechaliśmy do miasta. Myślałem o republice, która miała przetrwać jeszcze tylko kilka dni.

Zaczynało świtać. Miasto przypominało skład broni. Z wiosek przybywali chłopcy i przywozili ukrywane karabiny maszynowe i amunicję. Po drugiej stronie wyschniętej rzeki, w ormiańskiej dzielnicy miasta, padały pojedyncze strzały. Dalej była już Rosja. Czerwona Konarmia rozlała się po kraju, a w mieście zjawił się człowiek z krzaczastymi brwiami, orlim nosem i głęboko osadzonymi oczami – księżę Mansur Mirza Kadżar. Nikt nie wiedział, kim jest ani skąd przybył. Pochodził z cesarskiego rodu Kadżarów, a na jego czapce widniał srebrny lew Iranu. Objął dowództwo z naturalnością potomka wielkiego Aghi Mohammada. Na Gandzę ciągnęły rosyjskie bataliony i miasto zapełniało się uciekinierami z Baku. Opowiadali oni o rozstrzelanych ministrach, uwięzionych parlamentarzystach i o ciałach, do których przywiązywano kamienie i wrzucano do Morza Kaspijskiego.

– W meczecie Taza Pir urządzono klub i Rosjanie stłukli Zajda Mustafę, kiedy chciał się pomodlić przy murze. Mocno go związali i wcisnęli mu do ust wieprzowinę. Później uciekł do Persji do

swojego wuja w Meszhedzie. Jego ojca zamordowali Rosjanie.

Arslan Aga, który przyniósł tę wiadomość, stał przede mną i patrzył na broń, którą miałem do rozdziału.

– Ja też chciałbym walczyć, Ali Chanie.

– Ty?! Powalane atramentem prosiątko?

– Nie jestem prosiątkiem, Ali Chanie. Jak każdy inny ja też kocham swój kraj. Mój ojciec uciekł do Tyflisu. Daj mi broń.

Miał poważną twarz i mrużył oczy.

Podał mi broń i odszedł w kolumnie, którą przeprowadziłem przez most na wypad. Ulice po drugiej stronie mostu zajmowali żołnierze rosyjscy. Rzuciliśmy się do walki z nimi i starliśmy się w kurzu południowego słońca. Widziałem szerokie gęby i błyszczące trójkątne ostrza bagnatów. Wstąpiła we mnie dzika wściekłość.

– *Irali!* Naprzód! – krzyknął ktoś i opuściliśmy bagnety.

Coraz więcej było krwi i potu. Podniosłem lufę, jakiś strzał musnął mi ramię, czaszka Rosjanina roztrzaskała się pod uderzeniem lufy. Szara masa mózgu rozpląnęła się po zakurzonej ulicy. Z dobytym sztyletem rzuciłem się na wroga i padając, widziałem, jak Arslan Aga wbija sztylet w oko rosyjskiego żołnierza.

Z dala rozległ się metaliczny odgłos trąbki. Leżeliśmy za rogiem i strzelaliśmy na ślepo w kierunku ormiańskich domów. Nocą przeczołgaliśmy się z powrotem przez most, a Iljas Beg, obwieszony taśmami naboju, siedział na moście i ustawiał karabiny maszynowe. Poszliśmy na dziedziniec meczetu i Iljas opowiedział mi przy blasku gwiazd, jak kiedyś jako dziecko kąpał się w morzu i wciągnięty przez wir omal nie utonął. Potem jedliśmy zupę, brzoskwinie, a Arslan Aga siedział przed nami w kucki i miał między zębami krwawe luki. Nocą przyczołgał się do mnie i drżał na całym ciele.

– Boję się, Ali Chanie, jestem takim tchórzem.

– To odłóż broń i uciekaj przez pola nad Pulę, do Gruzji.

– Nie mogę, chcę walczyć, bo jak każdy kocham swój kraj, mimo że mam taką tchórzliwą duszę.

Milczałem. Znowu świtało. W oddali grzmiały działa, a Iljas Beg stał na wieży minaretu obok księcia z cesarskiego rodu Kadzarów.



Trąbka grała żałośnie i kusząco, z minaretu powiewała flaga, a ktoś zaintonował pieśń o imperium Turanu.

– Różne rzeczy słyszałem – rzekł mężczyzna o marzycielskich oczach i twarzy przeznaczonej na śmierć. – W Persji powstał człowiek, Reza mu na imię, przewodzi żołnierzom i przegania wrogów. W Ankarze siedzi Kemal, wokół niego skupia się cała armia. Nie walczymy na próżno, dwadzieścia pięć tysięcy ludzi spieszy nam z pomocą.

– Nie – powiedziałem – na pomoc maszeruje nie dwadzieścia pięć tysięcy, lecz dwieście pięćdziesiąt milionów żołnierzy. Muzułmanie z całego świata. Ale Bóg jeden wie, czy zdążą przybyć na czas.

Poszedłem na most. Usiadłem przy karabinie maszynowym, a taśmy z nabojami ślizgały mi się w palcach jak paciorki różańca. Obok mnie siedział Arslan Aga, podając taśmy mojemu sąsiadowi. Na linii Rosjan zrobił się jakiś ruch, a mój karabin tłukł jak oszalały. Po drugiej stronie rozbrzmiała trąbka do ataku. Gdzieś za ormiańskimi domami rozbrzmiały dźwięki *Marsza Budionnego*. Spojrzałem w dół i zobaczyłem ogromne, wyschnięte koryto rzeki. Rosjanie biegli przez plac, przyklękali, mierzyli, strzelali, a ich kule zahaczały o most. Odpowiadałem wściekłym ogniem. Rosjanie padali na ziemię jak marionetki, za nimi wyrastały wciąż nowe rzędy, kierujące się w stronę mostu i także ginące w kurzu wyschniętej rzeki. Były ich tysiące, a rzadkie szczątknięcia samotnego karabinu maszynowego na moście w Gandzy brzmiały bardzo słabo.

Arslan Aga krzyknął coś cienko, jak małe dziecko. Zerknąłem ku niemu – leżał na moście, z jego otwartych ust płynęła krew. Nacisnąłem na guzik karabinu maszynowego i zalałem Rosjan deszczem ognia. Ich trąbka znowu wzywała do ataku.

Czapka spadła mi do rzeki, może zestrzelona, może zmieciona uderzającym w twarz wiatrem.

Rozpiąłem kołnierz i odsłoniłem pierś. Między mną a wrogiem leżało ciało Arslana Agi. Można więc być tchórzliwym, a mimo to polec za ojczyznę jak bohater.

Po stronie Rosjan trąbka wzywała do odwrotu. Karabin

maszynowy zamilkł, a ja siedziałem spocony i głodny na moście i czekałem na zmianę.

Zmiana nadeszła. Ciężcy, niezgrabni ludzie przesunęli ciało Arslana przed karabin. Poszedłem do miasta.

Teraz siedzę w cieniu muru meczetu i jem zupę. Po drugiej stronie, przy wejściu do meczetu, stoi książę Mansur, a Iljas Beg pochyla się nad mapą. Ogarnia mnie ogromne zmęczenie. Za kilka godzin znowu stanę na moście, a Republika Azerbejdżanu ma przed sobą zaledwie kilka dni życia.

Dosyć. Chcę spać, nim trąbka wezwie mnie nad rzekę, na której brzegu mój przodek Ibrahim Chan Szyrwanszyr zostawił życie za wolność swego ludu.

\*\*\*

*Ali Chan Szyrwanszyr zginął kwadrans po piątej na moście w Gandży, na swoim stanowisku przy karabinie maszynowym. Jego ciało osunęło się do suchego koryta rzeki. Nocą zszedłem tam, żeby je zabrać. Ciało było przeszyte ośmioma kulami. W kieszeni znalazłem ten zeszyt. Jeśli Bóg pozwoli, przekażę go jego żonie. Pochowaliśmy go wczesnym rankiem na dziedzińcu meczetu, krótko przed tym, jak Rosjanie przeszli do ostatecznego ataku. Życie naszej Republiki dobiegło końca, tak jak życie Alego Chana Szyrwanszyra.*

*Rotmistrz Iljas Beg, syn Zajnala Agi ze wsi Binigady koło Baku*

---

<sup>1</sup> Cytaty z Koranu w przekładzie Józefa Bielawskiego.

Przekład: Agnieszka Gadzała  
Redakcja: Katarzyna Skwark  
Korekta: Bogusława Jędrasik, Anita Rejch, Beata Wójcik

Projekt okładki: Tomasz Majewski  
Zdjęcia wykorzystane na I stronie okładki: © PeaPie Films

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.  
00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12  
tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08  
[biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)  
[www.gwfoksal.pl](http://www.gwfoksal.pl)

ISBN 978-83-280-4637-5

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)  
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

**virtualo**